

ile zarobi sprytny europoseł?

KIEROWCO! SPRAWDZ
swoją fotowrażliwość
KUPON NA TANIE BADANIE

MONTY ROBERTS
wywiad z człowiekiem,
którego rozumieją konie

s. 62.

s. 50.

PRZE KROJ

SZALEŃSTWO

UŚWIĘCONE
Komunia

CZYLI MAJOWE
ZASTAW SIĘ, A POSTAW SIĘ

s. 6.

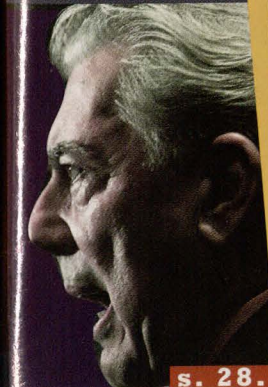
nr 22 / 3075 • 30 maja 2004 • cena 4 zł

/w tym 7% VAT/



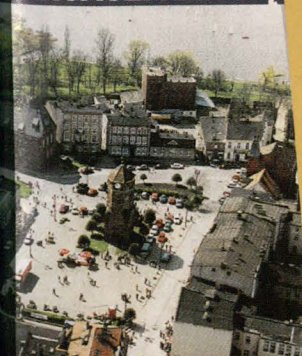
s. 68.

FOTOGRAF
ODKRYTY PO ŚMIERCI



s. 28.

WOLNOŚCI! – rozmowa
MARGASEM LLOSA



s. 34.

URZĘDNICY
DORZYNA I A
ZNIN



Indeks 371424

JAPAN BEAUTY



LIANA

Suzuki Liana oddaje istotę Japonii: wysublimowane piękno, przestrzeń, niezwykle komfort i poczucie bezpieczeństwa. A co więcej – to jedyny samochód w swojej klasie w całości wyprodukowany w Japonii. To ważne, gdy liczy się niezawodność.

Wyposażenie standardowe

Komfort:

- Klimatyzacja
- Radio z odtwarzaczem CD + 6 głośników
- Regulacja wysokości fotela kierowcy
- Regulacja kolumny kierowniczej
- Wspomaganie układu kierowniczego
- Elektrycznie podnoszone szyby w 4 drzwiach
- Elektrycznie regulowane i ogrzewane lusterka

Bezpieczeństwo:

- ABS z EBD
- 4 poduszki powietrzne
- System aktywnych zagłówków
- Pirotechniczne napinacze pasów bezpieczeństwa
- Wzmocnienia w drzwiach
- Immobiliser
- Centralny zamek
- Przednie światła przeciwmgielne

Cena:

Liana hatchback: 52 900 PLN
Liana sedan: 54 900 PLN

www.suzuki.com.pl

 **SUZUKI**



na Czwartek **RACZKOWSKI**

DZISIAJ SWOJE ODEJŚCIE Z
PARTII NIEZADOWOLONYCH
ZAPOWIEDZIĘLI ZAŁAMANI.



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o tym, że Urząd Miasta Stołecznego nie zgodził się na Paradę Równości (organizowaną przez środowiska homoseksualne) ani na manifestację Młodzieży Wszechpolskiej. Ta ostatnia dziwnym trafem planowała swój pochód tego samego dnia i na tej samej trasie. Bo po co podawać prosty przepis na zablokowanie wszelkich manifestacji w Warszawie, skoro już jest znany?

...o polityce zagranicznej, jaką zaczyna uprawiać szykujący się do posady premiera Andrzej Lepper. Pojechał do Moskwy wygłosić słowo o sytuacji Polski. Po powrocie pochwalił się w radiu: „Mój referat był przyjęty prawie na stojąco”. Bo to właśnie problem, z kim się spotykał Lepper. Z wychodzącymi.

...o jedynym sposobie publicznego istnienia Aleksandry Jakubowskiej, czyli pojawiających się tu i ówdzie relacjach z toczących się lub zaniechanych procesów, w których walczy o swoje dobre imię. Bo liczymy na to, że to już naprawdę ostatnie przejawy jej publicznej działalności.

...o deklaracji nowego przewodniczącego Stowarzyszenia Ordynacka Krzysztofa Szamałka, że organizacja ta nie będzie partią, ale będzie „aktywna obywatelsko, otwarta na udział w wyborach do samorządów, parlamentu, do różnych innych struktur władzy”. Bo wprawdzie pokonał w wyścigu o szefowanie Wiesław Kaczmarek, ale to nie znaczy, że zaraz mu zaufamy. Przecież to kolega Włodzimierza Czarzastego.

...o wsparciu, jakie Roman Giertych znalazł u prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej. Panowie podpisali wspólny apel do wszystkich Polaków w Polsce i poza nią, aby wzięli udział w eurowyborach i głosowali na ugrupowania konserwatywne i narodowe. Bo nie ma w tym nic specjalnego, tyle że zabawnie brzmi, kiedy Giertych prosi o pomoc Moskale.

...o tym, że po paru miesiącach nowego życia „Życia” brytyjski inwestor sprzedał 80 procent udziałów tajemniczemu nabywcy z USA, a dziennikarze z wręczonymi już wypowiedzeniami czekają, co teraz obieca im redaktor Wołek. Bo hasło reklamowe „Życia” okazało się podejrzanym prorocze: „Życie pokaże”. Kim jest Wołek.

CYTAT tygodnia

Kłamstwo przenoszone może tylko zaśmierdnąć. To jest zgniłe jajo i im dłużej na nim ta kura eseldowska siedzi, tym z tego jaja mniej przyjemny odór się wydziela.

TOMASZ NAŁĘCZ
nalegający na szybkie rozpatrzenie w Sejmie raportu komisji do sprawy afery Rywina



FOT. MICHAŁ ROZBICKI/REPORTER

za tydzień podwójny numer

OPINIA

42 EUROAPATIA

UWAGA!

44 NIE ZABIJ SIĘ
ENERGYDRINKIEM
Pij, ale nie za dużo i nie
mieszaj

DYNASTIE

46 MAGIA NAZWISKA GANDHI
Sonia Gandhi mimo
wygranej w wyborach
nie chce być premierem
Indii. Wie, że w jej rodzinie
wielkie zaszczyty oznaczają
także śmiertelne
niebezpieczeństwo

LUDZIE

50 KONIU! DO CIEBIE MÓWIĘ
Wywiad z Monty Robertsem,
człowiekiem, który potrafi
bez przemocy wychować
konie i dzieci

55 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

NAUKA

56 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

58 KASA NA LODZIE
Teraz można nas zamrażać,
operować i rozmrażać. Ale to
kosztuje62 BŁYSK W OKU
Irytuje cię podczas jazdy
samochodem migotanie
słońca zza drzew? To może
być fotowrażliwość!

64 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

66 KLAN AKTYWNYCH
WINDSURFERÓW
Dzięki rodzinie Brzozowskich
Polska jest już
windsurfiingowym
mocarstwem

PATRZĄC I CZYTAJĄC

68 WIELKOŚĆ ODKRYTA
PO ŚMIERCI
Eustachy Kossakowski
– fotograf światła i czasu

76 LISTY

77 TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

78 FILM – „Żywot Briana”

80 MUZYKA – Lenny Kravitz
„Baptism”82 KSIĄŻKI – Andrzej Stasiuk
„Jadąc do Babadag”

84 KOMIKS – „Strażnicy”

84 TELEWIZJA – kinowy kryzys
służy telewizji

ROZMAITOŚCI

88 Kulinarne PIÓRO Polski;
Winy BIĘCZYK;
krzyżówka, jolka

90 Zalewajka KAZIMIERZA KUTZA

46

Dlaczego Sonia
Gandhi nie chce
być premierem?

FOT. AP



FOT. EUSTACHY KOSSAKOWSKI/FORUM

Czarno-biały
świat Eustachego
Kossakowskiego

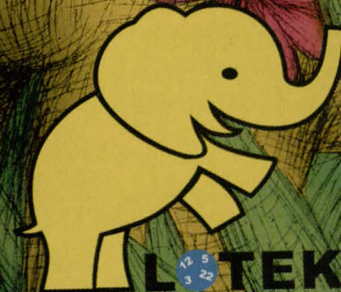
68

Inspektor
Gadżet

64



LOTEK

Odsłonię
100.000 zł!Losów loterii pieniężnej Lotek szukaj
w punktach Totalizatora Sportowego oznaczonych

LOTEK



FOT. SIPA/EAST NEWS

12

Na taki ślub
Hiszpania
czekała prawie
sto lat!6 POWIĘKSZENIA
Świecka Komunia Święta;
Hiszpański Kopciuszek18 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe
i zagraniczne24 PYTAMY
Leszka Millera, czy był
podsluchiwany

25 ODESZLI

26 KOMENTARZE

27 RACZEJ RACZKOWSKI

ROZMOWA

28 ŻOŁNIERZ WOLNOŚCI
Najwyższą emanacją
człowieczeństwa
jest równość ludzi wobec
prawa i ich swoboda
osobista. I nie jest to
mrzonka Zachodu, ale
przywilej całej ludzkości
– mówi pisarz Mario Vargas
Llosa w rozmowie
z Filipem Łobodzińskim

GORĄCY DOKUMENT

32 OBLANI PRZEZ PRZECIEK
Zawinili urzędnicy, a ukarano
11 tysięcy maturzystów34 DORZYNIANIE ŻNINA
Czy można zamknąć dobrze
prosperującą firmę i zniszczyć
całe miasteczko? Można

POLAK W UNII

38 PORADNIK ZARADNEGO
EUROPOŚŁA
Jak się nie zmęczyć,
a dobrze zarobićOkładka:
KOMUNIA
FOT. PRZEMYSŁAW
POKRYCKIFOT. EUSTACHY
KOSSAKOWSKI/FORUM
FOT. GUILLERMO ARIAS/AP
FOT. ANDRZEJ ŁUCZAK/
TYGODNIK PAŁUKI



powiększenie

NA KOMUNIJNYM SZALEŃSTWIE JAK CO ROKU ZBIŁY FORTUNĘ SKLEP... RESTAURACJE. BANKI NIE NADAŻAŁY Z UDZIELANIEM TRADYCYJNYCH MAJOWYCH POZYCZEK

ŚWIECKA Komunia Święta

TEKST JOANNA GORZELIŃSKA
ZDJĘCIA PRZEMYSŁAW POKRYCKI

Sukienka koniecznie z satyny lub atlasu, szyta na miarę, na piętrowym torcie hostia i Biblia z cukru, a w prezencie żywy kucyk. W takiej oprawie dziewięciolatki szły do kościoła przyjąć Pierwszą Komunię Świętą

Pierwsza Komunia
w parafii Narodzenia
Pańskiego w Warszawie



Komunia stała się przymusem społecznym. Wiele dzieci przystępuje do niej, chociaż rodzice są umiarkowanie wierzący i nie chodzą do kościoła

– Nie wierzę w duchowość dziesięciolatek wychowanych w społeczeństwie konsumpcyjnym. Przygnębiający jest ten wyścig o prezenty – mówi socjolog

Maj spletał figla dzieciom przyjmującym Komunię Świętą. Dziewczynki musiały przysłonić pelerynami balowe sukienki, omijać kałuże, żeby nie poplamieć śnieżnobiałych bucików i modlić się (sic!), żeby deszcz nie zmoczył starannie dopracowanych fryzur. Mimo apeli księży, by stroje komunijne były skromne, a najlepiej uszyte według jednego wzoru, tegoroczne suknie komunijne od ślubnych różniły się co najwyżej rozmiarem. Dziewczynki z parafii, w których obowiązywały unifikowane alby, nie mogły się doczekać powrotu do domu, gdzie na wieszakach wisiały „prawdziwe” sukienki. Do pamiątkowych zdjęć pozowały oczywiście w nich.

Na drzwiach restauracji w pobliżu parafii widniały przeproszające kartki z napisem: „Lokal zarezerwowany”. Obiady komunijne przypominały raczej małe wesela, nierzadko suto zakrapiane alkoholem (choć ksiądz prosił o abstynencję), a drogie prezenty i koperty z pieniędzmi przysyłaniały dzieciom przeżycia duchowe związane z przyjęciem Chrystusa.

– Pierwsza Komunia Święta w Polsce się zautonomizowała. Część prezentowo-imprezowa oderwała się od duchowości religijnej i żyje własnym życiem – tłumaczy Krzysztof Podemski z poznańskiego uniwersytetu. Zdaniem socjologa Komunia stała się też przymusem społecznym, dlatego wiele dzieci przystępuje do niej, choć rodzice są umiarkowanie wierzący i nie chodzą do kościoła. – Nie wierzę w duchowość dziesięciolatek wychowanych w społeczeństwie konsumpcyjnym. To czysta fikcja – dodaje Podemski.



Uroczystości komunijne w parafii Bogurodzicy Dziewicy na warszawskich Jelonkach (także na poprzedniej stronie)

Komunia stała się więc przede wszystkim wydarzeniem towarzyskim, a wystawne świętowanie oznaką statusu społecznego. Staropolskie: zastaw się, a postaw się, towarzyszyło wszystkim uczestnikom uroczystości – rodzice pożyczali z banków na wykwintny obiad w restauracji, chrzestni przez kilka miesięcy ciułali, żeby nie zawieść chrześniaka i nie zblądzić się na forum rodzinnym. Nawet dzieci przystępujące do Komunii kalkulowały przed wejściem do kościoła, ile na niej „zarobią”.

KARA ZA KOMUNIE

Nerwowa, duszna od perfum i błyskających aparatów atmosfera udzieliła się też niektórym księżom. Proboszczowi parafii Świętego Michała Archanioła w Gdyni

Oksywiu puścili nerwy, kiedy podczas komunii chłopiec dotknął palcem oplatka, który przykleił mu się do podniebienia. Wyprowadził chłopca do zakrystii i uderzył go w głowę. Kiedy matka chłopca poszła wyjaśnić sprawę, wyparł się wszystkiego. W końcu rzucił: – Ale co to było za uderzenie? O magicznym słowie „przepraszam” chłopiec i matka mogli tylko pomarzyć. Po powrocie do domu syn oświadczył, że nie pójdzie więcej do kościoła, bo się boi.

Wielu rodziców odczuwało ulgę, że skończył się wreszcie wielotygodniowy stres związany z przygotowaniem hucznej uroczystości. Podczas wystawnego obiadu, zamiast rozmawiać o przeżyciach religijnych swoich dzieci, pytali gości, czy smakował im kotlet. A dzieciaki licytowały się na po-



dwórku, kto ile dostał i co kupił za „prezenty z kopert”.

Do standardowych подарunków należał rower, komputer był mile widziany. W miejscach zegarków pojawiły się telefony komórkowe i cyfrowe aparaty fotograficzne. Nowością wśród prezentów był w tym roku żywy kucyk. – Komunijne zakupy kucyków trwają od wielu lat, teraz się jednak nasiliły – mówi hodowca Mieczysław Lipiński. Ogiera można kupić już za tysiąc złotych, do klaczy trzeba dopłacić drugie tyle. Hodowca dowodzi, że kucyk to świetny prezent. – To zwierzę bardzo odporne na niskie temperatury, więc wystarczy mu wiata, by mógł się ochronić przed deszczem i słońcem – tłumaczy. Inny hodowca przekonuje też, że wcale nie trzeba mieć ogrodu dla kuczka. Wystarczy wykupić miej-

sce w wybranej stajni i płacić co miesiąc za jego utrzymanie.

Innego zdania jest socjolog Podemski: – Kucyk żyje 30 lat, a znudzi się po dwóch. Przygnębiający jest ten wyścig o prezenty. To samonapędzająca się spirala, której towarzyszy kicz.

GOTÓWKA OD ZARAZ

Sklepy, restauracje i banki jak co roku zbiły fortunę na komunijnym szaleństwie. Wraz z majowym sezonem pojawiły się w marketach specjalne regały z produktami nadającymi się na prezenty komunijne. W bankach tłok – rodzice masowo zaciągali kredyty konsumpcyjne na wyprawienie dzieciom uroczystości komunijnych.

W Pekao SA majowym hitem była niskoprocentowa „pożyczka okazjonalna” (9,99 pro-

cent w skali roku). Do czterech tysięcy złotych bank nie wymagał żadnych dodatkowych zabezpieczeń, wystarczyły tylko dwa dokumenty tożsamości i zaświadczenie o dochodach. – Telefon w sprawie pożyczki dzwoni bez przerwy – powiedziała mi pracownica banku. Bank WBK nie pozostawał w tyle – również przygotował kredyt „Gotówka od zaraz”.

W zeszłym roku szaleństwo komunijne udzieliło się też producentom słodczy i operatorom sieci komórkowych. Na opakowaniu bombonierek firmy Solidarność oprócz twarzy uśmiechniętego chłopca w stroju komunijnym widniał krzyż, hostia i kielich eucharystyczny. W mediach wrzało. Prezes Dariusz Marek bronił się przed zarzutami o pokazywanie krzyża i hostii w negatywnym kontekście, mówiąc, że firma „rozpowszechnia symbole związane z chrześcijaństwem”. Jeszcze bardziej dosłowny był jeden z operatorów sieci komórkowej, który w reklamie wykorzystał dzieci idące do komunii z hasłem: „Moja pierwsza ko... mórka”. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji natychmiast skierowała apel do nadawców o nieemitowanie tej reklamy.

Tomasz Drozdowicz, dokumentalista, kręci właśnie film „Jak się udała Pierwsza Komunia?” o zakłamanym kościelnym święcie. Beata Hyczko, autorka scenariusza, tłumaczyła w dzienniku „Metro”, że Komunia, zamiast wprowadzać dziecko w duchową dorosłość, stała się zwyczajnym targowiskiem próżności. – Dziewczynki w sukienkach jak panny młode, przyjęcia, horrendalne wydatki – mówiła Hyczko. Premierę filmu zaplanowano na początek przyszłego roku. Co z tego? Za rok pewnie znowu będzie to samo.

JOANNA GORZELIŃSKA



Książę Monako Albert miał po lewej zasępiętego księcia Karola...



...a po prawej norweską księżniczkę Mette Marit



Były prezydent RPA Nelson Mandela zabawiał królową Hiszpanii Zofię, Paolę z Belgii i Karola XVI Gustawa ze Szwecji



Erika Ortiz, teściowa przyszłego króla Hiszpanii, z Inaki Urdangarinem

Po raz pierwszy od stu lat hiszpański następca tronu wziął ślub w Madrycie. Po raz pierwszy w historii przyszła królowa pochodzi z gminu. A do tego jest rozwódką

JAKUB MIELNIK

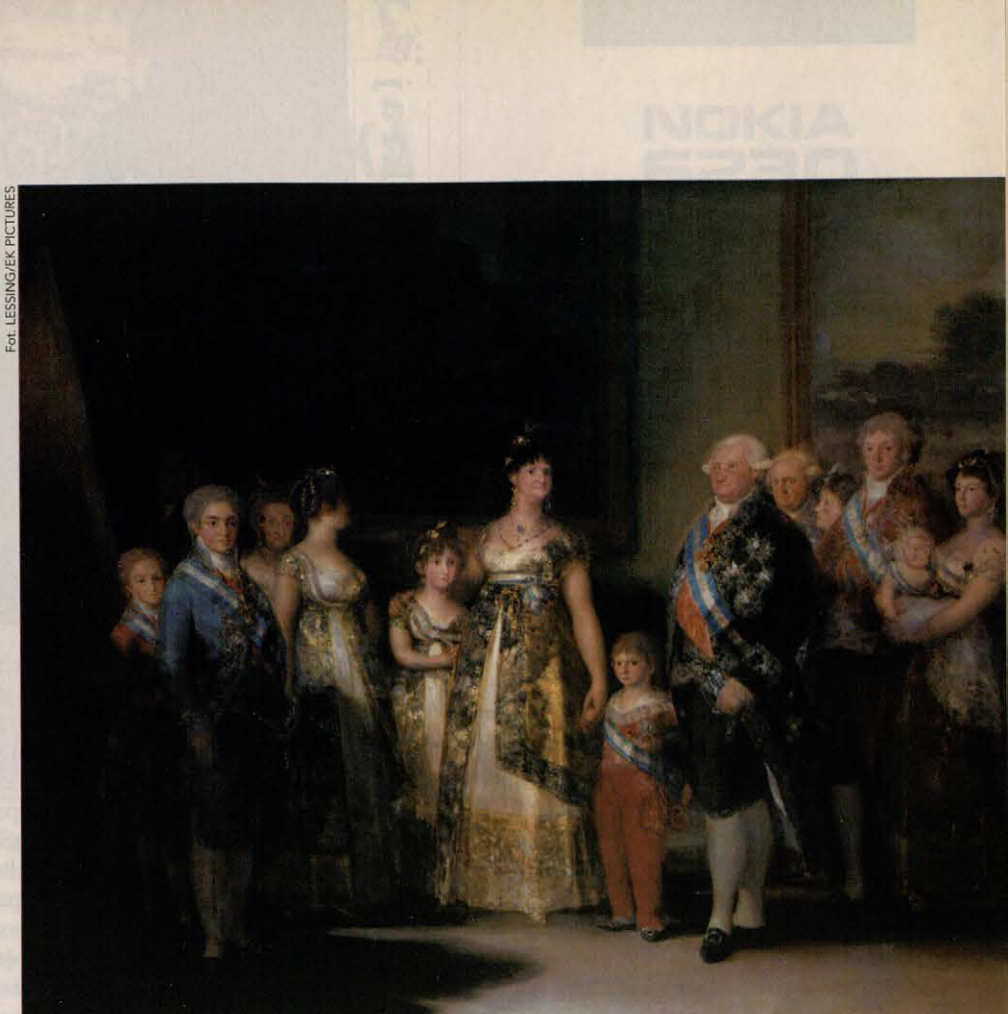
K Hiszpański Kłopciuszek



Kościół katolicki nie miał nic przeciwko temu, by księżę Filip wziął sobie za żonę rozwódkę. Letizia Ortiz brała tylko ślub cywilny, zatem mogła spokojnie stanąć z księciem przed ołtarzem



Po ślubie w madryckiej katedrze nowożeńcy pocałunkiem otworzyli bankiet weselny



Rok 1800. Francisco Goya, portret rodziny Carlosa IV, przodka obecnie panującego Juana Carlosa i jego następcy, księcia Filipa

Obok: Rok 2004. Portret weselny panującej w Hiszpanii rodziny Burbonów

KRÓL JUAN CARLOS I JEGO OJCIEC JUAN DE BOURBON ŻENILI SIĘ NA WYGNANIU, BO W HISZPANII RZĄDZIŁ GENERAL FRANCO. POPRZEDNI ŚLUB KRÓLEWSKI ODBYŁ SIĘ W MADRYCIE W 1906 ROKU

Gdzie mam to położyć? – zapytała Letizia Ortiz księcia Filipa, wskazując na bukiet z róż i białych lilii, który trzymała w ręce. – Jesteś szczęśliwy? – dopytywała się potem. – Kocham cię, moja piękna – miał odpowiedzieć hiszpański następca tronu. Tak według specjalisty od czytania z ruchu warg wynajętego przez katalońską gazetę „La Vanguardia” wyglądała książęca wymiana zdań przed ołtarzem.

W minioną sobotę w madryckiej katedrze Almudena pobrali się książę Filip i była dziennikarka hiszpańskiej telewizji państwowej, a do tego rozwódka, Letizia Ortiz. By obejrzeć transmisję ślubu stulecia, przed telewizorami zasiadło 25 milionów Hiszpanów.

Szelest czterometrowego jedwabnego trenu, który ciągnęła za sobą panna młoda, zagłuszył

koncert organowy Haendla. Orkiestra symfoniczna hiszpańskiej telewizji zaczęła grać, jak tylko Letizia weszła do katedry. Na głowie miała tę samą wysadzaną diamentami platynową tiarę, która zdobiła czoło jej teściowej podczas ślubu z królem Juanem Carlosem. Księżcia ubranego w galowy mundur majora hiszpańskiej armii do ołtarza przyprowadziła matka.

W katedrze zgromadziły się głowy państw, mężowie stanu i przedstawiciele 40 dynastii panujących z całego świata. Był książę Karol, królowa Jordanii Rania, japoński książę Naruhito i Nelson Mandela. Ostatni taki zjazd miał miejsce w 1981 roku w Londynie, gdy książę Karol brał ślub z Dianą Spencer.

Nic więc dziwnego, że przed ołtarzem było nerwowo. Najpierw pan młody zapomniał słów przysięgi małżeńskiej. Wspomagał się kartką przygotowaną na ustawionym obok pulpicie. Potem po posadzce katedry potoczyły się stare złote monety z królewskiego skarbcza. Zgodnie ze zwyczajem królewscy nowożeńcy dzielą się nimi w geście symboli-

zującym wspólnotę majątkową. Niestety, udzielający ślubu arcybiskup Madrytu upuścił kilkusetletnie numizmaty. Na koniec młodzi członkowie rodziny królewskiej zaczęli się nudzić długą uroczystością. Kamery uchwyciły siostrzeńca Filipa, jak dla zabawy rozdawał kopniaki młodszym krewniakom.

PILNA POTRZEBA

Zza zalanych deszczem szyb opancerzonego rolls-royce’a ledwo było widać młodą parę. Limuzyna Phantom IV z 1948 roku służyła kiedyś generałowi Franco. Teraz znalazła się w centrum weselnego orszaku, który wyruszył z katedry w kierunku madryckiej dzielnicy Atocha. Zwyczaj nakazuje, by nowo poślubiona królewska małżonka złożyła hołd figurze Matki Boskiej przechowywanej w tamtejszej bazylice. Tuż obok znajduje się stacja kolejowa, na której 11 marca w zamachu terrorystycznym zginęło 191 osób. W imieniu młodej pary gwardziści królewscy złożyli tam wieniec.

Z obawy przed kolejnym zamachem zmobilizowano ponad 20 tysięcy policjantów. Zamknięto niektóre stacje metra i budynki publiczne. Na dachach domów na trasie przemarszu orszaku leżało 200 snajperów, nad ich głowami krążyły śmigłowce i myśliwce F-18, a niebo nad Madrytem patrolowały dwa samoloty wczesnego ostrzegania AWACS.

– Madryt pilnie potrzebował tego wesela – powiedział burmistrz hiszpańskiej stolicy Alberto Ruiz Gallardon. Ślub Letizii i Filipa kosztował podatników 20 milionów euro. Jednak po zamachach z 11 marca żadna cena za przywrócenie Hiszpanom dobrego samopoczucia nie wydawała się zbyt wysoka.

Z powodu żałoby dom Burbonów ograniczył rozmach uroczystości. Zrezygnowano więc z wieczoru kawalerskiego księcia Asturii i panińskiego Letizii. Jednak przyjęcie weselne na półtora tysiąca gości odprawiono z pompą. Prasa skrupulatnie wyliczyła, że tort miał dwa metry wysokości, ważył 170 kilogramów, a do przepłukania gardła otwarto

ponad tysiąc litrów przedniego szampana. Było co świętować. Zarówno ojciec księcia Filipa król Juan Carlos, jak i dziadek Juan de Bourbon brali ślub na wygnaniu, bo w Hiszpanii rządził generał Franco. Był to więc pierwszy ślub królewski w Madrycie od 1906 roku, gdy ożenił się pradziadek księcia Filipa, król Alfons XIII. Po raz pierwszy w dziejach hiszpańskiej monarchii następca tronu wziął też sobie za żonę kobietę z ludu.

NA POHYBEL MONARCHII

Gdyby nie katastrofa tankowca „Prestige”, Hiszpanie być może nie mieliby się czym ekscytować. Klęska ekologiczna ściągnęła rok temu do Galicji Letizję Ortiz, wówczas znaną dziennikarkę telewizyjną. Tam poznała księcia Filipa, który przyjechał w rejon katastrofy z manifestować przywiązanie monarchii do problemów poddanych.

Przez rok spotykali się w sekrecie. Ich narzeczeństwo zostało zaakceptowane przez dwór w listopadzie ubiegłego roku. Oficjalny

komunikat dworu w tej sprawie był taką sensacją, że przerwano nawet transmisję sobotnich rozgrywek piłkarskich. To, że Letizia jest rozwódką, nie stanowiło przeszkody. Dziennikarka brała tylko ślub cywilny i mogła bez problemu stanąć przed ołtarzem.

W niedzielę po weselu tysiące Hiszpanów ruszyło trasą przemarszu orszaku, szukając weselnych pamiątek. Z ulic zniknęły kwiaty, którymi udekorowano miasto. Na kawałki pocięto też czerwony chodnik, po którym para wjechała do pałacu królewskiego.

Tylko zwolennicy republiki nie mieli powodów do radości. W Asturii, która tradycyjnie jest lennem następców hiszpańskiego tronu, urządzono uroczystość dla uczczenia narodzin ruchu republikańskiego w Hiszpanii. Według legendy w VIII wieku król Favil został w asturskim miasteczku Lluerves zabity przez niedźwiedzia. Tej dzielnej bestii poświęcili swoją fiestę republikańskie.

JAKUB MIELNIK



NIE BĄDŹMY EUROLENIWCAMI!

Samoobrona poważnie traktuje wybory do europarlamentu

WE WRZEŚNI LUDZIOM NIE CHCIAŁO SIĘ WYJŚĆ Z DOMU, BY WYBRAĆ NA NIBY EUROPOSKÓW. OD POGODY W NIEDZIELĘ 13 CZERWCA

– KIEDY BĘDIEMY WYBIERAĆ ICH NAPRAWDĘ – ZALEŻY, JAKIE ZNACZENIE BĘDZIE MIAŁA POLSKA W EURO-PARLAMENCIE

W deszczowych prawyborach we Wrześni głosowało w niedzielę 12,1 procent uprawnionych. Wielu ruszyło do urn po południu, gdy media podały, że z frekwencją kiepsko. Niektórzy z poczucia obowiązku. Inni najedli się kielbasy, grochówki i bigosu na koszt partii, napatrzili na długie nogi hostess, to i poszli głosować.

13 czerwca nie będzie hostess ani darmowej wyzerki. Wszystko będzie zależec od pogody.

Wariant pierwszy – deszcz, wiatr. Wyborcy zostają w domu przed telewizorami. Kto zyska? Samoobrona. Partia, która poważnie traktuje te wybory. We Wrześni wylądował desant działaczy z całej Polski pod dowództwem Andrzeja Leppera. Od miesiąca mobilizuje działaczy powiatowych, żeby werbowali eurowyborców. Dlatego jego elektoratowi deszcz niestraszny. We Wrześni Samoobrona dostała 18,41 procent głosów. To drugie miejsce po Platformie Obywatelskiej (21,07 procent).

– Niska frekwencja oznacza, że procentowo głosuje więcej ludzi o oszołomiastych skłonnościach, bo oni są najbardziej chętni, żeby pójść do urn – mówi doktor Grażyna Praweńska-Skrzypek z Instytutu Spraw Publicznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kto więc straci na złej pogodzie 13 czerwca? Polska. Politycy ze Strasburga doskonale wiedzą, co to partia Leppera. Europosłów z Samoobrony nie chce żadne ugrupowanie polityczne (europartia) skupiające parlamentarzystów różnych krajów. Bez poparcia maszyny europartii będą mieli w Strasburgu marginalne znaczenie.

Pozostaje liczyć na wariant drugi – świeci słońce, aż się prosi, żeby wyjść na spacer. A jak już się ruszyło sprzed ekranu, to nie zaszkodzi zagłosować. Tak żeby Polska miała coś do powiedzenia w Strasburgu.

MARCIN FABJAŃSKI

PORADNIK (ZARADNEGO) EUROPOSŁA – S. 38.

PAŁAC KSIĄŻEK

Tegoroczne 49. Międzynarodowe Targi Książki w warszawskim Pałacu Kultury były rekordowe. 40 tysięcy gości (o 10 tysięcy więcej niż rok temu), około 300 pisarzy. – Wydawało się, że warszawskie targi to impreza podupadająca – mówi Katarzyna Dzidt z wydawnictwa Czarne. – Tymczasem w tym roku były zorganizowane z rozmachem.

Największe kolejki ustawiały się po autografy polskich pisarzy: Sławomira Mrożka, Hanny Krall, Andrzeja Stasiuka. Jednak



Instytut Książki przyciągnął dzieci

w Pałacu rozbrzmiewał też – jak za dawnych lat – język rosyjski. Rosja była gościem honorowym targów, ale szkoda, że nie pojawili się najciekawszy obecnie pisarze rosyjscy – Wiktor Pielewin czy Władimir Sorokin.

Świetny pomysł miał Instytut Książki – zorganizował przestrzeń dla dzieci, w której aktorzy czytali wiersze i bajki. W tym czasie rodzice buszowali wśród stoisk. Buszując, mogli stwierdzić, że polscy wydawcy – chociaż narzekają – tak naprawdę są w bardzo dobrej formie. (JS)

10 TYSIĘCY ZA SZMALCOWNIKA



79-letni Henryk Mania trzy lata temu został uznany za winnego eksterminacji Żydów

W CZERWCU RUSZA W POLSCE WIELKA AKCJA POLOWANIA NA ŻYJĄCYCH JESZCZE ZBRODNIARZY WOJENNYCH. CENTRUM WIESENTHALA CZEKA NA ŚWIADKÓW CHCĄCYCH SPRZEDAĆ INFORMACJE

Najpierw w lokalnej prasie pojawią się ogłoszenia. Będą zawierały numery telefonów, pod które można zadzwonić z donosem. Pracownicy Centrum Szymona Wiesenthala sprawdzą każde zgłoszenie. Interesują ich przede wszystkim informacje o tych, którzy mordowali albo pomagali w mordowaniu Żydów. Potwierdzone denuncjacje zostaną przekazane do pionu śledczego Instytutu Pamięi Narodowej. Jeśli sprawa zakończy się postawieniem zarzutu, Centrum wypłaci informatorowi 10 tysięcy euro. Akcja polowania na nazistów i ich pomocników wojennych nosi nazwę „Ostatnia szansa”. Według pomysłodawcy, doktora Efraima Zuroffa z Centrum Szymona Wiesenthala w Jerozolimie, na wytropienie i postawienie przed sądem ostatnich żyjących zbrodniarzy zostało jeszcze tylko trzy do pięciu lat.

– Czego oczekujemy? Oczywiście chodzi o żyjących jeszcze nazistów. Ale nie tylko. Również o Polaków, którzy pomagali Niemcom w mordowaniu Żydów – wyjaśnia Zuroff.

Na Litwie prowadzona już od dwóch lat akcja Centrum Wiesenthala przyniosła 300 zgłoszeń. Do organów ścigania przekazano nazwiska 70 podejrzanych. Litewska prokuratura rozpoczęła śledztwa w zaledwie dziewięciu sprawach.

– Trudno powiedzieć, czy akcja się powiedzie – mówi profesor Witold Kulesza, szef Głównej Komisji Bada-

nia Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Ostatni proces o ludobójstwo odbył się w Polsce trzy lata temu. Sąd uznał 79-letniego Henryka Manię za winnego udziału w eksterminacji Żydów w hitlerowskim obozie w Chełmie nad Nerem.

Polski IPN prowadzi obecnie około 280 śledztw w sprawie zbrodni nazistowskich. Zdecydowana większość z nich nie toczy się „przeciwko”, ale jedynie „w sprawie”. Żadne nie dotyczy szmalcowników (ludzi, którzy donosili na Żydów) ani Polaków osobiście zaangażowanych w mordowanie Żydów. Akcja Centrum Wiesenthala nie opiera się więc na konkretnych podejrzaniach, lecz na danych statystycznych.

– W Generalnej Guberni w dzieło Zagłady wprzęgniętych było dziesiątki tysięcy Polaków – mówi historyk Andrzej Żbikowski z IPN. Po wojnie przez lata utrzymywano, że wymiar sprawiedliwości państwa podziemnego skazał na śmierć kilka tysięcy polskich donosicieli. Jednak dostępne dokumenty potwierdzają zaledwie osiem wyroków AK wykonanych na szmalcownikach. Akcja Centrum Wiesenthala może więc ujawnić setki Polaków, którzy byli zaangażowani w haniebną procedurę, a nigdy nie zostali za to pociągnięci do odpowiedzialności. Pod warunkiem że jeszcze żyją i znajdzie się ktoś, kto doniesie na nich skuszony obietnicą 10 tysięcy euro.

MICHAŁ WÓJCIK

NOKIA 6230



Korzystaj.

Wysoka jakość odtwarzania multimediów podczas pobierania: aż 236,8 Kb/s przez EDGE. Doskonały, wyraźny obraz na wyświetlaczu o 65 536 kolorach. Perfekcyjne działanie telefonu Nokia 6230 w nowoczesnej obudowie. Korzystaj.

Club NOKIA

Wstąp i korzystaj z atrakcji na stronie www.nokia.com.pl/clubnokia

NOKIA
CONNECTING PEOPLE

Akcja.

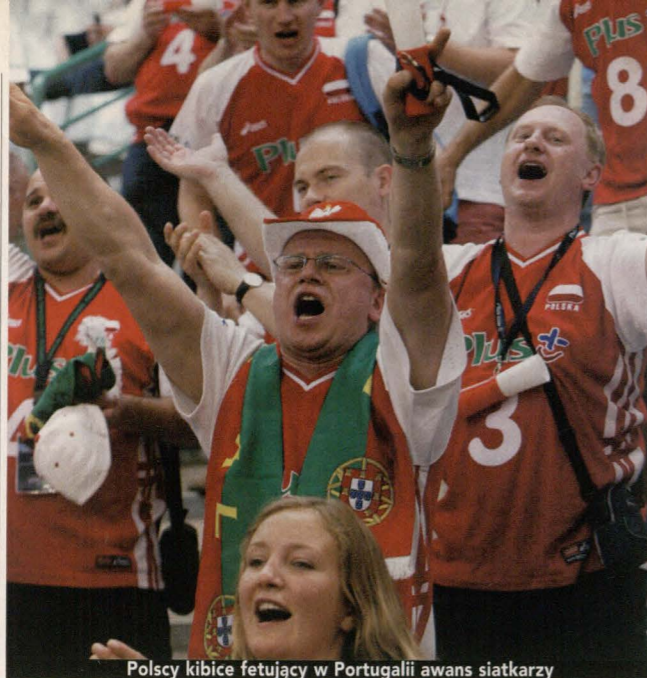
www.nokia.com.pl

NOKIA
CONNECTING PEOPLE

LEGENDA SYPIE SIĘ, LE CZ TRWA

MARIAN JURCZYK WALCZYŁ Z „MISIEM” I TYSIĄCAMI SZCZECINIAN O ZACHOWANIE STANOWISKA

Ostatnim akordem szczecińskiej kampanii referendalnej zmierzającej do odwołania prezydenta miał być otwarty pokaz filmu „Miś”. Marian Jurczyk, legenda Sierpnia '80, były magazynier stoczniowy, rządzi Szczecinem od dwóch lat. Krytycy jego rządów twierdzą, że w tym czasie odstraszył zachodnich inwestorów i nieudolnie rządził miastem, narażając je na straty. – Kiedy ludzie



Polscy kibice fetujący w Portugalii awans siatkarzy

Fot. KUBA ATYS/AG

CZEKAMY NA BŁYSK

HONOR POLSKICH GIER ZESPOŁOWYCH W OSTATNIEJ CHWILI URATOWALI SIATKARZE. JAKO JEDYNA NASZA DRUŻYNA ZAGRAJĄ W ATENACH

Na igrzyskach olimpijskich nie będzie naszych piłkarzy, koszykarzy, nie pojedzie też drużyna hokeja na trawie ani siatkarki – mistrzynie Europy. Wśród powodów tej serii niepowodzeń wymienia się zwykle słabą formę naszych i doskonałą przeciwników, zapóźnienia organizacyjne, a także pecha w losowaniach. Na szczęście jest drużyna, która tych lamentów nie musi wysłuchiwać – siatkarze rzutem na taśmę awansowali na igrzyska w Atenach. Turniej kwalifikacyjny w Porto miał dra-

matyczny przebieg. Była to naprawdę ostatnia szansa – poprzednią straciliśmy w styczniu na turnieju w Moskwie. Pokonali nas wtedy do zera i Rosjanie, i Bułgarzy, od których byliśmy „rankinowo” lepsi.

Jednak w przypadku polskich siatkarzy rankingi mogą tylko zmylić (jesteśmy na dziewiątym miejscu). W Portugalii na początek przyszło zwycięstwo do zera z teoretycznie najsilniejszą Wenezuelą i mogliśmy spać spokojnie. Z idylli wyrwał nas dość niespodziewanie pojedynek ze słabszą o 11 miejsc rankingowych drużyną gospodarzy – za każdy wygrany przez Polaków set Portugalczycy rewanżowali się tym samym. Walka o honor wydawała się już przegrana, kiedy w ostatnim secie znani ze skłonności do załamania się w decydujących momentach biało-czerwoni przy stanie 7:10 stracili Dawida Murka, najlepszego atakującego turnieju. Zmianę dał wtedy rezerwowi Sebastian Świdorski. Wraz z Piotrem Gruszką wygrał dla nas tę końcówkę i miejsce w olimpijskim turnieju.

– Nie można było wylosować łatwiejszych rywali niż Portugalia, Wenezuela i Kazachstan – cieszył się przed turniejem w Porto były trener reprezentacji Ryszard Bosek. W Atenach to o nas będzie się tak mówić – wśród naszych rywali będą między innymi Rosja, Włochy i Brazylia. Chyba że Polacy zabłysną formą jak w końcówce piątego seta z Portugaliją.

RAFAŁ MADAJCZAK



Fot. DARIUSZ GÓRAJSKI/AG

prezydenta zorientowali się, że „Miś” jest metaforą rządów Jurczyka, stanęli na głowie, by nie dopuścić do emisji filmu – mówi Piotr Muszyński, organizator referendum. Podległy prezydentowi Zakład Usług Komunalnych na trzy dni przed projekcją „Misia” odmówił Muszyńskiemu wynajęcia amfiteatru. Film pokazano na telebimie w parku. By utrudnić głosowanie, miasto wydrukowało plakaty o okręgach wyborczych czarną czcionką na ciemnozielonym tle – były nieczytelne. I udało się. Aby referendum było ważne, musiało w nim wziąć udział 30 procent uprawnionych. Do urn poszło ponad 56 tysięcy osób, większość była za odwołaniem Jurczyka, ale frekwencja nie przekroczyła 19 procent. Prezydent odparł atak. Gratulujemy pomysłowości. SM

POLICJA ZNÓW ŻŁE TRAFIŁA – TYM RAZEM Z PROJEKTEM ZMNIEJSZENIA ODPOWIEDZIALNOŚCI FUNKCJONARIUSZA, KTÓRY UŻYŁBY BRONI



Posłowie raczej nie dadzą policji postrzeląć

NIE WSTRZELILI SIĘ

Policja! Stój, bo strzelam!” – zgodnie z obowiązującą ustawą ma krzyczeć policjant, zanim odda strzał do człowieka. Formułkę może ominąć w sytuacji bezpośredniego zagrożenia dla zdrowia i życia. Ale ma strzelać tak, aby nie zabić.

Tymczasem według projektu ustawy przygotowanego przez Komendę Główną policjant mógłby strzelać bez ostrzeżenia nawet wtedy, gdy czykolwiek życie lub zdrowie nie jest w niebezpieczeństwie. Gdyby było w niebezpieczeństwie, policjant nie musiałby już zastanawiać się, czy kogoś zabije.

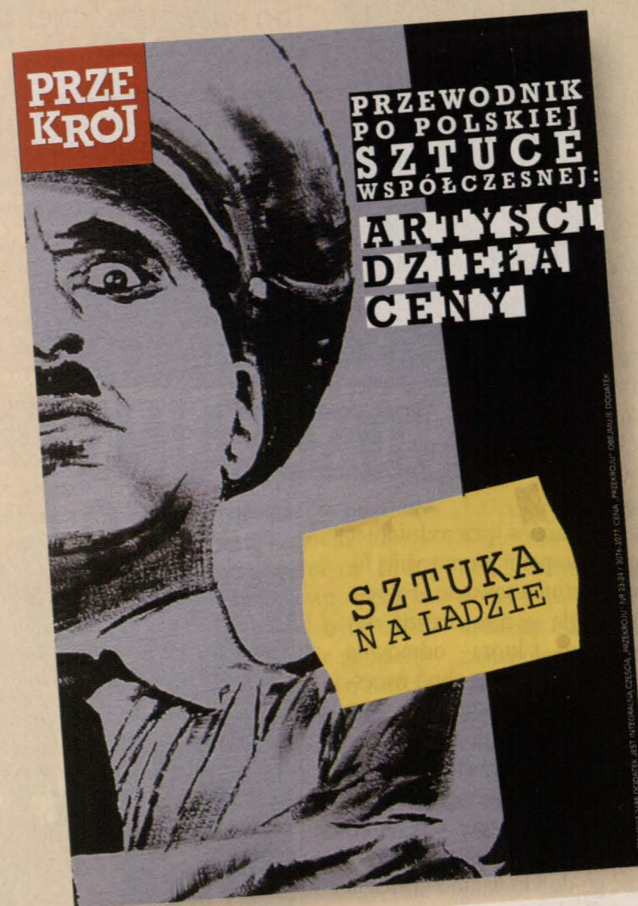
– Wesprzemy regulacje ustawowe, które pozwolą policji dać odpo-

klaruje poseł PO Grzegorz Dolniak. – Jeżeli przestępca nie jest agresywny, a policjant ma wybierać, czy tamten ucieknie, czy zginie, to lepiej, żeby uciekł – uważa z kolei Wiesław Woda z PSL. – Nie może być tak, żeby policjant był jednocześnie prokuratorem i sędzią, a nawet katem – dodaje Stanisław Łyżwiński z Samoobrony. Przedstawiciele SLD, SdPi i PiS na razie konsekwentnie odmawiają zajęcia stanowiska w sprawie zmian w ustawie, zasłaniając się nieznajomością projektu. Ten został skierowany do konsultacji resortowych.

Projekt powstał jeszcze w marcu. Poprawka ma raczej małe szanse na poparcie w parlamencie. Po zastrzeleniu przez policję niewinnych osób w Poznaniu i Łodzi posłowie mogą obawiać się, że opinia publiczna nie poprze rozszerzenia uprawnień funkcjonariuszy, a tym bardziej zdejmowania z nich odpowiedzialności.

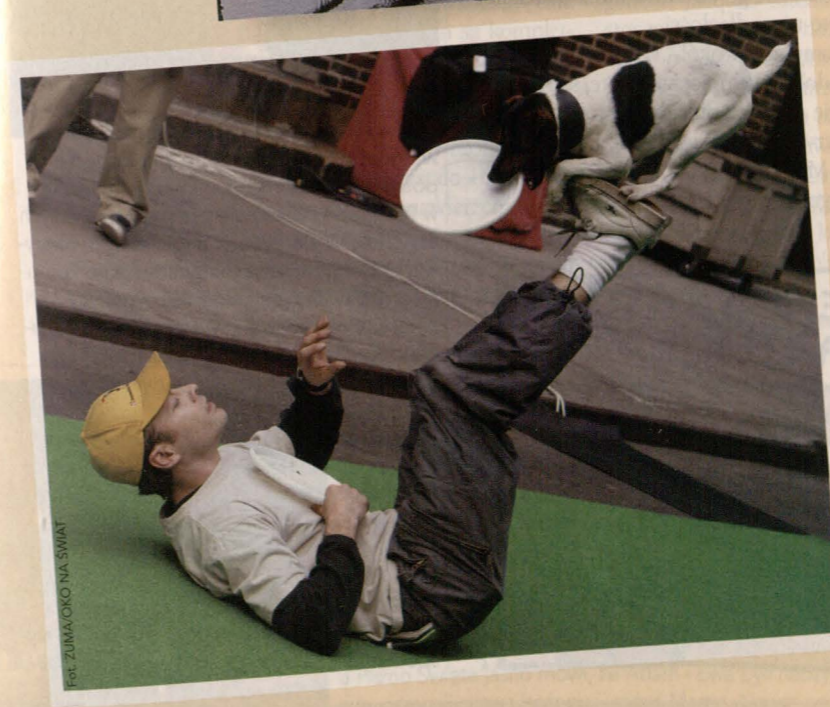
KARINA MOŁĘDA

W NASTĘPNY CZWARTEK – 3 CZERWCA – PODWÓJNY, PODWÓJNIE ATRAKCYJNY NUMER „PRZEKROJU”



DODATEK SPECJALNY

„SZTUKA NA LADZIE”
– czyli przewodnik po polskiej sztuce współczesnej: artyści, dzieła, ceny



Fot. ZUMAYOKO NA SWIAT

TEMAT SPECJALNY

„W CO SIĘ BAWIĆ?”
– czyli poradnik, jak zabić nudę tego lata

OTWÓRZ OCZY, ZOBACZ (KONIECZNIE)

**PRZE
KROJ**

• Powstają dwa filmy o Ianie Curtisie, legendarnym wokaliście Joy Division. Jeden („Touching From a Distance”)

produkuje Orian Williams i Todd Eckert. Drugi („Transmission”) – Moby, gwiazdor muzyki tanecznej z USA



PALMA SZALEŃSTWA

Michael Moore umie nie tylko kręcić filmy. Jest także ekspertem od perswazji politycznej i autopromocji

Fot. LAURENT REBOURS/AP

ILE TRWAŁA OWACJA PO PROJEKCJI „FAHRENHEIT 9/11”? WEDŁUG REUTERSA – 10 MINUT, WEDŁUG FRANCUSKICH DZIENNIKARZY – 15, A WEDŁUG SAMEGO MICHAELA MOORE’A – 20

Podobnie w jego filmie nagrodzonym w sobotę canneńską Złotą Palmą każdy znalazł to, co chciał. Amerykańskie gwiazdy na wyjeździe miały okazję, by skrytykować Busha, francuscy gospodarze rozgrzeszyli się z bezczynności w sprawie Iraku, a krytycy znaleźli potwierdzenie upadku festiwalu, na którym sztuka filmowa ustąpiła miejsca politycznej manifestacji.

Film Moore’a tytułem nawiązuje do słynnego „Fahrenheit 451” według książki Raya Bradbury’ego. Tam pokazano amerykański totalitarny reżim przyszłości, w którym strażacy zamiast gaszeniem pożarów zajmują się paleniem książek, a tu Moore daje swoją wizję Ameryki George’a W. Busha. Przedstawia towarzyskie i finansowe powiązania Bushów z klanem ben Ladena oraz wojny w Afganistanie i Iraku pokazane z perspektywy ofiar.

– Chciałem opowiedzieć o tym, co się wydarzyło z nami jako narodem po 11 września – mówi sam Moore. I choć nie mówi nic nowego, jego film wzbudza szalone kontrowersje. Jeden

z amerykańskich dziennikarzy w Cannes miał po projekcji powiedzieć, że chce spalić swój paszport, „New York Times” widzi w „Fahrenheit 9/11” najlepszy film Moore’a, a „Variety” – „krzykliwy przedwyborczy pamflet”.

Tegoroczne Cannes przerodziło się w przystanek kampanii promocyjnej filmu Moore’a. Zainteresowanie „Fahrenheitem” wzmożła jeszcze decyzja wytwórni Disneya, która odmówiła dystrybucji filmu w USA, choć wcześniej finansowała jego produkcję.

Podczas ceremonii uradowany Moore oświadczył, że teraz Amerykańscy widzowie na pewno będą mogli obejrzeć „Fahrenheit 9/11”. Jeszcze w Cannes zdradził ciąg dalszy planu: chciałby wprowadzić go do kin w amerykańskie święto niepodległości.

Kampania wokół „Fahrenheit 9/11” paradoksalnie opiera się na tej samej zasadzie co działania administracji Busha – szczytny cel uswięca środki. Celem filmu Michaela Moore’a jest oczywiście przegrana prezydenta w wyborach.

BARTEK CHACIŃSKI, RBN

DEZERTER CZY WIĘZIEN?

AMERYKAŃSKI ŻOŁNIERZ, KTÓRY 39 LAT TEMU ZDEZERTEROWAŁ DO KOREI PÓŁNOCNEJ, BOI SIĘ WRÓCIĆ DO USA

Podczas niedzielnej wizyty w Phenianie premier Japonii Junichiro Koizumi wynegocjował z Kim Dzong Ilem zwolnienie dzieci Japończyków uprowadzonych w latach 70. do Korei Północnej. Sami porwani wrócili do ojczyzny już dwa lata temu, ale Phenian odmawiał dotąd wydania ich dzieci. W ten weekend Koizumi wymienił pięcioro młodych Japończyków na obietnicę pomocy humanitarnej o wartości 10 milionów dolarów.

W Korei Północnej pozostają jeszcze dwie córki Japonki Hitomi Sogi i ich ojciec, kapral armii amerykańskiej Charles Jenkins, który w 1965 roku zniknął w strefie zdemilitaryzowanej między obiema Koreami. Jego rodzina przez lata nie wiedziała, czy Jenkins



Dzieci porwanych Japończyków już w Tokio

w ogóle żyje. W roku 2002 Kim Dzong Il potwierdził, że Amerykanin od lat mieszka w Phenianie i ożenił się z jedną z porwanych Japonek. W Korei uczył angielskiego, nagrywał antyimperialistyczne tyrady, które komuniści nadawali przez głośniki na granicy z Koreą Południową, i występował w propagandowych filmach Kima. Dziś ma 63 lata. Sprawa Jenkinsa komplikuje repatriację jego córek, które od dwóch lat nie widziały matki. W niedzielę Amerykanin odmówił wyjazdu do Japonii, ponieważ obawia się ekstradycji do USA i postawienia przed sądem wojskowym. Pentagon uważa go za dezertera i zdrajcę, a sekretarz obrony Donald Rumsfeld kategorycznie odmawia jego ułaskawienia. Krewni Jenkinsa twierdzą, że został porwany. Rząd japoński stara się zorganizować spotkanie rodziny w Chinach. (QBA)



Wielka maszyna zniszczenia pracowała przez 6 dni. Czolgi i buldożery wyjechały z Rafah dopiero w poniedziałek

Fot. LEFTERIS PITABAKIS/AP



ARMIA IZRAELSKA DOKONAŁA AGRESJI NA OSIEDLA W RAFAH W STREFIE GAZY. SETKI PALESTYŃCZYKÓW STRACIŁY DACH NAD GŁOWĄ, A CO NAJMNIEJ 40 ZGINĘŁO

ZMIAŹDZIĆ RAFAH

Oficjalnie chodziło o poszukiwanie wylotów tuneli, którymi Hamas przemycza broń z Egiptu. Siedmiodniowa operacja o kryptonimie „Tęcza” była także odwetem za palestyńskie zamachy na żołnierzy. Ale prócz winnych – szefa lokalnej komórki Hamasu i bojowników palestyńskich – na ulicach Rafah ginęli także przypadkowi ludzie. Demonstrację Palestyńczyków Izraelczycy zatrzymali salwą z czołgów.

Po tygodniowych walkach całe sektory osiedli w Rafah są kompletnie zniszczone. Żołnierze zrównywali z ziemią 40 palestyńskich domostw, a dziesiątki innych zawaliły się podczas przejazdu czołgów. Bez dachu nad głową zostało 1600 osób. Buldożery zerwały nawierzchnię ulic i zniszczyły wodociągi. Od 2000 roku armia izraelska odkryła w Rafah 90 tuneli. Tym razem znaleziono tylko jeden.

MAREK RYBARCZYK

NAGO CHWALMY PANA

W hrabstwie Pasco na Florydzie powstanie pierwszy w USA ośrodek nudyzmu dla chrześcijan. Pomysłodawcą jest miejscowy deweloper Bill Martin. W ciągu dwóch lat na stu hektarach stanie 500 willi, hotel, aquapark oraz wielowyznaniowy kościół chrześcijański – wszystko dla amatorów chodzenia nago. Od zaraz świątynia będzie też oferować chrzty i małżeństwa dla naturystów. – W Biblii jest 40 miejsc, w których mowa o nagości, a Pismo Święte jasno mówi, że Adam i Ewa byli nadzy, gdy przestrzegali prawa bożego – mówi Martin. Nawet on przyznaje jednak, że pomysłu może trafić na opór „chrześcijańskich fundamentalistów i baptystów”. (RYB)



Fot. MAREK RACZKOWSKI

Nagrody Koraka dla najlepszych polskich twórców i wydawców komiksowych będą wręczone 29 maja

w warszawskim klubie Regeneracja podczas przeglądu Interkomix 2004

PURITAN'S PRIDE®
Z INSPIRACJI NATURY®

Multi M
niezawodnie w przypadkach osłabienia pamięci

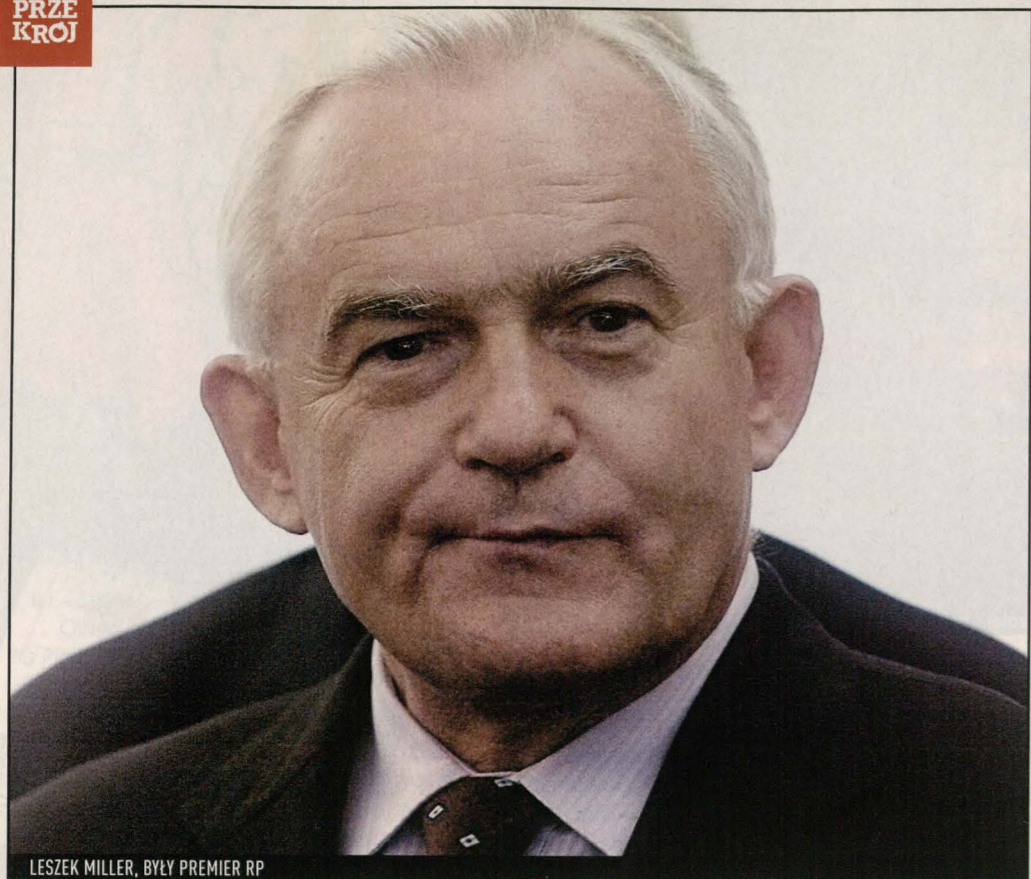
50 tabletek

www.puritan.pl

dla pracujących głową

Multi M

Wzmożenie umysł • Ułatwienie uczenia się i zapamiętywanie • Poprawienie pamięci i koncentrację • Zwiększenie tolerancję na stres • Zawiera pobudzające aminokwasy, lecytynę, Gotu Kola i RNA



LESZEK MILLER, BYŁY PREMIER RP

BYŁBYM WŚCIEKŁY, GDYBY TO BYŁA PRAWDA

KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA: Był pan podsłuchiwany, panie premierze?

LESZEK MILLER: Przez kogo?

Przez obce wywiady.

– Specjaliści twierdzą, że wszystko i wszystkich można podsłuchać. Jest tylko pytanie, kto to robi i w jakim celu.

A myśli pan, że był pan podsłuchiwany przez brytyjski wywiad, bo sojusznicy wąpili w niezłomność stanowiska polskiego rządu w sprawie wsparcia koalicji antyirackiej?

– Te informacje są zdumiewające.

Jest pan zdumiony czy wściekły?

– Byłbym wściekły, gdyby to była prawda. A moim zdaniem nie jest.

Skąd pan wie?

– Natychmiast skontaktowałem się z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zapewniono mnie, że byłoby to absolutnie niemożliwe.

Wywiad brytyjski jest jednym z najlepszych na świecie. Może udało im się przechytrzyć ABW?

– Przeczytałem bardzo dokładnie artykuł Gordona Thomasa przedrukowany przez „Wprost”. Mnóstwo faktów się nie zgadza. Nie dzwoniłem codziennie do Tony Blaira.

PODSŁUCHIWANIE
PREMIERA
– SKANDAL
MIĘDZYPAŃSTWOWY,
DZIENNIKARSKA
KACZKA
CZY PROWOKACJA?
– PYTA

KATARZYNA
KOLENDA-ZALESKA

Zresztą w naprawdę ważnych sprawach, a do takich przecież należy sprawa Iraku, kontaktowaliśmy się przede wszystkim pisemnie. Brytyjski ambasador przyjeżdżał do mnie z listem od premiera Wielkiej Brytanii. Odpowiedź szła dokładnie tą samą drogą. Oczywiście rozmawialiśmy kilkakrotnie przez telefon, ale rozmowy, jaką cytuje autor, nie było. Podobnie jak nie było nocnego telefonu od prezydenta Rosji Władimira Putina ani spotkania z chińskimi dyplomatami.

Wszystko to bzdury?

– Bzdury. Nasz wywiad i kontrwywiad twierdzi, że Gordon Thomas jest człowiekiem o bardzo niskiej wiarygodności. Raczej łowca sensacji niż rzetelny publicysta, który od czasu do czasu pisze podobne rzeczy, ale nikt tak naprawdę nie przywiązuje do nich wagi.

Ale po co miałby pisać takie bzdury wysrane z palca?

– Nie wiem.

Mówi się, że w każdej plotce jest zawsze ziarno prawdy.

– W tej nie ma. Ale oczywiście trudno mi na ten temat rozmawiać,

bo na pytanie, czy polski rząd i polski premier jest podsłuchiwany przez kogokolwiek, nie jestem w stanie udzielić pani wiarygodnej odpowiedzi. Technika wywiadowcza, słynny system Echelon, jest na tak wysokim poziomie, że pewnie byłoby to możliwe.

A jeśli to wszystko prawda, jeśli nasi sojusznicy, Brytyjczycy, naprawdę podsłuchiwali pana rozmowy telefoniczne?

– Byłby to oczywiście skandal na niesłychaną miarę, ale nie wierzę w to. Po co mieliby to robić? Nasze stanowisko w sprawie Iraku było jasne i niezmienne.

Może jednak Brytyjczycy mieli wątpliwości co do lojalności pańskiego rządu? Rzeczywiście się bali, że Polska zmieni zdanie, może nigdy tak naprawdę nam nie ufali? Panu nie ufali?

– Raz podjęta decyzja nigdy nie była przez nas kwestionowana. Rząd przez trzy burzliwe godziny dyskutował o tym, co robić. Każdy minister zabrał głos. I gdy już decyzja zapadła, nikt nie podawał jej w wątpliwość. A przecież nie było to łatwe,

zwłaszcza wobec oporu polskiego społeczeństwa i słów polskiego Papieża. Nasi sojusznicy o tym wszystkim wiedzieli, i to nie z podsłuchu. Po co mielibyśmy się później wycofywać? Uznaliśmy, że racje polityczne i moralne nakazują nam podjęcie takiej a nie innej decyzji. Pamiętam moją podróż do Iraku i przemówienie jednego z irackich dowódców, który dziękował Polsce i polskim żołnierzom za pomoc w przywracaniu praworządności i demokracji. On był wzruszony i ja byłem wzruszony. Myślałem, że za parę lat, gdy Irak będzie już niepodległym i zasobnym państwem, będziemy z dumą mogli mówić o tym, że to także dzięki nam.

Z tego, co pan mówi, nie wynika, aby kiedykolwiek pan żałował tamtej decyzji.

– Nie żałuję, choć wiem, że do tej pory budzi ona kontrowersje. Zwłaszcza teraz, gdy ujawniono szokujące informacje o maltretowaniu irackich więźniów.

Może właśnie takiej sytuacji obawiali się sojusznicy. Bali się, że przy słabnącym poparciu dla pana będzie pan

chciał wyjść naprzeciw oczekiwaniom społeczeństwa i zwiększać zanikające poparcie. I zmieni pan zdanie w sprawie Iraku, wykorzystując każdy możliwy pretekst?

– Nie. Nigdy nie miałem wątpliwości i nie myślałem, żeby sprzeciwić wobec interwencji wykorzystanej dla własnych politycznych celów. Nigdy też nie dałem jakiegokolwiek sygnału, że można by mnie o to podejrzewać.

Sojusznicy mogli być spokojni?

– Całkowicie.

A kiedy nowy socjalistyczny rząd Hiszpanii wycofał wojska z Iraku? Wtedy też?

– Ale tu nie było przecież zaskoczenia. Wiadomo było, że jeśli wygrają socjaliści, zechcą wycofać wojska z Iraku, i tak też się stało. U nas nie było takiej groźby i jak na razie nie ma. Zmiana decyzji nie wchodzi w grę. No, chyba że Samoobrona wygra wybory...

A czy my możemy ufać naszym sojusznikom?

– Trudno mi sobie wyobrazić, aby decyzje o wycofaniu wojsk z Iraku zapadały za naszymi plecami. Trzeba wyjść z Iraku, oby jak najszybciej, ale decyzja w tej sprawie nie będzie decyzją jednostronną. Wszystkie państwa uczestniczące w operacji irackiej mają prawo głosu. Nie spodziewam się, aby Polska mogła być czymś zaskoczona.

No dobrze. Nie było powodów, żeby wątpić w naszą lojalność, w pana lojalność. Ale artykuł się ukazał, przedrukował go polski tygodnik. Po co?

– Poprosiłem ministra spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza, który akurat jest teraz w Brukseli, o sprawdzenie całej tej historii i ewentualne ustosunkowanie się do niej przedstawiciele rządu brytyjskiego. Myślę, że usłyszy pani to samo, co ja pani mówię. Ze autor goni za sensacją, a to, co pisze, to jakieś *political fiction*. Wierzy pani, że naszym sojusznikom potrzebny byłby taki skandal? Ryzyko jest zbyt duże, a korzyści żadne.

Myśli pan, że polski rząd nie jest podsłuchiwany?

– Po co podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, nawet jeśli technicznie jest to możliwe? Nikt poważny nie rozmawia o poważnych sprawach przez telefon. Takie rozmowy przeprowadza się w gabinetach.

I tam podsłuchu nie ma?

– Od tego są służby, żeby nie było. Pluskwy w gabinecie premiera polskiego rządu... Może to się mieści w stylistyce Ludluma, ale w realnym świecie? Bardzo wątpię.

Ale przecież przez telefon rozmawiał pan z różnymi ludźmi w sprawie Iraku. Może chodziło o uchwycenie niuansów, cienia wątpliwości i przygotowanie się do ich odparcia. Może chciano wiedzieć, jakie są nastroje w polskiej strefie stabilizacyjnej i czy one nie mają wpływu na pana decyzje?

– Oczywiście rozmawiałem z generałem Bieńkiem, a wcześniej z generałem Tyszkiewiczem o tym, co się dzieje w bazie. Ale zapewniam panią, nie było w tych rozmowach żadnych tajemnic, żadnych wywiadowczych smacznych kąsków.

Tony Blair nadal będzie pana przyjacielem.

– Oczywiście. Parę dni temu dostałem od niego bardzo ciepły list.

Ale przestałby nim być, gdyby informacje o podsłuchu się potwierdziły.

– Myślę, że odpowiedź polskiego rządu byłaby bardzo ostra.

Może to prowokacja? Może chodzi o to, żeby skłócić, poróżnić sojuszników?

– To już bardziej prawdopodobna wersja i pewnie nie da się tego wykluczyć. Myślę jednak, że w tym wypadku autora artykułu poniosła fantazja.

To może pan czuje się jak bohater powieści Ludluma?

– (śmiech) Jak to czytam, to może trochę.

Przynajmniej się pan nie nudzi.

– No właśnie. Nie mam zupełnie czasu na nudę.

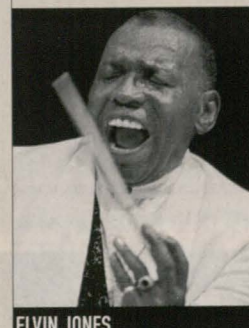
ROZMAWIAŁA KATARZYNA
KOLENDA-ZALESKA, TVN24

ODESZLI



STEFAN SWIĘZAWSKI

Stefan Swieżawski, 97, profesor, światowej sławy historyk filozofii. Studiował na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie pod kierunkiem Kazimierza Twardowskiego, Kazimierza Ajdukiewicza, Romana Ingardena. Wykładał między innymi na Uniwersytecie Jagiellońskim, Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Sorbonie i w Collège de France. Był autorem ponad 30 książek (w tym monumentalnej, ośmiotomowej „Filozofii europejskiej w XV wieku”) i 250 prac badawczych, wychowawczą i mistrzem polskich mediewistów. Dodawał Polakom otuchy przed wejściem do Europy, mawiając, że „wszelkie lęki świadczą o braku wiary w wielkość polskiej kultury. Ja o tej wielkości jestem absolutnie przekonany”.



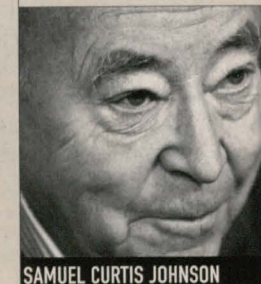
ELVIN JONES

Elvin Jones, 77, amerykański perkusista jazzowy. Sławę wirtuoza perkusji zyskał w latach 60. dzięki grze w kwartecie Johna Coltraine’a. Nagrał z nim między innymi legendarną płytę „A Love Supreme”. Urodził się jako najmłodszy z dziesięciorga rodzeństwa. Jego dwóch braci – Hank i Thad – również było muzykami jazzowymi. Na jego pierwszym występie – w klubie country – przykazano mu: „Masz tylko trzymać rytm”. Potem grał z takimi sławami jak Bud Powell, Miles Davis czy Duke Ellington. Koncertował na całym świecie, gościł również w Warszawie i Świdniku. Dzięki niemu perkusja zaczęła pełnoprawnie uczestniczyć w improwizacjach zespołów jazzowych.



JOERGEN NASH

Joergen Nash, 84, prowokacyjny duński artysta, malarz i poeta. Wraz z bratem w 1960 roku założył komunę sytuacjonistów w Drakabygget w południowej Szwecji. Wydawał wtedy pismo o filozofii i sztuce tłumaczące zasady sytuacjonizmu. Napisał wiele powieści i książek o sztuce. Jego obrazy wystawiane były w galeriach i muzeach na całym świecie. W 1963 roku został uhonorowany przez duńską Królewską Akademię Sztuki. Zasłynął i zyskał przydomkiem „mordercy Syrenki”, gdy w 1964 roku przyznał się do obciążenia głowy Małej Syrence, statuetce ozdabiającej port w Kopenhadze. Wielu uznało ten wybrzyk za akt wandalizmu, ale Nash chciał – jak tłumaczył – obudzić w ludziach emocje i zmusić do refleksji.



SAMUEL CURTIS JOHNSON

Samuel Curtis Johnson, 76, jeden z najbogatszych ludzi w USA, wieloletni szef koncernu S.C. Johnson produkującego znane również w Polsce artykuły chemiczne dla gospodarstw domowych (OFF przeciwko komarom czy Raid, który „zabija owady na śmierć”). Firma, założona przez pradziadka Johnsona, rozkwitła w ciągu ostatnich dziesięcioleci, a jej szef okazał się zdolnym menedżerem mimo zamiłowania do ryzykownych decyzji biznesowych. Odchodząc na emeryturę w 2000 roku, przekazał dzieciom trójce dzieci w taki sposób, by każde z nich stanęło na czele własnej firmy. Rok później przyznał się, że jest alkoholikiem. – Wiesz, że musisz wygnąć z siebie tę małpę, alkohol, ale nie możesz – mówił w autobiograficznym filmie o swej beznadziejnej walce z nałogiem.



a właściwie
to...

Psubracia

tak już kolejny tydzień wszyscy piszemy o torturach, znęcaniu się amerykańskich żołnierzy nad irackimi więźniami. I tak relacjonujemy śledztwa w tych sprawach. I znowu przedstawiamy naszym czytelnikom, telewizjom i radiostuchaczom rozkazy głównodowodzącego w Iraku, Amerykanina generała Sancheza, z których może wynikać, że być może inspirował te okrucieństwa, a przynajmniej niewiele zrobił, by im zapobiec. I tak oburzamy się, bo wypłynęły kolejne kompromitujące naszą cywilizację zdjęcia z irackiego więzienia, i tak wyrażamy nadzieję, że winni zostaną ukarani, a tortury się nie powtórzą. I tak sobie żyjemy. A nie powinniśmy. Głównodowodzący, jak sama nazwa wskazuje, ma pod sobą też naszych żołnierzy w Iraku, a nasze wojsko należy do koalicji wojskowo-politycznej, której funkcjonariusze torturują, lżą i poniżają skrupowanych, bezbronnych więźniów. Dla torturowanych jesteśmy towarzyszami broni ich katów. Potencjalnymi katami. Ktoś może powiedzieć, że to pojedyncze

przypadki, że w tortury nie została zaangażowana cała machina koalicji, że nie można mówić o żadnym podobieństwie do na przykład armii niemieckiej Trzeciej Rzeszy, która z takich działań uczyniła element podbojów. Tamta wojna była 50 lat temu i od tego czasu poziom akceptacji dla bestialstwa znacznie się obniżył. Dziś o nowoczesnej armii decydują indywidualne zachowania żołnierzy. Taka jest nowoczesna miara wojskowego okrucieństwa. Tak więc, uczestnicząc w irackiej koalicji, staliśmy się współwinni przerażających czynów. Z pewnością następne, podobne, będą odkrywane przed opinią publiczną. I nie będziemy mogli powtarzać: to nie my, to Amerykanie. Stanowimy w Iraku jedną armię stabilizujących amerykańską okupację. Bo do tego sprowadza się odmienniana przez wszystkie przypadki „misja stabilizacyjna”. To trzeba sobie uzmysłowić, patrząc na zamazane zdjęcia torturowanych Irakijczyków. To też nasze ofiary.

PIOTR NAJSZTUB

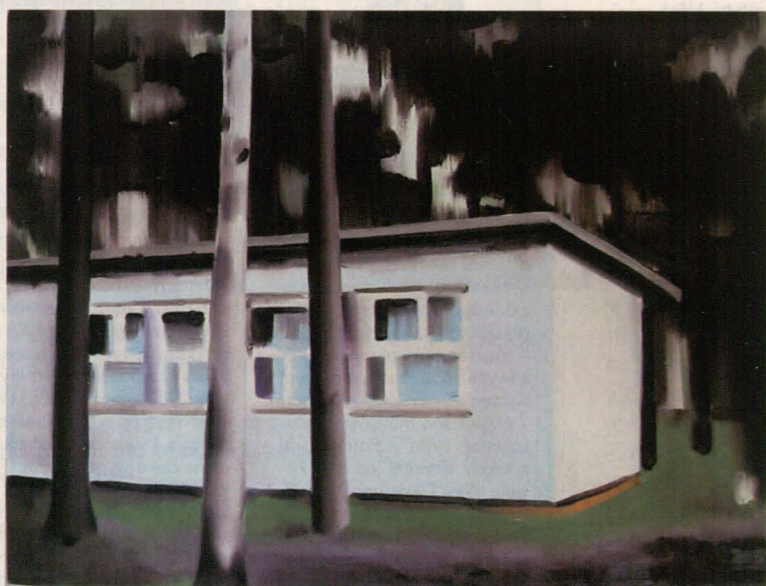


Eurodeportacja

m bliżej wyborów do Parlamentu Europejskiego, tym więcej mam wątpliwości, czy 13 czerwca powinniśmy słuchać głosu rozsądku i wybierać mędrców. Parlament Europejski doskonale radził sobie dotąd bez polskiej mądrości, jego realny wpływ na politykę Unii sprowadza się do pilnowania Komisji Europejskiej i oliwienia brukselskiej biurokracji, a z praktyki wiadomo, że wartościowi eurodeputowani są w Strasburgu równie anonimowi jak figuranci. Po co więc skazywać nasze ostatnie autorytety na zsyłkę? Pójdźmy po rozum do głowy i spójrzmy na te wybory inaczej. Za dwa tygodnie mamy okazję deportować z Polski 54 politycznych bankrutów, oszołomów i karierowiczów. Łapówek w Strasburgu nie wezmą, wstydu wbrew obawom też nie zdołają narobić, bo po wyborach mało które media interesują się europarlamentem. A że będziemy płacić im pensje? Złoty interes. Zapłacimy, by przez pięć lat trzymali się z dala od polskiej polityki. W 2009 roku części przedłużymy banicję, przepraszam, kadencję, a na miejsce tych, którym odechce się polityki, deportujemy następnych. Chyba że do tego czasu Parlament Europejski przestanie być atrapą unijnej władzy ustawodawczej i zacznie podejmować nie tylko potrzebne, lecz także istotne decyzje. A mądrzy kandydaci? Za bardzo szanuję profesora Bronisława Geremka, by swoim głosem skazywać go na pięć lat latania do Francji samolotem pełnym półgłówków i pilnowania, by nie kalali oni polskiej racji stanu. Jego głos jest potrzebny tutaj, a nie w strasburskich debatach nad czystością wody w kranie. Akurat do tego w sam raz wystarczą eurodeportowani.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

MACIEJOWSKI



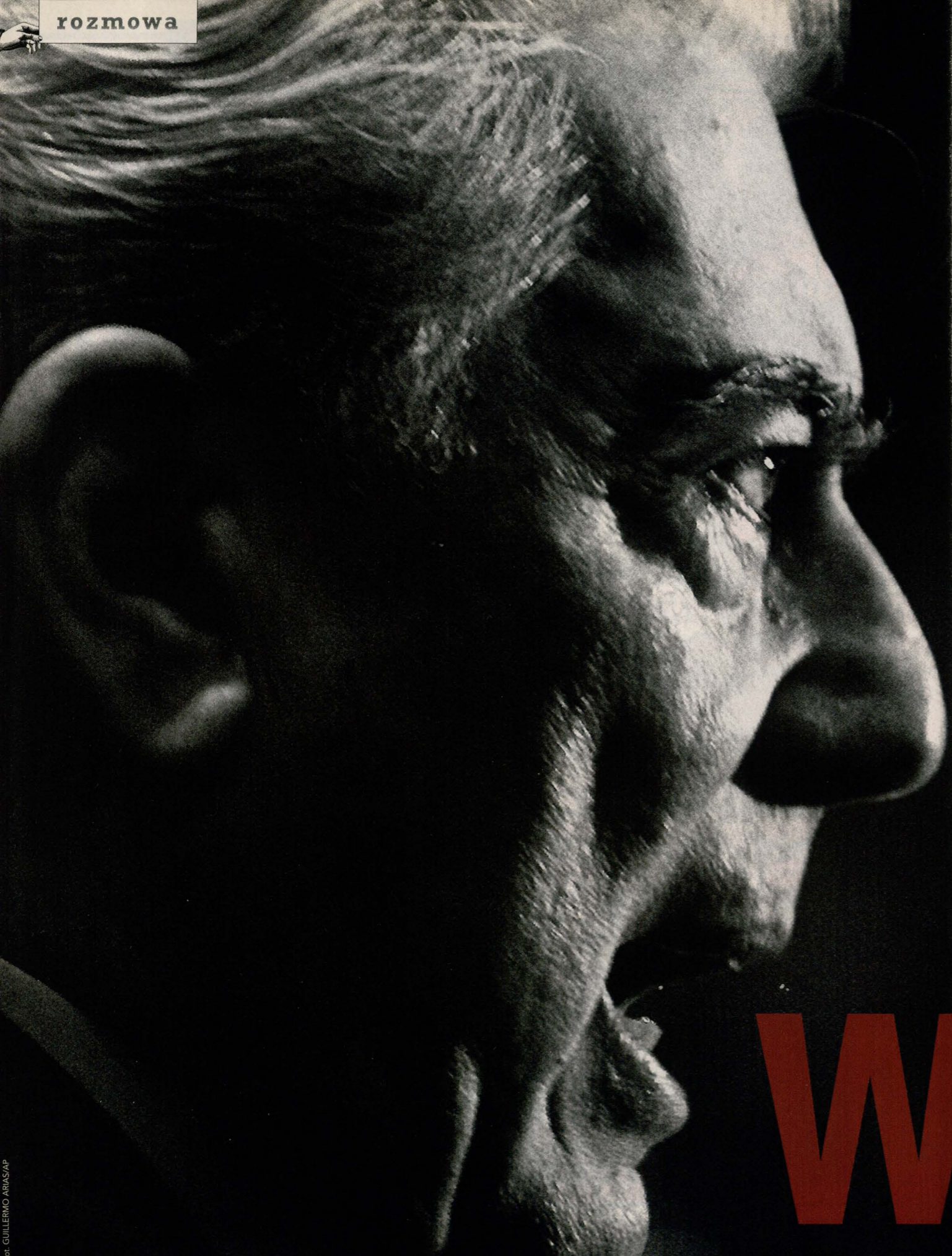
TU DZIEWCZYNY NOCOWAŁY.

© MARCIN MACIEJOWSKI/MEYER-KAINER GALLERY

raczej RACZKOWSKI



WMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



Winniśmy być
pierw wolnymi
ludźmi, dopiero
potem członkami
narodu. Nikt
nie jest skazany
na nędzę, jeśli sam
jej nie wybierze
– przekonuje
peruwiański pisarz
MARIO VARGAS LLOSA
w rozmowie
z „Przekrojem”.
Sam przyjechał
na warszawskie
obrazy Trilateral
Commission jako
przedstawiciel
Europy

FILIP ŁOBODZIŃSKI: W gremiach międzynarodowych funkcjonuje pan jako reprezentant Europy, choć jest pan Peruwiańczykiem. Czy to oznacza, że tożsamość narodowa nie ma już dziś takiego znaczenia?

MARIO VARGAS LLOSA: Słowo „tożsamość”, jeżeli nie stosujemy go wyłącznie na poziomie indywidualnym, brzmi paskudnie. Nie wierzę w tożsamość kolektywną. Kiedy ktoś mówi „Polacy”, „Francuzi” albo „Peruwiańczyki”, to jest to nędzna próba sprowadzenia człowieka do bardzo błahego parametru. Tożsamość zbiorowa jest niebezpieczną fikcją polityczną, która zawsze stwarza ogromne zagrożenie dla wolności.

Ale przecież wszyscy gdzieś się urodziliśmy!

– Przyporządkowując jednostce jakieś cechy na podstawie przynależności do wspólnoty, w której przypadek kazał jej się narodzić, pozbawiamy ją swobody wyboru tożsamości. Unia Europejska ma właśnie ten wspaniały aspekt, że przelamuje ów kompromitujący balast tożsamości narodowych, tworząc wspólnotę wielorasową, wielonarodową, wielojęzyczną, wielowyznaniową. Dzięki temu każdy może swobodnie wybrać sobie tożsamość, nie oglądając się na to, co zbiorowość usiłuje mu narzucić. Tożsamość nie może być obozem koncentracyjnym, z którego nie sposób uciec.

Polscy politycy, i to od lewicy po prawicę, przekonują, że w Europie będą bronić właśnie naszej tożsamości narodowej, kolektywnej. Taką mamy podobno rolę: chronić naszą zbiorową odrębność.

– I bardzo dobrze! Należy chronić partykularyzmy, należy bronić różnorodności, regionalnego języka, obyczaju. Różnorodność jest jednym z podstawowych bogactw Europy. Ale regionalne kultury, nierzadko pokrywające się z narodami, to jedno, a fikcyjne podziały narodowe to drugie. Państwa powstały często na podstawie arbitralnych decyzji albo wręcz w wyniku represji, eksterminacji mniejszych kultur, poprzez wypieranie słabszych języków i tradycji. Dlatego wierzę, że

Unia Europejska może stać się modelem współżycia wielu różnych ludzi.

Unia, która też jest sztucznym tworem...

– Zgoda, ale rola Polski może tu być fundamentalna, dzięki waszej tradycji wolnościowej, tradycji sprzeciwu wobec ekstremizmowi, hegemonii, wyzyskowi, wynarodawianiu. Wyrastacie z pnia najlepszej tradycji europejskiej, z tradycji obrony słabszego przed silniejszym. Ale niech was Bóg broni przed nacjonalizmem. Obydwie wojny światowe mają swe źródło w nacjonalizmie, nacjonalizm jest usprawiedliwieniem dla ksenofobii, dla rasizmu. To jedno z największych zagrożeń i Unia Europejska ma szansę być orężem przeciwko niemu w imię wolności.

Chyż w świecie współczesnym, zdominowanym przez jedno mocarstwo polityczne i ponadnarodowe organizacje gospodarcze, można się jeszcze czuć niezależnym?

– Tak, i to w dużo większym stopniu niż kiedyś. Dlaczego? Ponieważ stopniowo zanikają granice – dzięki globalizacji, która jest nie tylko zjawiskiem ekonomicznym, lecz przede wszystkim kulturowym, technologicznym, naukowym. W ten sposób tworzy się przestrzeń, w której jednostka może z większą swobodą korzystać z prawa wyboru. Weźmy na przykład profesora Leszka Kołakowskiego: oto Polak mieszkający obecnie w Anglii mówi o Europie z brytyjskiego punktu widzenia, posługuje się typowo brytyjskim podejściem zdroworozsądkowym, wolnościowym. To brzmi obiecująco i ekscytująco: Polacy będą przyjeżdżać do Hiszpanii, Hiszpanie do Polski, będzie coraz więcej wyjątków od reguł narzuconych przez sztywne podziały narodowo-państwowe. Znak, że coś dobrego dzieje się w sferze, którą ja uważam za najważniejszą – w sferze wolności osobistej.

Mówi pan, że globalizacja to tak wielki sukces współczesności, ale nie dla wszystkich to takie oczywiste...

– Globalizacja okaże się sukcesem pod jednym warunkiem – że przede wszystkim globalizować będziemy demokrację. Globalizacja

ŻOŁNIERZ / WOLNOŚCI

samych mechanizmów ekonomicznych, gdy wciąż na świecie istnieją dyktatury i reżimy łamiące prawa człowieka, zawsze będzie fiaskiem. Dyktatura łatwo może wykorzystywać globalizację dla własnych, bardzo zatrważających celów. Owszem, globalizacja rynków, kapitału, technologii, idei, ale przede wszystkim globalizacja demokracji, a więc poszanowania prawa i wolności człowieka.

Ale przecież rośnie w siłę światowy protest przeciw globalizacji.

– Wciąż żywa jest w świecie tradycja kolektywistyczna, autorytarna, nostalgia za totalitaryzmem. Te tęsknoty kryją się za parawanem dwóch najpoważniejszych zagrożeń dla ludzkości, czyli za nacjonalizmem i za fundamentalizmem religijnym, dwiema ideologiami kolektywistycznymi. One właśnie najgłośniej sprzeciwiają się globalizacji, bo stanowi ona zagrożenie dla ich istnienia, dla czegoś, co Karl Popper nazywa duchem plemiennym.

Tyle że na sile przybiera nie tylko protest ze strony starych reżimów, lecz także ruch oddolny w krajach demokratycznych.

– Ruch antyglobalistyczny w krajach cywilizacji zachodniej powinien sprzeciwiać się nadużyciom, do których dochodzi, gdy globalizacji nie towarzyszy promocja demokracji. Jednak obserwując obecne manifestacje antyglobalistów, widzę skłonność do centralizmu, do autorytaryzmu, do zamykania się w sobie, czyli sprzeciw wobec wolności.

Antyglobaliści mówią dużo o nowym podziale świata na międzynarodówkę dostatków i międzynarodówkę ubóstwa. Tożsamość byłaby w takim świecie determinowana już nie przez przynależność do grupy narodowej czy religijnej, ale przez stan materialny.

– Zgoda, współcześnie obserwujemy także rozwój kultury ściśle materialistycznej, nastawionej na zysk. Ale tego nie zwalczamy manifestacjami i akcjami, które mają na celu zamknięcie społeczeństw w małych gettach. Tu trzeba przedsięwziąć ogromny wysiłek w celu globalizacji kultury. Chodzi o to, że problem bogactwa i biedy nie ma nic wspólnego z globalizacją, on wynika z pewnych opcji politycznych. Współcześnie każdy kraj może sam wybrać, czy będzie bogaty, czy biedny.

Jak to, możliwe jest, żeby jakiś kraj sam wybrał ubóstwo?

– Oczywiście! Większość biednych krajów znalazła się w tej sytuacji, ponieważ stosuje politykę, której efektem jest produkcja biedy. Zamknięcie granic, ksbobność gospodarza, autarkia – to są źródła współczesnego ubóstwa.

W pierwszej połowie XX wieku, w epoce dyktatur wojskowych, kraje latynoamerykańskie wprowadziły ustroje, w których rozdział bogactwa był funkcją dystrybucji władzy. Synekury, przywileje, monopole, nepotyzm – to wszystko sprzyja korupcji, a przede wszystkim stwarza szanse, czyli prostą drogą prowadzi do nędzy.

Wybór bogactwa wydaje się oczywisty, choćby Irlandia czy Daleki Wschód.

– A dlaczego kraje daleko-wschodnie są dziś tak prężne i bogate? 30 lat temu Korea Południowa była strasznie ubogim krajem, a dziś jest nieprzypadkiem bogata. Singapur, jedno z centrów światowego dostatków, kiedyś przemierzały w tę i z powrotem krokodyle, które nie przysparzały specjalnie bogactwa mieszkańcom stłoczonym w chatkach na podmokłym terenie. Skąd ta odmiana? Nie za sprawą palca bożego, ale przyjęcia pewnych określonych założeń polityki ekonomicznej, które przysporzyły dostatków całemu społeczeństwu.

To był wybór bogactwa. A wybór nędzy?

– 50 lat temu Argentyna była jednym z najpotężniejszych gospodarczo krajów świata, zajmowała bodajże szóste czy siódme miejsce na liście największych potęg przemysłowych, była bogatsza niż trzy czwarte Europy. A dziś jest zagrożona w nędzy. Co się stało? Nie było wojny, żadnej apokalipsy w rodzaju 11 września... Nie, przyszły tylko rządy skorumpowanych idiotów, demagogów, którzy jak gdyby z rozmysłem doprowadzili Argentynę na skraj kompletnego upadku, zniweczyli dorobek paru pokoleń. W przeszłości bogactwo i nędza zależały od siły, od położenia geograficznego, ale dziś decydująca jest wybrana przez dany kraj polityka, która albo nastawia się na dobrodziejstwa wymiany idei i towarów, albo na konsumpcję przez wąską elitę tego, co kraje bogatsze są w stanie zaoferować.

Wyklucza pan sens pomocy gospodarczej?

– Nie sposób biednemu krajowi pomóc na siłę. On sam musi przestawić się na pewne myślenie przyszłościowe, na docelowy dobrobyt kosztem chwilowych wyrzeczeń klasy rządzącej. Pod tym względem nie jestem pesymistą, nie uważam, żeby ubóstwo było zdeteminowane historycznie czy geograficznie, konieczna jest tylko światła myśl polityczna.

Ale jak promować idee demokracji i rozumnej gospodarki?

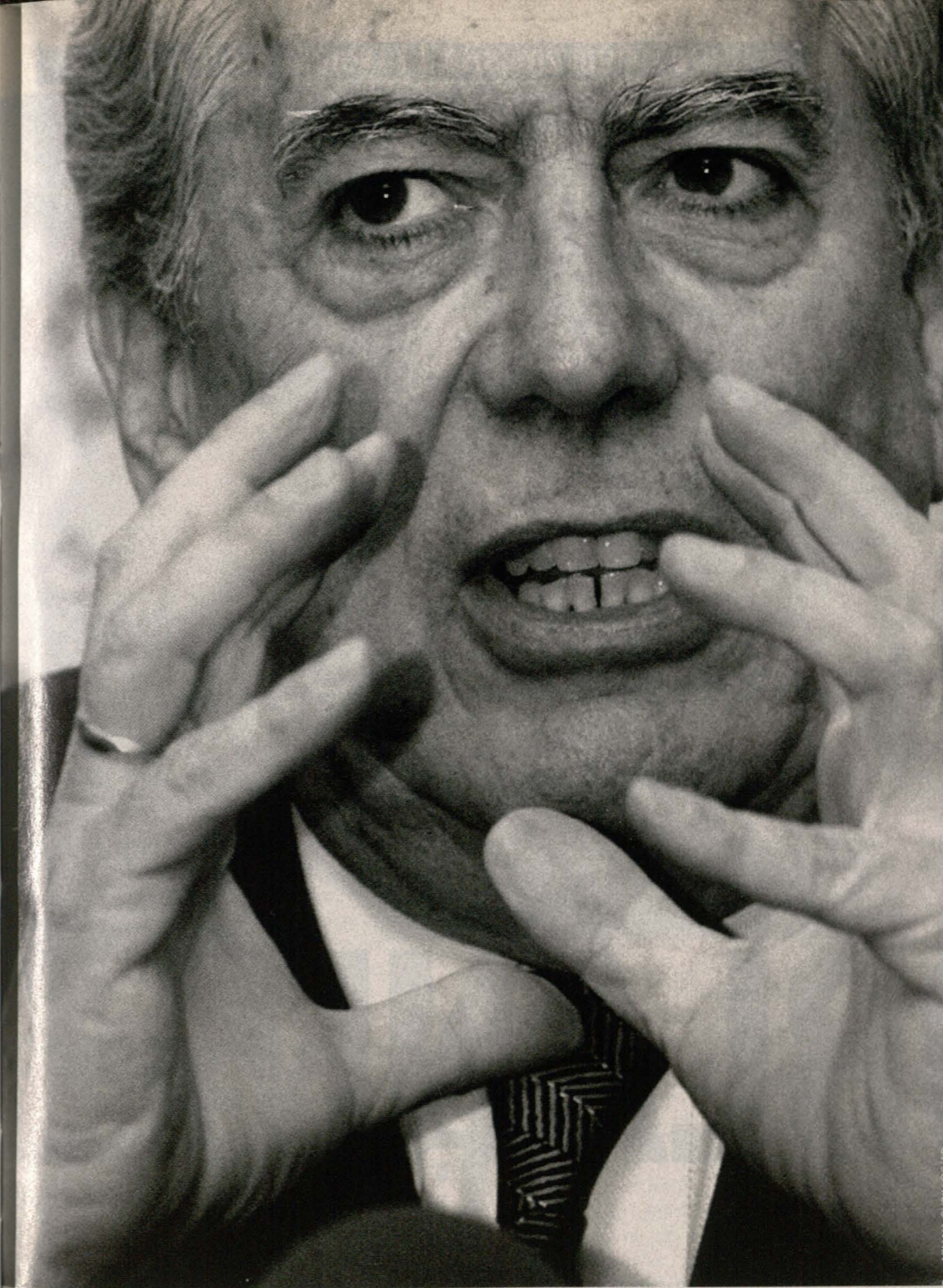
– Niestety, tu jest gorzej. Panuje moda na propagowanie czysto technologicznej wizji rozwoju sprowadzonej do materializmu. Humanizm jest w odrocie, nie ma wymiany wartości duchowych. To choroba, która toczy obecne szkoły i uczelnie, w których pragmatyzm zdominował edukację. A właśnie brak duchowości uważam za piętę achillesową dalszego rozwoju i dostatku. Kraj bogaty i tkwiący w barbarzyństwie to kraj, który ryzykuje utratą własnego dobrobytu, ponieważ sprowadza własne funkcjonowanie do poziomu czysto wegetatywnego. Kultura zachodnia zapomina dziś o wymiarze moralnym, duchowym i intelektualnym, a to one są podstawą najważniejszego prawa człowieka, czyli prawa do wolności.

A skąd nasze, cywilizacji zachodniej, przekonanie, że prawa człowieka są tą wartością, którą musimy promować? Może racja historyczna stanie po stronie innych kultur, gdzie, mówiąc delikatnie, prawa człowieka są respektowane nieco mniej nachalnie.

– Jestem całym sercem za różnorodnością kulturową, ale nie wolno nam przy tym odejść od pewnych podstaw, a z nich najważniejszą jest właśnie prawo człowieka do osobistej wolności i godności. Nie widzę powodu, dla którego jakikolwiek człowiek na ziemi miałby być z definicji traktowany gorzej, i nigdy nie zaakceptuję zdania przeciwnego. Nie przekona mnie nikt na przykład, że kobietę należy traktować jak przedmiot. Nawet jeśli lokalna kultura tak stanowi, ja uważam to za rzecz nie do przyjęcia, ponieważ oznacza to pogwałcenie prawa człowieka, i to nie tylko tej upokorzonej kobiety, ale każdej istoty na ziemi.

Są kraje, gdzie podrzędna rola kobiet jest elementem lokalnego obyczaju, czy nam się to podoba, czy nie.

– Nie ulegajmy tu łatwemu uproszczeniu, że takie reguły obowiązują na przykład w pewnej kulturze, znanej jako kultura muzułmańska. Bo także w ramach świata muzułmańskiego są kraje, gdzie prawa kobiet są respektowane należycie. W innych krajach zaś kultura staje się pretekstem, by ciemnić część społeczeństwa, na przykład kobiety. Czyli to wynika nie z tradycji muzułmańskiej, ale z politycznej jej interpretacji. Tym bardziej że w swych początkach islam był najodważniejszym głosem w obronie praw kobiet, dopiero potem ugrzązł w interpreta-



Historii nie tworzy się za pomocą siły militarnej, techniki czy nauki. Tworzą ją idee jednostek, a nie zbiorowości

cyjach Koranu. Jakoś w Bangladeszu czy w Tunezji można wyznawać islam i szanować kobiety. Najwyższą emanacją człowieczeństwa jest równość ludzi wobec prawa i ich swoboda osobista. I nie jest to mrzonka Zachodu, ale przywilej całej ludzkości.

Może to my tak myślimy, a mieszkańcom innych cywilizacji jest z tym dobrze?

– Nie przekona mnie nikt, że kobieta czuje się szczęśliwa, gdy ojciec sprzedaje ją przyszlemu mężowi, gdy wie, że przez całe życie nie będzie mogła dokonać wyboru co do własnego życia. W takim społeczeństwie kultura i tradycja to zasłona dymna dla katów. Bo pozbawienie wolności osobistej to tortura. Podobnie religia – w sumie każda religia,

a szczególnie religia upaństwowiona, była początkowo do pewnego stopnia narzędziem dyskryminacji. I dopiero stopniowo wchłaniała idee i pojęcia, które nakazują poszanowanie praw człowieka. Każdy człowiek dąży do tego, by cieszyć się wolnością, czasem po omacku, czasem nieporadnie, ale to naturalne pragnienie szczęścia. I temu powinniśmy poświęcić jak największą uwagę, nieustannie podnosić tę sprawę na każdym dostępnym forum, mówić o tym otwarcie i przemycać tę ideę, gdy nie da się inaczej.

A czy nawet otwarte głosy jednostek mogą być słyszalne w świecie, gdzie najgłośniej słychać krzyk maklerów i strzały?

– Idee tworzą historię. I to nie zbiorowości, ale jednostki wytwarzają idee. Historii nie da się wykreować dzięki sile militarnej, nauce czy technice. Osobistości dysponują siłą, jakiej nie ma żadna armia. W '82 roku wspólnie z tysiącami innych demonstrantów protestowałem w Limie pod ambasadą polską przeciwko stanowi wojennemu, a poszliśmy tam nie dla jakiejś mitycznej zbiorowości, ale z powodu konkretnego człowieka, Lecha Wałęsy, ponieważ to w jego osobie skupiło się polskie marzenie o wolności.

Wałęsa w tamtym czasie nie działał sam...

– Nie był sam, oczywiście, ale jego słowa miały siłę wykraczającą poza granice. Peruwianczyków obchodził nie tyle jakiś średni kraj w odległej Europie, ile człowiek, który symbolizował aspiracje wspólne wszystkim ludziom na świecie. Takie symbole są do dziś ważne. I chociaż świat jest strasznym miejscem do życia, nie wolno zaniechać optymizmu, dopóki są jednostki zdolne przekazywać idee. Polska jest na to żywym dowodem. Pamiętamy, gdzie Polska

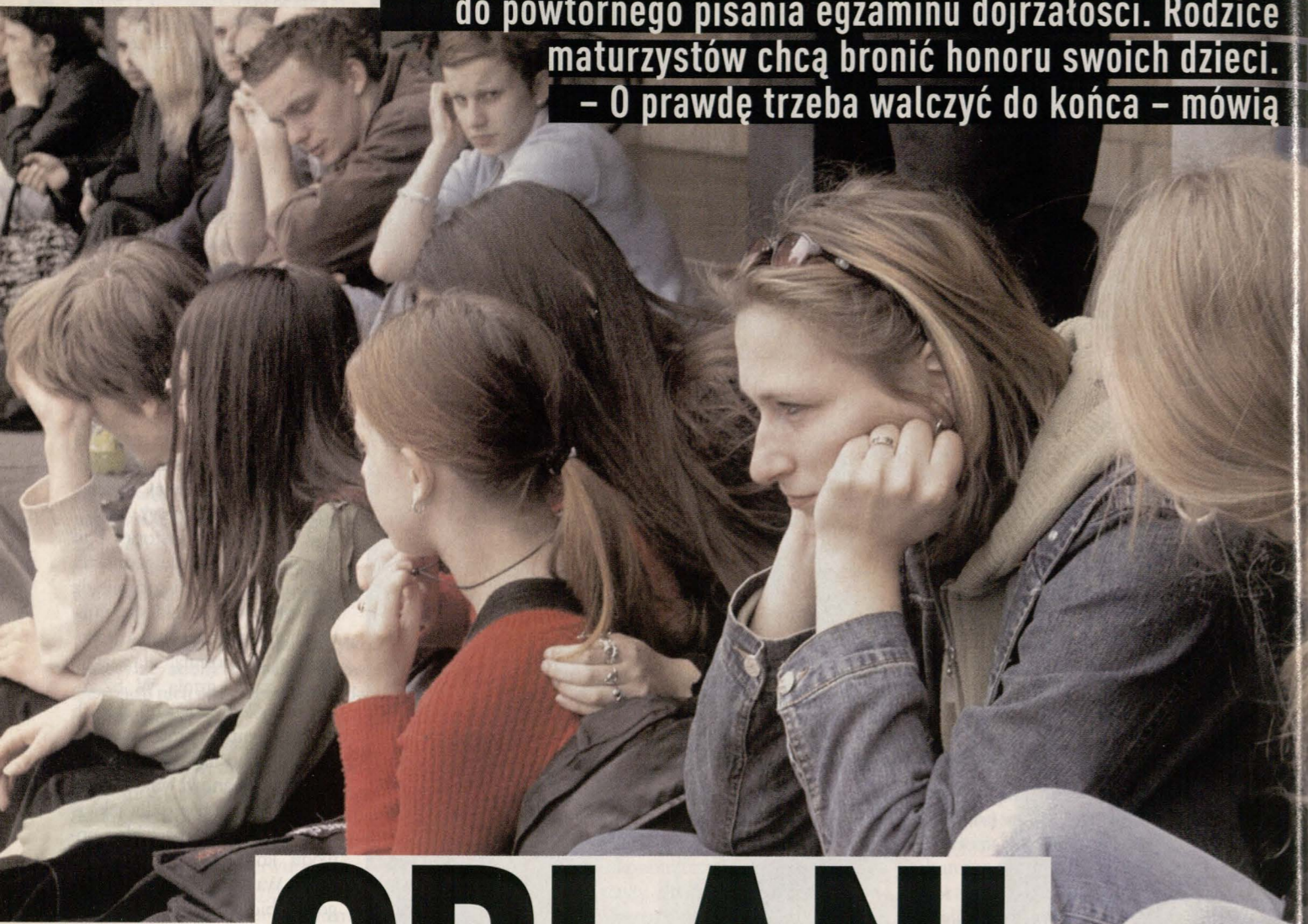
była 20 lat temu...

Wielu Polaków zdaje się o tym zapominać.

– To niedobrze. Właśnie z tego powinniście czerpać siłę, z przemian, jakich dokonaliście. Inne, biedniejsze kraje patrzą na was jako na źródło nadziei.

ROZMAWIAŁ FILIP ŁOBODZIŃSKI

Kuratorium zmusiło 11 tysięcy młodych ludzi do powtórnego pisania egzaminu dojrzałości. Rodzice maturzystów chcą bronić honoru swoich dzieci. – O prawdę trzeba walczyć do końca – mówią



OBLANI PRZEZ PRZECIEK

Takiego paraliżu jak w ubiegłym tygodniu Opole nie przeżywało od czasu pamiętnej powodzi. Przed gmachem urzędu wojewódzkiego usadowiły się wozy transmisyjne TV i stacji radiowych. Funkcjonariusze specjalnego oddziału policji w brunatnych kombinezonach, z osłonami na twarzach i długimi pałami czekali w cieniu portierni, żeby w razie konieczności chronić urzędników. Jak w stanie wojennym.

Wokół urzędu zgromadziło się pięć tysięcy młodych ludzi wraz z rodzicami. Przyszli w poniedziałek, żeby zażądać anulowania nakazu o powtórzeniu w całym województwie pisemnych matur z polskiego i matematyki. Od piąt-

kowego popołudnia kurator oświaty konsekwentnie powtarzał: „Nie wycofam się”, a jego prawnicy dowodzili, że postanowienia nie można nawet zaskarżyć, ponieważ ma charakter zarządzenia, a nie decyzji administracyjnej. – Może w demokratycznym państwie prawa zaczęta teraz obowiązywać carskie ukazy! – pyskował do kamery ojciec maturzysty. – Nam do demokracji tak blisko jak na Alaskę i z powrotem.

Od rana manifestanci maszerowali głównymi traktami miasta, skutecznie blokując ruch samochodów. Stacje TV pokazywały później, jak w pobliżu głównego ronda policjanci szarpali się z maturzystami, choć faktycznie taki wypadek zdarzył się tylko raz. Gremialnie na-

tomiast popierali młodzież przechodnie na ulicach. – Nie dajcie się, pokażcie im, kto tu jest górą! – poklepywali maturzystów opolanie.

Gdy pochód rozgrupował się przed siedzibą wojewody, do tłumu dołączył Ryszard Czarniecki, dawniej poseł ZChN, dziś partyjny towarzysz Andrzeja Leppera. Zaoferował maturzystom usługi mediacyjne, ale młodzież, czując pewnie, że jest wciągana w polityczne gry, zdecydowanie mu podziękowała.

Po półgodzinnej salwie okrzyków do manifestantów wyszedł kurator Franciszek Minor. Nie zdążył dużo powiedzieć, ponieważ posypały się w jego kierunku kurze jajka. Oznajmił tylko, że minister edukacji zmienił częściowo

jego postanowienie. Ci, którzy wybrali z polskiego dwa ostatnie tematy, nie będą musieli zdawać ponownie. To jakieś trzy procent abiturientów. Pozostali – ponad 11 tysięcy maturzystów – mają po raz drugi poddać się egzaminacyjnej procedurze.

– Próbuje nas podzielić – zawył tłum i pożegnał umykającego urzędnika wściekłymi hasłami: „Minor pedał, maturę sprzedał”, „Nie rób ściemy, nie piszemy”, „Chcemy wolności i sprawiedliwości”, „Minora do jeziora!”.

Po kwadransie wyszła do maturzystów wojewoda Elżbieta Rutkowska z życzeniami sukcesów na nowej maturze. Tłum podziękował drugim rzutem jajek. Wojewoda ewakuowała się szybciej niż kurator. – Nie będzie władza pluć nam w twarz! – zaskandował Jan Brzozowski z III LO w Opolu. Jego rówieśnicy zaintonowali pieśń: „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj Minorowi kopa i odwołanie”.

WŁADZA W STANIE KONSTERNACJI

Ogłaszając trzy dni wcześniej decyzję o powtórzeniu matur, kurator polecił zorganizować w szkołach dyżury psychologów, na wypadek gdyby któryś z abiturientów nie wytrzymał nerwowo. – Niech kuratorium samo się leczy – ironizował pod urzędem Patryk Jaki z VI LO w Opolu. – Zrobili z nas hurtowo przestępców. Teraz powinni wnieść toast: „Niech żyje zbiorowa odpowiedzialność!”.

Matury na Opolszczyźnie zaczęły się bezkolizyjnie. Po egzaminie pisemnym z języka polskiego kurator Franciszek Minor zapewniał w mediach, że wszystko odbywa się zgodnie z przepisami. Nazajutrz regionalny dziennik doniósł, iż znany redakcji pan X z Kędzierzyna-

oświadczyli, że nie ma możliwości sfalszowania czasu umieszczenia pytań. Domorośli hakerzy na takie zapewnienie śmieją się w kulak i proponują zaufanym dziennikarzom, że za kufel piwa mogą w sekundę pozmienić wszystko na dowolnym serwerze.

W kuratorium zapanowała konsternacja. Pytania egzaminacyjne opuszczały urząd o czwartej nad ranem, więc przeciek mógł nastąpić tylko tutaj, w urzędzie wojewódzkim. Przez dwa dni kurator Minor walczył z myślami. W końcu podjął decyzję – maturzyści staną powtórnie do egzaminów pisemnych. Takim postanowieniem władza wyprowadziła nazajutrz na ulice Opola 500 abiturientów. Kiedy w poniedziałek liczba manifestantów zwiększyła się 10-krotnie, przechodnie patrzyli z niedowierzaniem. Tak dużych manifestacji nie było w mieście nawet za pierwszej Solidarności.

– Dlaczego nie sprawdzono, ile było wejść na stronę? – gardłowała przed urzędem wojewódzkim Kasia Gawel z LO w Dobrzemiu Wielkim. – Przecież większość uczniów nie ma dostępu do Internetu, zwłaszcza w środku nocy.

ZASADA RÓWNYCH SZANS

Dwóm ojcom udało się wdrzeć do obłożonego urzędu wojewódzkiego. Przyjął ich dyrektor gabinetu wojewody. Panowie przekonywali go przez godzinę, że przywołany przez kuratora artykuł ustawy o oświacie nie odnosi się do zaistniałej sytuacji. Nikogo nie przyłapano bowiem na ściąganiu. – Z pewnością byli tacy, którzy znali tematy, bo tak dzieje się od lat podczas matur, dlaczego jednak ukarane zostało całe województwo? – pytał Leszek Radecki z Leśnicy, ojciec maturzystki Magdy. Dyrektor Przemysław Nijakowski miał jedną odpowiedź: „Nie jestem prawnikiem”.

Wieczorem do liceum w Głubczycach przyjechał minister edukacji Mirosław Sawicki. Na podobne wątpliwości rodziców odpowiedział, że kurator opolski mógł nie przywoływać żadnej podstawy prawnej, a on i tak podtrzymałby jego decyzję. – Wszyscy maturzyści powinni bowiem mieć równe szanse – perorował, wywołując salwy śmiechu na sali.

W końcu poderwał się z krzesła Włodzimirz Maciaszek, ojciec maturzystki Niny, i wygarnął wprost, co myśli: – Ukarał pan 11 tysięcy młodych ludzi, nie mając dowodów, że popełnili przestępstwo. Największych bandziorów sądzi się za czyny, a nie za domniemanie. Wina urzędników została obarczeni uczniowie. Czy za spowodowanie wypadku na drodze powinno się karać wszystkich kierowców, którzy byli w pobliżu?

– W życiu czasem tak bywa, że ktoś popełni przestępstwo, a inni muszą cierpieć – kontynuował minister z marsowym obliczem.

ŚLADY NA TAJWAN?

Nazajutrz ekipy dziennikarskie czatowały od rana przed szkołami, w których miały się

odbyć powtórki z matury. Szybko okazało się, że dyktowana emocjami zapowiedź bojkotu przegrała ze zdrowym rozsądkiem. Abiturientci stawili się przed komisjami egzaminacyjnymi. Większość była ubrana na czarno, niektórzy włożyli kolorowe wdianka jak do dyskoteki.

– Uroczysty garnitur miałem na prawdziwej maturze – mówił Janek Brzozowski, lider manifestujących. – Dzisiejsza żałobna hucpa mało mnie obchodzi, więc przyszedłem w ciuchach, które noszę na co dzień.

Po egzaminie Brzozowski opowiadał, iż najbardziej boli go to, że władza uznała opolską młodzież za idiotów. – Przeczytajcie tematy, a sami się przekonacie – śmiał się. – Czy średnio inteligentny uczeń potrzebuje przecieków i gotowców, żeby zapisać parę stron na tak ogólne zagadnienia?

Na powtórkową maturę zaserwowano tematy: „Portret bohaterów bliskich współczesnemu czytelnikowi” i „Fatum czy wolna wola – twoje refleksje nad ludzkim losem”.

Według oficjalnego komunikatu kuratorium w Opolu w powtórkowym egzaminie uczestniczyło 99 procent uprawnionych maturzystów. Zabrakło około 120 osób. Jest wśród nich Magda Pankiewicz ze Zdzieszowic; rano przeżyła załamanie nerwowe i nie była w stanie wyjść do szkoły. Za pierwszym razem poszło jej świetnie. Jest też Bożena H., która rok temu oblała polski. Była pewna, że tym razem nie powinie jej się noga – z egzaminu wróciła do domu zadowolona. Nie przewidziała, że w tym czasie umrze jej ojciec, a pogrzeb odbędzie się w czasie powtórki z polskiego.

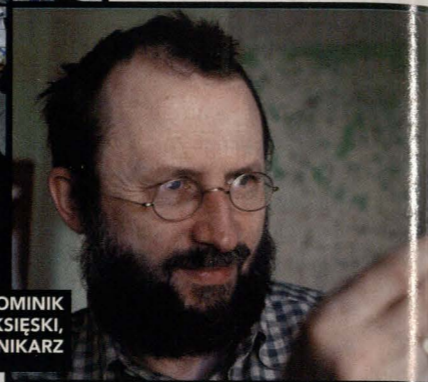
Policja od tygodnia zapewnia, że jest na tropie osoby, która umieściła zadania w Internecie. Hakerzy znów śmieją się z mundurowych specjalistów. Jeżeli nadawca znał się na internetowych zmyłkach, ślad może zaprowadzić do Tajlandii albo na Tajwan.

Rodzice maturzystów chcą bronić honoru swoich dzieci. Zakładają stowarzyszenie Matura 2004 i zapowiadają procesy sądowe. Leszek Radecki z Leśnicy poprosił o pomoc rzecznika praw obywatelskich, który błyskawicznie wystosował pismo do ministra Sawickiego, zwracając uwagę, że opolski kurator oparł się na przepisach zaskarżonych do Trybunału Konstytucyjnego, a podjęta decyzja ma znamiona odpowiedzialności zbiorowej. Minister otrzymał list przed egzaminami powtórkowymi, nie uznał jednak za wskazane odnieść się od razu do jego treści.

Radecki złożył pozew w sądzie zaraz po maturze córki. – O prawdę i uczciwość trzeba walczyć do końca – mówi z przekonaniem. – Przecież egzamin dojrzałości to nie tylko papierek z orłem i pieczętką.

Dzień po powtórkowej maturze kurator Franciszek Minor podał się do dymisji.

AGNIESZKA MALIK, JAN PŁASKOŃ

PRACOWNICE
CUKROWNIREDAKCJA
TYGODNIKA
„PAŁUKI”DOMINIK
KSIĘSKI,
DZIENNIKARZJAN
JARMUŻ,
BIZNESMENFRANCISZEK
GIL,
MURARZKAZIMIERZ
KUBIAK,
MALARZMACIEJ
URBANOWSKI,
BEZROBOTNYHENRYK
DZIESZYŃSKI,
MECHANIKKAZIMIERZ
PIWKOWSKI,
MUZYKMICHAŁ
BAJCZYK
Z ŻONĄ,
WŁAŚCICIEL
SKLEPÓW

Widok miasta

lotu ptaka i mieszkańcy Żnina

DORZYZNANIE

DOROTA SAJNUG

ŻNINA

Tragiczna decyzja o zamknięciu cukrowni przyszła faksem tuż przed Wielkanocą. Najpierw zaczęli głodować mężczyźni. Wzięli urlopy. – Nie chcieliśmy, by mówiono, że przez nas spółka ma straty.

Leżeli na materacach przez dwa tygodnie. Kilku trafiło do szpitala. I wtedy pojawiła się nadzieja – poseł SLD Jerzy Wenderlich, który z tego okręgu zamierza kandydować do Parlamentu Europejskiego. Na oczach głodujących chwycił komórkę i gdzieś zadzwonił. Wszyscy słyszeli, jak mówił: „Tak, panie ministrze” i „Nie, panie ministrze”. Potem rozpromieniony oświadczył: – Załatwiłem, cukrowni nie zamkną.

Głodni zaczęli jeść. Ale radość nie trwała długo. Już po dwóch dniach przyszedł faks z zarządu spółki: zamykamy, to nieodwołalna decyzja.

„Przekształcenia są absolutnie niezbędne, jeśli Krajowa Spółka Cukrowa ma przetrwać na rynku i sprostać konkurencji firm zachodnich” – napisał w uzasadnieniu Krzysztof Kowa, prezes spółki, do której należy 28 polskich cukrowni.

Ludzie się wściekli. Głodówkę zaczęła druga tura. Poseł Wenderlich poczuł się dotknięty decyzją Warszawy i na znak solidarności ze Żninem przestał jeść w swoim biurze poselskim w Toruniu. Ktoś złośliwie zamówił mu pizzę.

BURAKI NA OSTRO

W Żninie pojawiło się jeszcze kilkoro posłów i posłanek. Pogadali, naobiecywali i wyjechali. Wtedy nie wytrzymały pracownice cukrowni. Zagnały swoich mężów do pracy i same zaczęły głodówkę.

– My się nie poddamy – mówią. – Prędzej tu zdechniemy. Niech wiedzą, że my tylko buraki przerabiamy, ale same burakami nie jesteśmy.

Kobiety zajęły pokój przy zakładowej świetlicy. Poparły je bezrobotne żony mężczyzn zatrudnionych w cukrowni. – Głodujemy – oświadczyły. – Tylko nie w cukrowni, ale w budynku związkowym po drugiej stronie ulicy.

Jacek Ludwiczak, główny technolog ze żnińskiej cukrowni, jest za tym, żeby protest zaostrzył. – Dopóki

Co robią urzędnicy
Polskiej Kampanii
Cukrowej z kurą
znoszącą złote jaja?
Zarzynają na rosół.
W całej Polsce
dymią takie garnki
z rosółem.
Podajemy przepis



Zamknięta cukrownia w Żninie

Zyski pięciu najlepszych cukrowni Krajowej Spółki Cukrowej w latach 2002/2003 (w skład spółki wchodzi 28 cukrowni)

1. ŻNIN – 1 MLN 45 TYS. ZŁ
2. LEŚMIERZ – 860 TYS. ZŁ
3. KLUCZEWO – 809 TYS. ZŁ
4. NOWY STAW – 537 TYS. ZŁ
5. TUCZNO – 475 TYS. ZŁ

nie zacznie się tu naprawdę na ostro, żadne władze nam nie pomogą. Mamy po prostu pecha, bo że Żnina nie pochodzi żaden poseł. Burmistrz jest bardzo chory, jego zastępca to dobry chłopak, ale nie ma w Warszawie żadnych układów. Tam jest nikim, więc nikt go nie wysłucha. Dyrektor cukrowni ma rok do emerytury, więc po co ma się narażać, a jego zastępca poszedł na emeryturę dwa miesiące temu. I kto ma nas bronić? Musimy to zrobić sami.

Wszystkie obietnice władz spółki cukrowej dotyczące zatrudnienia ludzi w innych zakładach i uruchomienia produkcji alkoholu do biopaliwa w cukrowni Ludwiczak uważa za mydlenie oczu. – Przecież w sąsiednich cukrowniach jest przerost zatrudnienia. Poza tym nie opłaca się wywozić stąd maszyn do produkcji cukru i wstawiać zupełnie nowych. Już lepiej zbudować fabrykę od podstaw.

DORZYNAŁ KOMUNĘ

Redaktor naczelny żnińskiego tygodnika „Pałuki” Dominik Księski wścieka się, gdy słyzy o zamykaniu cukrowni. – Nie ma do tego żadnych ekonomicznych podstaw! – wykrzykuje. Ma dziesiątki argumentów: bardzo dobra jakość cukru, niskie koszty produkcji, duży eksport i zyski, jakich nie mają inne cukrownie w Polsce.

– Zrobili plan naprawczy. Wyszło im, że w kraju są za duże moce produkcyjne, więc kilka zakładów trzeba zamknąć. Niech likwidują te nierentowne, a nie nasz. Na pierwszy rzut oka widać, że to decyzja polityczna, a nie ekonomiczna – mówi dziennikarz.

Podobnie myślą wszyscy w mieście. Gazeta drukuje listy z poparciem dla głodujących.

Księski jest z zawodu nauczycielem polskiego, a z powołania dziennikarzem. W 1989 roku zaczął wydawać tygodnik polityczny „Wulkan”. Odbijał go na ksero w 200 egzemplarzach i rozprowadzał wśród znajomych.

– To miał być oręż w walce z dogasającym komunizmem. Zamierzałem osobiście dorzucić resztki komuny – mówi. Po ośmiu miesiącach był kompletnie wykończony wydawaniem ga-

zetki. – To była straszna harowa, bo wszystko od początku do końca robiłem sam.

Zamknął interes. Wyjechał na długie wakacje. – I nadeszły wybory prezydenckie. Przeżyłem szok. Okazało się, że w Żninie w pierwszej turze wygrał Stan Tymiński. Postanowiłem założyć gazetę. Chciałem, żeby moje miasto miało własne, rzetelne źródło informacji. Przecież nie można podejmować politycznych decyzji, kiedy nie ma się dostępu do informacji.

Księski miał jeden komputer, drukarkę i pieniądze na wydanie pierwszego numeru. – Byłem pewien, że ludzie to kupią.

Nie mylił się. Tysiąc egzemplarzy tygodnika „Pałuki” rozeszło się błyskawicznie. Dziś gazeta sprzedaje się w 14 tysiącach egzemplarzy i jest największym tygodnikiem w regionie. W redakcji pracuje 20 osób.

Redaktor Dominik Księski jest spadkobiercą przedwojennych tradycji Żnina. To stamtąd pochodzi Alfred Krzycki, znany wydawca, który wraz z żoną Anną zaczął w Żninie drukować najpopularniejszy kobiecy magazyn „Moja Przyjaciółka” – pierwowzór obecnej „Przyjaciółki”. Tygodnik odniósł niebywały sukces. W latach 30. w Polsce sprzedawano 250 tysięcy egzemplarzy tego pisma. Żnińska drukarnia nie mogła nadążyć z produkcją tak ogromnego nakładu. Innym hitem wydawniczym był tygodnik „Moje Powieści”. Prawie półmilionowy nakład.

Kilka lat temu na sesji rady miejskiej ktoś zaproponował, by imieniem Krzyckich nazwać ulicę. Znalezione króciutką uliczkę łączącą dwie większe.

– No i mamy ulicę Krzyckich. Problem polega tylko na tym, że nikt przy niej nie mieszka – wzdycha Księski. I dodaje: – Sam już nie wiem, czy śmiać się, czy płakać.

W Żninie nie zmieniono nazw ulic nadanych na cześć komunistycznych bohaterów. Podobno z powodów oszczędnościowych. Kilka bloków nadal stoi przy Marcelego Nowotki. Przetrawiała też ulica 22 Lipca.

– Kiedyś padła propozycja, żeby je zmienić – opowiada Dominik Księski. – Pierwsza mogłaby się nazywać Marcelego N. Nawet tabliczek nie trzeba by było zmieniać. A druga E. Wedel. Ale radni uznali, że są ważniejsze sprawy.

PROFESOR WZDYCHA

Profesor Kazimierz Piwkowski sprawę cukrowni uważa za skandal. Zresztą niejedyny w tym mieście w ostatnich czasach. Piwkowski, znany na świecie muzyk i dyrygent, wielbiciel muzyki dawnej, cieszy się w mieście szacunkiem i poważaniem. Tu mieszkali jego dziadkowie i rodzice, którzy zawsze uczestniczyli w życiu lokalnej społeczności. Piwkowski wyemigrował do Niemiec po wojnie. Zamieszkał w Lubece. Ale ciągnie go do Żnina.

– Tu spędziłem młodość, stąd pochodzi moja żona – opowiada. Jego ojciec był organistą w miejscowym kościele. Robił też podkłady muzyczne do niemych filmów. – Kiedy był w-

stern, mocno uderzał nogą w pedały pianina, imitując strzały – wspomina profesor. – Boli mnie, gdy widzę, jak tu wszystko upada. Nawet kino dogorywa.

Filmów prawie nikt już w Żninie nie ogląda. Ludzie wolą spędzać czas przed telewizorami. Kino działa wtedy, gdy na seansie pojawia się więcej niż siedem osób. Jednak to rzadkość. Kiedyś chlubą miasta był teatr alternatywny, ale przestał istnieć, gdy jego główny organizator rozwiódł się i wraz z miejscową gwiazdą aktorstwa zamieszkał w Warszawie.

Życie w Żninie zamiera po godzinie 17. Ulice pustoszeją, samochody znikają w garażach. O tej porze zamykany jest też tani bar z piwem.

– Widać, że ktoś tu się troszczy o morale społeczeństwa. Od piątej do wieczora miłośnicy piwa mają czas, żeby wytrzeźwieć. Dzięki temu żony mają z nich jeszcze jakiś pożytek – twierdzi Dominik Księski.

Pewnie z tych samych względów w mieście nie ma żadnej agencji towarzyskiej ani dyskoteki. Dwa bary czynne do 22. rzadko ktoś odwiedza. O 23. gasną światła w domach. Tylko gdzieś przez firanki prześwieca niebieski odbłask włączonego telewizora.

Marzeniem profesora Piwkowskiego jest zrobić coś pożytecznego dla rodzinnego miasteczka. – Próbowałem zaktywizować tutejszą inteligencję. Chciałem, żebyśmy się regularnie spotykali i dyskutowali, co można zmienić, co ulepszyć w Żninie. Skończyło się po paru razach. Jakoś nikt nie był zainteresowany.

Gdyby nie sentyment do Żnina, profesor Piwkowski już dawno dałby sobie spokój i wrócił do bogatej i czystej Lubeki.

– Denerwuje mnie nieporządek i bezmyślność – mówi. – Na jesieni władze miasta zorganizowały prace interwencyjne dla bezrobotnych. Ludzie grabili liście. Świetny pomysł, tylko potem nikt tych liści nie wywiózł. Zawiał wiatr i wszystko rozsypało się po ulicach.

Ale profesor nie zniechęca się szybko. Nie wrócił do Lubeki nawet po tym, gdy jeden z ministrantów, który wraz z księdzem przyszedł do niego po kołędzie, ukradł 1700 euro przygotowanych dla stolarza za wymianę okien.

– Trudno – wzdycha profesor. – Mam nauczkę, żeby obcych do domu nie wpuszczać.

TYLKO SIĘ NIE ŁOBIJAJ

Mieszkańcy narzekają na miejskie władze, które ich zdaniem nie robią nic, by walczyć z 35-procentowym bezrobociem, i nie są zainteresowane losem cukrowni ani innych upadających zakładów.

Maciej Urbanowski w zeszłym roku skończył studia w Szczecinie, wrócił do Żnina i został bezrobotnym. Zaocznie studiuje podyplomowo ekonomię w Poznaniu.

– Chciałem coś zrobić. Poszedłem do urzędu miejskiego. Wiem, że etatów nie ma, ale ja mógłbym tu pracować nawet za darmo. Powiedziałem o tym jednemu z wyższych urzędni-

ków, a on mi na to: „I będzie pan tu tak chodził i się łobijał”. Zrezygnowałem. Tam przecież nie ma z kim rozmawiać.

Mechanik Henryk Dzieszyński nie może pogodzić się z bierną postawą mieszkańców. – Narzekać każdy potrafi. A przecież sami są sobie winni. Takich wybrali, to takich mają.

On sam siebie uważa za człowieka czynu. Nie może przejść obojętnie, gdy widzi, jak komuś dzieje się krzywda. W sądach i prokuraturach walczy z korupcją i niesprawiedliwością. – Życie mnie zmusiło, żebym zainteresowałem się prawem – mówi.

Ma radę dla pracowników cukrowni. – Ten protest nic im nie daje, nie mają żadnego poparcia we władzach. Powinni inaczej powalczyc. W końcu są udziałowcami spółki cukrowej i mają prawo wystąpić do prokuratury zawiadomieniem, że kierownictwo działa na szkodę spółki. Bo jak inaczej nazwać fakt, że zamyka się cukrownię, która przynosi niezłe zyski. Może to doniesienie zostanie oddalone, ale pracownicy przynajmniej zyskają na czasie.

OSTATNI OPTYMISTA

Ale pomysłu pana Henryka nie da się wykozystać. Władze Krajowej Spółki Cukrowej nie dały akcji pracownikom. Udziały są już przyznane, ale zwleka się z ich rozdaniem. A kto nie ma akcji, nie może złożyć skargi.

Upadającemu miastu nie pomoże też, nawet gdyby chciał, Jan Jarmuż, największy ze żnińskich biznesmenów, który produkuje popularną w całym kraju mrożoną pizzę. Uważa, że decyzja o zamknięciu zakładu jest absurdalna.

– To wykończy miasto – mówi. – Wszystko padnie. Mimo że jest jednym z najbogatszych ludzi w Żninie, narzeka na kryzys. – Więcej ludzi nie zatrudnię. Sam ograniczam koszty. Ostatnio musialem zwolnić 20 z 70 pracowników – dodaje i skarży się, że biznes z pizzą nie idzie tak dobrze jak kilka lat temu. – Konkurencja siedzi mi na karku, muszę szukać rynkowych nisz.

Jarmuż nie ma już czasu na grę w brydża z przyjaciółmi i jazdę na harleyu.

– Motocyklem jeżdżę do klientów i to jedyna moja przyjemność – żali się. – Dlatego zacząłem walkę z urzędem skarbowym, żeby odliczyć sobie VAT za harleya. Przecież to moje narzędzie pracy. Ale był szum. Wzywali na przesłuchania świadków, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście biznes załatwiam na motocyklu.

Kiedy miasto pada, na żer ruszają urzędnicy. Gdy nie ma już czego ściągać z bogatych, biorą się za najuboższych. Drżą przed nimi nawet ci, którzy mają budki na bazarze. – Czego nie dorznie polityka, to załatwią urzędnicy – skarżą się mieszkańcy Żnina.

Ocalenie cukrowni stało się dla Żnina sprawą być albo nie być. To dzięki jej pracownikom, którzy dostają niezłe wynagrodzenia, może funkcjonować sklepik z kluczami i klamkami Michała Bajczyka, a murarzowi Franciszkowi Gilowi choć od czasu do czasu wpadnie jakaś robota.

– Gdyby nie dziesięcina dla urzędów skarbowych, gdyby nie ZUS, może dałoby się jakoś przeżyć – mówi Franciszek Gil. Już kilka razy zaczynał własną działalność gospodarczą i musiał ją zawieszać, bo nie miał 700 złotych na ZUS. Michał Bajczyk ratuje się handlem używanymi meblami i sprzętem gospodarstwa domowego. Ma też stare młynki do kawy, które oddano mu w komis, i używane buty. Ale to groszowy biznes. Z czego będzie żyć, gdy cukrownia padnie? Przecież już wcześniej pozamykano wszystkie większe przedsiębiorstwa w mieście. Wielu takich jak on będzie musiało iść na zasiłek albo jak większość młodych ludzi na zawsze wyjechać z miasta.

Pośród narzekających mieszkańców Żnina tylko Dominik Księski wyróżnia się optymizmem – jak sam mówi – niepoprawnym. – Wierzę, że cukrownia nie zostanie zamknięta – powtarza. – Wierzę w zdrowy rozsądek tych, którzy rządzą spółką.

DOROTA SAJNUG



Gdynia

Karlskrona

342 zł + opłata portowa*

Szwecja na horyzoncie!

Oferta hotelowa zawiera: przejazd promem i miejsce w kabinie 2-os. w dwie strony, nocleg w wybranym hotelu w Karlskronie ze śniadaniem,

przejazdy autobusem z terminalu do centrum miasta i z powrotem, ubezpieczenie, rozrywkę na promie. * opłata portowa 12 zł od osoby

www.stenaline.pl

(058) 660 92 00



Making good time™

PORADNIK (ZARADNEGO) EUROPOSŁA

Przez pięć lat kadencji w Brukseli polski europoseł będzie mógł wydoić z Parlamentu Europejskiego kilkaset tysięcy euro, nie przemęczając się zbytnio. I jeszcze nieźle się zabawić.

Oto w jaki sposób

MARCIN FABJAŃSKI

Trzy gigantyczne budynki Parlamentu Europejskiego w Brukseli – od lipca miejsce pracy 732 europosłów, w tym 54 Polaków – robią wrażenie na każdym eurowyborcy, który pod nimi stoi i zadziera głowę. Parlament w Strasburgu jest jeszcze większy, ale europosłowie jeżdżą tam tylko raz w miesiącu na obrady plenarne. W Brukseli pracują komisje i odbywają się pomniejsze obrady. Szkło i aluminium. 12 pięter. W środku banki, poczta, restauracja, bary, kioski, fryzjer, pralnia chemiczna,

przedszkole i żłobek dla eurodzieciaków, klub fitness (bez basenu jak na Wiejskiej, ale za to z salą do dżudo i kortami do squasha). Tu się nie uda numer Aleksandra Kwaśniewskiego, który w kwietniu 1994 roku uciekł przed dziennikarzami z Sejmu po drabinie. Do obowiązków straży – inaczej niż w Polsce – nie należy podstawianie drabin. Ale za to w czasie obrad kilka wind jest zawsze zarezerwowanych dla europosłów. Mogą nimi zjechać do garażu i zwać pismakom samochodem. Bez żadnej gimnastyki.

1.1. DIETY I KILOMETRÓWKA – WYSTARCZY BYĆ

Europoseł może zarobić pierwsze pieniądze, zanim jeszcze postawi stopę w Brukseli. Wystarczy, że pojedzie do stolicy Europy samochodem, zamiast lecieć klasą biznes. Jeśli mieszka w Rzeszowie, przejedzie 1,5 tysiąca kilometrów. Za każdy z pierwszych 500 kilometrów dostaje 0,67 euro, za następne – 0,27 euro. Razem – 605 euro. I jeszcze dodatek związany z odległością. Dla posła z Rzeszowa to tuste 357 euro. Razem 962 euro. Tyle samo za powrót.

Restauracja na trzecim piętrze Parlamentu Europejskiego, od kształtu foteli zwana Mickey Mouse. Kieliszek wina – 2,10 euro, małe piwo – 1,55

Dieta dzienna w Brukseli wynosi 262 euro. Przyzwoity pokój hotelowy można mieć za 60 euro, jedzenie prawie za darmo (patrz punkt 2.1). Zostają prawie dwie stopy na czysto. Przy 15 dniach pracy w miesiącu to okrągłe trzy tysiączki w eurowalucie. A przecież jest jeszcze pensja i diety z naszego parlamentu, chyba że

europarlament wreszcie przeforsuje ujednolicenie pensji. Europarlamentarzysta z Polski dostanie wtedy 8,5 tysiąca euro miesięcznie.

– Posłowie często przyjeżdżają wieczorem, odhaczają się na liście, zostają na następny dzień, też się odhaczają – opowiada jeden z pracowników europarlamentu. – Składają jeszcze jeden podpis trzeciego dnia rano i znikają. Jeden dzień pracy, a liczy się za trzy.

1.2. KILOMETRÓWKA – ZAGROŻENIA

Żeby dostać kilometrówkę, europoseł musi złożyć oświadczenie. Podać stan licznika auta przed wyjazdem do Brukseli i po przyjeździe. A także miejsce parkowania w garażu. Księgowi mogą sprawdzić, czy nie przyjechał z kolegą. Ale ryzyko jest niewielkie.

– Sprawdza się wyrywkowo – przyznaje anonimowo pracownica księgowości. – A jedyna kara w przypadku przyłapania na oszustwie to zwrot pieniędzy.

2.1. JEDZENIE I PICIE – JAK NIE WYDAWAĆ

Europoseł szybko odkryje, że najtaniej się naję w zatłoczonej stołówce na pierwszym piętrze, a kawy napije w częściowo zadmionej restauracji zwanej Mickey Mouse (piętro trzecie), nazwanej od oparć krzeseł przypominających uszy słynnej myszy. Za pięć euro z centami dostanie w restauracji dwa dania z piwem i deserem. Ale nie ma co się na nie rzucać – w europarlamencie



Fot. BOGDAN KRZYZEL

Po 17. europarlament wymiera. Nie ma siedzenia nad kieliszkiem do drugiej w nocy jak w barze Hawelka na Wiejskiej. Europosłowie piją i załatwiają interesy w knajpach na placu Luksemburskim.

2.2. PICIE – ZAGROŻENIA

W Brukseli o alkohol równie łatwo jak na Wiejskiej. I jest tani (kieliszek nieźłego wina w Mickey Mouse – 2,10 euro, mały Tuborg – 1,55). Ale nikt tu jeszcze nie musiał przeskakiwać przez leżącego na podłodze, pijanego posła, jak to się zdarzyło radnemu Warszawy Karolowi Karskiemu w lutym 2000 roku (radny chciał potem wprowadzić zakaz sprzedaży alkoholu w Sejmie).

– Widywałem podchmielonych europosłów, ale zawsze znaleźli się koledzy, którzy wyprowadzali ich na zewnątrz – tłumaczy mi Niall O'Neill, szef protokołu w europarlamencie. Uspokaja, że gdyby polskiemu posłowi zabrakło kolegów, zastąpi ich godnie tutejsza ochrona.

Gdyby deputowanemu znad Wisły zdarzyło się – jak posłowi Jerzemu Pękale z Samoobrony w marcu 2003 roku – spaść ze schodów w pijackim amoku, niech nie udaje przed dziennikarzami, że nie rozumie ich języka. Poseł Pękała bełkotał: – Was? Nicht verstehen.

Nawet na Wiejskiej nikogo nie nabrał. W Brukseli nie miałby szans. Tutaj zawsze jakiś tłumacz pęta się pod ręką.

3. ASYSTENT I BIURO – JAK UCIESZYĆ RODZINĘ

Poseł dostaje 12 576 euro miesięcznie na asystenta. Jednego lub więcej albo mniej (może mieć asystenta na pół z innym posłem). Prawo nie zabrania mu zatrudnić kogoś z rodziny. Nasi od razu wyczuli pismo nosem – od 5 maja 2003 r. mieliśmy w europarlamencie obserwatorów, którzy 1 maja 2004 r. stali się posłami.

– Widziałam posła Adama Bielę z LPR z gromadką – jak mi się wydawało – asystentów – opowiada jedna z polskich urzędniczek europarlamentu. – Nagle jeden z nich odzywa się do Bieli: „Wujku”.

Ale na dobrego asystenta poseł nie powinien żałować, zwłaszcza jeśli nie zna obcego języka. Bo przez asystenta będą się pewnie dobijać do posła lobbyści. Tylko że z nimi trzeba ostrożnie – europoseł musi przedstawiać co roku oświadczenie o korzyściach finansowych. Jeśli tego nie robi, czeka go wstyd – jego nazwisko pojawi się w specjalnym protokole-naganie, a może nawet wylecieć z europarlamentu.

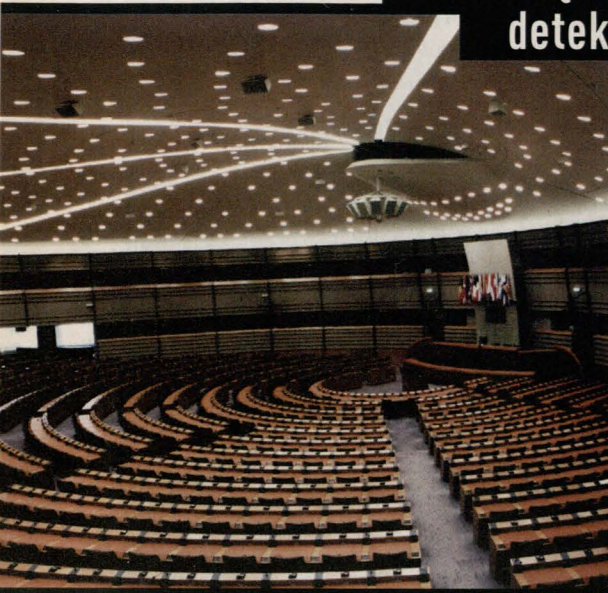
4.1.1. AKTYWNOŚĆ POLITYCZNA – JAK BYĆ WIDOCZNYM

W gmaszyskach Parlamentu Europejskiego trudniej się pokazać niż w naszym klaustrofobicznym Sejmie. Dziennikarze nie uganiają

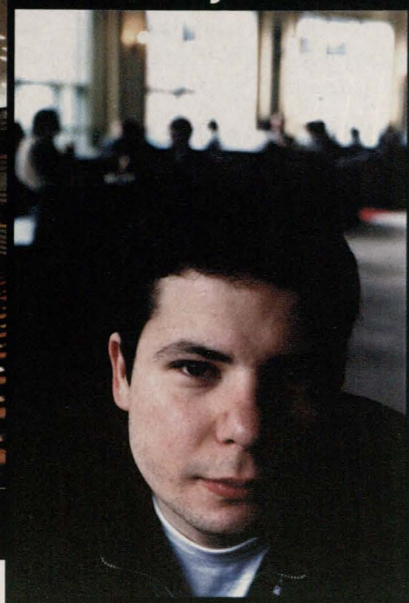
Fot. ISOPRESS/EAST NEWS

12-piętrowy gmach Parlamentu Europejskiego w Brukseli. Szkło i aluminium. Zupełnie inaczej niż na Wiejskiej w Warszawie

Więcej obciachu niż Lepper przyniósł Polakom detektyw Rutkowski, który chodzi po Brukseli w beżowym dresie i adidasach



Jedna z sal posiedzeń czeka na europosłów. Obok: Robert Golański, rzecznik delegacji polskiej centroprawicy w Brukseli



Fot. BOGDAN KRZELIŃSKI

Rutkowski przekonał się kiedyś, że obcym dziennikarzom niełatwo wcisnąć kit. Tuż przed referendum europejskim telewizja niemiecka poprosiła go do studia na dyskusję (zna niemiecki). Detektyw stawiał tezy i na poparcie podawał wyniki sondaży. Dziennikarka zapytała, skąd je ma, bo ona sprawdziła wszystkie i są zupełnie inne. – Jestem detektywem – pochwalił się Rutkowski.

4.2. AKTYWNOŚĆ POLITYCZNA – JAK BYĆ SKUTECZNYM

Europoseł bez języków nic nie zdziała. Nawet asystent mu nie pomoże. Niektóre sprawy załatwia się w cztery oczy. Przy piwie. Niall O'Neill nazywa to „systemem kumpłowskim” – „buddy-system”. – To podstawa działania – mówi.

System kumpłowski jest poza zasięgiem wielu naszych obecnych europarlamentarzystów. Posła Eugeniusza Kłopotka (PSL) widziano w barze, jak z rozmówkami w dłoni zamawia piwo. Może właśnie wtedy do Kłopotka przyłgnęła angielska wersja jego nazwiska „Small problem”.

Polskie partie w europarlamencie starają się o wejście do któregoś klubu zrzeszającego partie z różnych krajów. Jeśli nikt ich nie chce – jak w tej chwili Samoobrony – powiększają grono niezrzeszonych. I skazują się na polityczny niebyt. Bez poparcia machin klubowych niewiele w Brukseli da się zrobić. Wybieranie posłów z tych partii do europarlamentu to osłabienie polskiej siły ognia.

Parę typowo polskich zagrań w Brukseli nie przejdzie. Na przykład blokowanie mównicy w stylu Gabriela Janowskiego z października 2002 roku. Bo tu się przemawia ze swojego miejsca. A przewodniczący może wyłączyć mikrofon. Już podczas pierwszej sesji z udziałem Polaków przekonał się o tym Antoni Macierewicz (Ruch Katolicko-Narodowy) – przemawiał jeszcze długo do głuchego mikrofonu, gdy na salę docierał już głos następnego rozmówcy. Przewodniczący wyłączył mikrofon tylko Polakom, inni posłowie mieścili się w czasie.

Nic nie da też bieganie po biurku marszałka ani przewracanie monitorów komputerów, jak to robili koledzy Janowskiego. Wyglądźna straż tylko na to czeka. Interwieniuje od wielkich okazji, ale za to skutecznie, jak w roku 1988, gdy wyprowadziła z sali plenar-

nej posła z Irlandii Północnej, który zaczął inwektywami obrzucać gościa parlamentu – Jana Pawła II.

W europarlamencie nie ma filipik. Ani nawet sypania dowcipami. Dowcipy zabija tłumaczenie (tłumacze często w ogóle się do nich nie biorą, tylko mówią swoim posłom: „Teraz należy się śmiać”). Ale tłumaczenie też może być źródłem radości, jak wtedy gdy debatowano nad ustawą o transporcie zamrożonego nasienia byków (*frozen semen*). Posłowie z niektórych krajów usłyszeli o mrożonych żeglarczykach, bo tłumacze myśleli, że chodzi o *frozen sea-men* (ludzi morza).

Nie będzie też przepychanek z wieszaniem krzyży jak na Wiejskiej. Krzyże na pewno w Brukseli nie zawisną. Przekonał się o tym poseł Witold Tomczak (LPR), który na majowej sesji wręczył dwa krzyże przewodniczącemu z nadzieją, że trafią na ścianę sali obrad. Krzyże leżały 20 minut na przydzielonym stole, nikt nie wiedział, co z nimi zrobić. Potem zniknęły. Polskim dziennikarzom licznych redakcji nie udało się ich zlokalizować. Krzyże na pewno nie trafią do kaplicy europarlamentu, bo jej nie ma – ani w Brukseli, ani w Strasburgu. Jest za to pokój do medytacji, bez religijnych symboli. Tylko ze znakiem postaci siedzącej w pełnym lotosie.

To w takim pokoju dla gościa parlamentu Lecha Wałęsy odprawiono 3 maja prywatną mszę świętą. Szef protokołu Niall O'Neill wcale nie był zdziwiony prośbą o mszę – specjalni goście życzyli sobie już różnych rzeczy, na przykład wizyty w sklepie z zabawkami.

5. ŻYCIE TOWARZYSKIE

W Brukseli nie ma hotelu poselskiego. Europosłowie mieszkają w różnych hotelach albo wynajmują mieszkania (kawalerka ze sprzętami niedaleko europarlamentu kosztuje 500 euro miesięcznie). Żadna Anastazja P. nie rozberze się dla polityków różnych orientacji (jak w hotelu poselskim na Wiejskiej w 1991 roku). Z żadnego okna nie wypadnie pijana, półnaga kobieta (to samo miejsce i czas). Chyba że europosłowie z Polski się skrzykną i zamieszkają w jednym hotelu.

6. ZDROWIE PSYCHICZNE

Mordobicie na sali obrad zdarzyło się już w Brukseli. Straż wyprowadziła posłów, nie było innych konsekwencji. Ale obrazek taki jak z marca 2003 roku, gdy w Sejmie Jerzy Pękała i jego partyjny kolega Mieczysław Aśzkiełowicz pobili się na pięści do krwi i zaczęli się tarzać po ziemi, może wywołać tu pewien szok.

Może jednak czasami warto wałnąć w ryj, bo tłumienie emocji skończy się wizytą u europarlamentarnej pani psycholog, przystojnej Hiszpanki Rosario Pelaez. – Praca z ludźmi z innych kultur stresuje – mówi pani psycholog.

– Czy różne nacje mają różne problemy psychiczne? – pytam. Rosario przyznaje, że tak, ale nie powie jakie. – Nie chcę pogłębiać stereotypów kulturowych – tłumaczy.

Do niej pewnie trafiłby Gabriel Janowski, gdyby to w europarlamencie, a nie w naszym Sejmie, zaczął żwawo podskakiwać, odliczać „jeden, dwa, trzy” i próbować całować w rękę jednego ze związkowców (styczeń 2000). Nie wiadomo, czy panią Pelaez przekonałoby jego tłumaczenie, że nie było to spowodowane „czynnikami endogennymi, a więc wewnętrznymi, tylko egzogennymi – zewnętrznymi”. Mogłaby odesłać posła na dalszą terapię. Znalazła już w Brukseli polskiego psychoterapeutę.

ZAKOŃCZENIE

Pierwsza sesja nowego europarlamentu już 19 lipca. Potem polskich posłów czeka pięć lat dobrobytu i podróżowania po kontynencie. Będą mogli czuć się swobodnie z daleka od polskich hien dziennikarskich, w ogromnym molochu, w którym wieje nudą. I będą mieli za co się zabawić na mieście. W ostatnim dniu europosłowania ustawią się w kolejce po sowitą odprawę. Nie odkręcą tylko tabliczek ze swoimi nazwiskami z pulpitu na sali obrad, bo tam nazwisk nie ma – są tylko numery.

MARCIN FABJAŃSKI
WSPÓŁPRACA DOROTA SAJNUG



Tak się składa, że się już nie składa.

Jest do sprzedania komputer. Żaden składak. Za podobne pieniądze kupisz wysokiej klasy markowy HP Compaq Business Desktop d230 – niezawodny i wydajny komputer z procesorem Intel® Pentium® 4, korzystający z legalnego systemu operacyjnego. Jak byś nie liczył i tak się optaca.

HP zaleca system Microsoft® Windows® XP Professional do zastosowań biznesowych.

HP COMPAQ BUSINESS DESKTOP d230

pn PD1585#AKD

2479 zł netto*

3024 zł brutto*

- Procesor Intel® Pentium® 4 2,80 GHz
- Microsoft® Windows® XP Home PL
- Dysk twardy 40 GB Ultra ATA 100 (7200 obr./min)
- Płyta główna Intel® 845GE
- 256 MB DDRAM 333 MHz
- Zintegrowana karta graficzna Intel® Extreme Graphics
- Zintegrowana karta sieciowa Broadcom BCM4401 10/100 Mbit
- Napędy CD-ROM 48x i dyskiety 1,44 MB
- 2 lata gwarancji



* sugerowana cena dla Klienta końcowego, bez monitora, ważna do końca czerwca 2004 r. lub do wyczerpania zapasów

Wymieniasz sprzęt biurowy? Optaca się w maju. Bądź konkurencyjny w Unii Europejskiej! Pytaj! Kupuj! 0 800 122 622, www.hp.pl/kup

©2004 Hewlett-Packard Development Company, L.P. Wszelkie prawa zastrzeżone. Intel, Pentium, Celeron, Intel Inside, logo Intel Inside i logo Pentium są zarejestrowanymi znakami towarowymi firmy Intel Corporation lub jej podmiotów zależnych w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej lub w innych krajach. Microsoft i Windows są chronionymi znakami towarowymi Microsoft Corporation zarejestrowanymi w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w innych krajach. Microsoft i Windows są chronionymi znakami towarowymi ich właścicieli.



invent

W wyborach do Parlamentu Europejskiego startują kosmonauci, sportowcy, prezenterzy telewizyjni i gwiazdy porno. Ale miliony Europejczyków i tak nie pójda do urn

Euro-apatia

Jak podał niedawno ośrodek badania opinii publicznej przy Komisji Europejskiej, na 343 miliony obywateli UE tylko 34 procent pójdzie do urn „na pewno”, a 50 procent zrobi to „być może”.

Odsetek głosujących spada systematycznie od 25 lat. W 1979 roku, kiedy eurodeputowanych po raz pierwszy wyłoniono w wyborach bezpośrednich, frekwencja wyniosła 63 procent. W ostatnich wyborach przed pięciu laty padł dolny rekord – 49 procent.

Spośród 15 starych państw członkowskich do urn najtumniej udadzą się zapewne Grecy i Duńczycy. Najniższa frekwencja będzie jak zwykle w Austrii i Wielkiej Brytanii. Z kolei w 10 nowych krajach członkowskich „pewna” i „prawdopodobna” frekwencja ma wynieść odpowiednio 32 i 44 procent. Trudno to uznać za dowód powszechnego poparcia dla historycznego rozszerzenia.

RYBA PO GŁOWIE

Według prognoz z niewielką przewagą wygra centroprawica, zaś jęcznikiem u wagi pozostaną liberalowie. Właśnie te dwie partie tworzyły koalicję w europarlamencie mijającej kadencji. Taki wynik wyborów będzie oznaczać silniejsze wsparcie dla liberalizacji gospodarki i prywatyzacji. Parlament zdominowany przez lewicę kładłby z kolei nacisk na sprawy socjalne i ochronę środowiska.

Wśród 732 europarlamentarzystów znajdzie się wiele znanych twarzy, choć raczej nie z pierwszych stron gazet. Czeska gwiazda porno Dolly Buster (naprawdę Katerina Bochnickova) prowadzi kampanię w wydekoltowanej bluzce, pozując na dojarke, która nie dopuści do tego, by Bruksela wydołała jej ojczyznę. Prócz niej w Czechach startuje też były czeski kosmonauta Vladimir Remek.

Modelka Carmen Kass startująca z listy estońskich konserwatystów

z pewnością wzbudzi zainteresowanie, jeśli przejdzie z okładki „Vogue’a” do komisji budżetowej UE. Do znanych kandydatów można też zaliczyć Jarosława Wałęsę, gwiazdę słowackiego hokeja Petera Stastnego i włoską dziennikarkę Lili Gruber, która chce zwrócić uwagę Europy na pętlę, jaką Berlusconi zaciska na szyi mediów.

Wśród nowych kandydatów w Wielkiej Brytanii znalazł się kontrowersyjny prezenter telewizyjny Robert Kilroy startujący z ramienia antyunijnej partii Brytyjska Niezależność. W jego spocie telewizyjnym Austriak w skórzanych spodenkach dostaje w głowę rybą. Ma to ilustrować fakt, że ojczyzna unijnego komisarza do spraw rybołówstwa nie ma dostępu do morza.

Prócz dużej liczby osobliwych kandydatów nowością będą w tych wyborach także międzynarodowe sojusze. Na czele ogólnounijnej kampanii Zielonych stanął charyzmatyczny weteran paryskiego maja '68 Daniel Cohn-Bendit, a nowy, paneuropejski blok lewicy poprowadzi do wyborów włoski komunista. Sojusze pojawiają się też zapewne po prawej stronie sceny politycznej. Tworzyć je będą takie ugrupowania, jak: austriacka Partia Wolności, belgijski Blok Flamandzki, francuski Front Narodowy Le Pena i brytyjska BNP.

PROSTOWANIE BANANÓW

Mimo przygnębiająco niskich prognoz frekwencji Parlamentu Europejskiego nie sposób dziś lekceważyć. Już dziś dzieli on uprawnienia legislacyjne z unijną Radą Ministrów, reprezentując państwa członkowskie w procesie tworzenia unijnego prawa, i nadzoruje władzę wykonawczą UE, czyli Komisję. Jego uprawnienia wzrosną jeszcze bardziej w ramach nowej europejskiej konstytucji, której projekt ma zostać uzgodniony ostatecznie kilka dni po wyborach.

Każdy, kto podważa rolę parlamentu w sprawach rozciągających się od



Ian Black

Najniższa frekwencja będzie w Austrii i Wielkiej Brytanii. W 10 nowych krajach Unii „na pewno” do wyborów pójdzie tylko 32 procent uprawnionych

bezpieczeństwa żywności, przez badania nad komórkami macierzystymi, regulacje rynków finansowych, po utylizację śmieci, powinien na własne oczy zobaczyć, ilu wpływowych lobbystów przemierza parlamentarne korytarze.

Główny problem z europarlamentem polega na tym, że zwykli mieszkańcy Birmingham czy Barcelony nie mają wglądu w jego politykę. Wielonarodowy charakter instytucji i porozumienia budowane w poprzek partyjnych podziałów nie sprzyjają ożywionej debacie, a europarlamentarzyści bardzo rzadko występują w telewizji.

– Wiedza opinii publicznej o Parlamencie Europejskim to mieszanina mitów, fikcji, banałów i pogłosek o przekupstwie, a nie solidna informacja – mówi Catherine Stihler ze szkockiej Partii Pracy. – Ogórki, prezerwatywy i prostowanie bananów to znacznie atrakcyjniejszy temat dla mediów niż mozolny proces negocjacyjny i codzienna praca parlamentarna.

Parlament Europejski cieszy się kiepską reputacją i często jest przedstawiany jako miejsce jałowych, oderwanych od rzeczywistości dysput. Na jego wizerunku fatalnie odbijają się zawrotne uposażenia deputowanych i kosztowny „objazdowy cyrk”, który kursuje co miesiąc między Brukselą i Strasburgiem. Niewiedza i uprzedzenia składają się na toksyczny koktajl. Tę barierę trzeba jakoś pokonać, jeżeli zwykli Europejczycy mają poczuć swoją władzę.

KOPNIKA RZĄDZĄCYM

We Francji, Niemczech i Austrii gorącym tematem kampanii jest pytanie, czy Turcji powinno się wyznaczyć datę rozpoczęcia negocjacji akcesyjnych. Unia musi też szybko podjąć decyzję, ile chce wydać w następnym okresie budżetowym. Jeżeli Parlament Europejski nie wypowie się głośno w tej kwestii, to kto inny ma to zrobić?

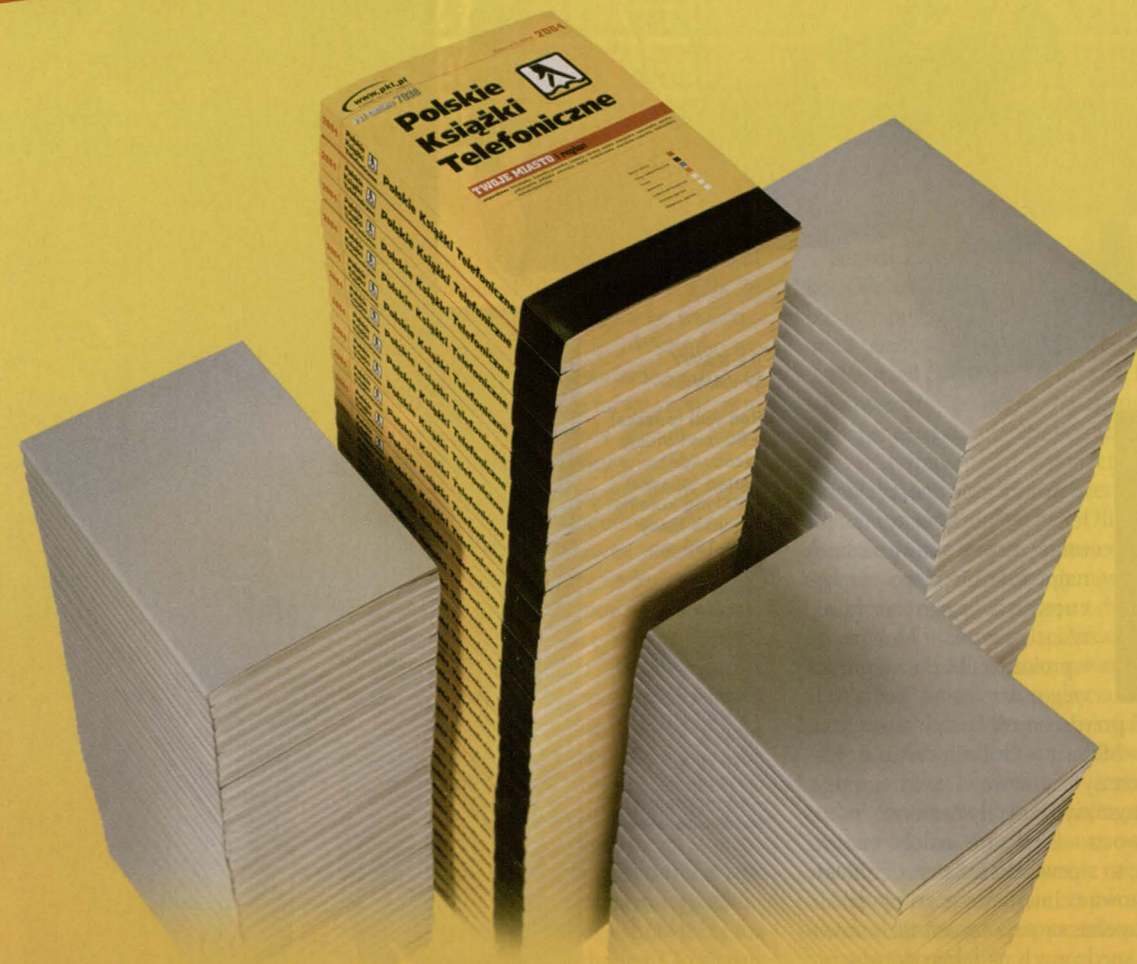
Niestety, większość wyborców zgłasza, kierując się zupełnie innymi motywami. Brytyjską kampanię zdominuje prawdopodobnie spór o wojnę w Iraku, w Irlandii Północnej dojdzie do głosu odwieczna walka między unionistami i nacjonalistami, a Francuzów już teraz wzywa się, by w wyborach do europarlamentu ukarali rząd Raffarina. Zresztą wszędzie wyborcy wymierzają zapewne kopniaka rządzącym. Po prostu dlatego, że nadarza się taka okazja.

IAN BLACK

© THE GUARDIAN 2004

Najwyższy nakład

Udowodnione!



3 831 000 egzemplarzy - tak wysoki nakład mają właśnie Polskie Książki Telefoniczne. Z takim nakładem sięgasz najwyżej! Pytasz o dowód? Sprawdziła nas firma audytorska PricewaterhouseCoopers.*

Żółte książki to już nie tylko sprawdzony, ale wręcz wykalkulowany sposób na to, aby Twoja reklama dotarła do największej liczby użytkowników. Z takim nakładem górujesz nad konkurencją.

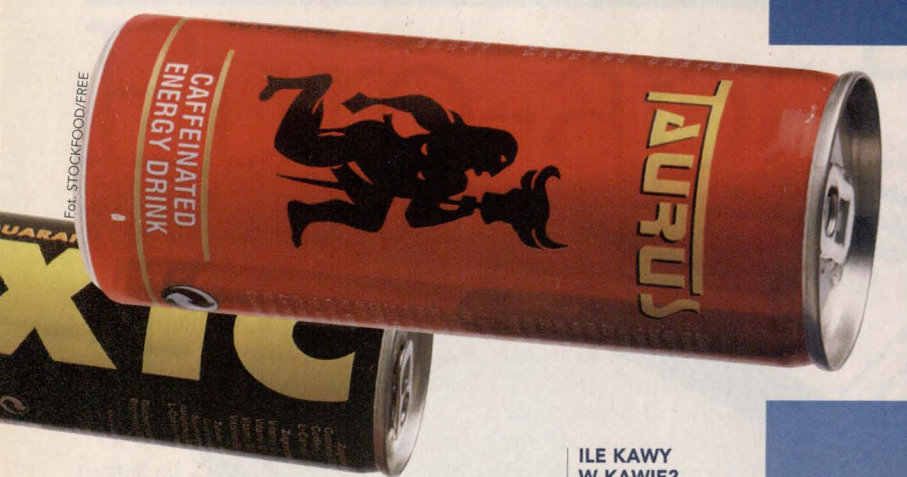
*PricewaterhouseCoopers: „Raport niezależnego rewidenta na temat dystrybucji książek telefonicznych”; badaniem objęto książki wydrukowane i dostarczone dystrybutorom w Polsce w okresie 20.08.2002 - 20.08.2003

www.pkt.pl

Informacje z pierwszej ręki



NIE ZABIJ SIĘ ENERGYDRINKIEM



Nie należy mieszać z alkoholem". Niepozorny napis umieszczony na puszkach najpopularniejszego napoju energetyzującego natchnął tysiące barów i klubów do wprowadzenia do menu nowego drinka – Red Bulla z wódką. W przydrożnych barach nazywa się on swojsko – Małysz, w klubach bardziej egzotycznie – Ecstasy czy nawet Liquid Cocaine. Wszędzie otoczony jest miłym aromatem zakazanego owocu – skoro nie należy mieszać z alkoholem, to z pewnością dlatego, że efekty będą niesamowite. Internetowe grupy dyskusyjne i blogi pełne są wspomnień niesamowitych imprez spędzonych na takim dopalaczu.

ILE KAWY W KAWIE?

Red Bull (puszka) – 80 mg kofeiny,
Jacobs Ice Presso (puszka) – 100 mg kofeiny,
filiżanka kawy – 80–150 mg kofeiny,
tabliczka czekolady mlecznej – 20–30 mg kofeiny,
filiżanka herbaty – 20–60 mg kofeiny,
Coca-cola (puszka) – 45 mg kofeiny

Dla miłośników łamania zakazów zła wiadomość – od 1 maja, z dniem naszego wejścia do Unii, ostrzegawcze napisy znikają z puszek. Unijna dyrektywa 2002/67/EC zmienia przepisy dotychczas obowiązujące w Polsce. Wymaga tylko, by napoje niebędące kawą czy herbatą i zawierające ponad 150 miligramów kofeiny na litr miały wyraźnie umieszczoną informację o wysokiej zawartości kofeiny.

KOFEINA Z MARKETINGIEM

Czy to znaczy, że możemy pić spokojnie drinki z dopalaczami? – Nie ma przeciwwskazań, by Red Bull, podobnie jak inne napoje, był mieszany z alkoholem – mówi Anna Czerniecka, communication manager z firmy Red Bull. – Trzeba tylko pamiętać, że ludzie mogą różnie reagować na alkohol, a w takim połączeniu działanie Red Bulla może być ograniczone.

Właśnie ta różnica może być niebezpieczna. Co sprawia, że napoje energetyzujące stały się jedną z ikon kultury klubowej i elementem

życia i stylu milionów ludzi? Przede wszystkim marketing. Słynna kampania z dodawaniem skrzydeł jest wzorcem docierania do najtrudniejszej grupy – 15–25-latków. Dowcipna, nie-nachalna, pomysłowa – udało jej się zdziałać to, o czym marzy każdy marketingowiec – przekonać ludzi, by uznali produkt za swój. Marketing to podstawa działania napojów energetyzujących. To, co się w nich kryje, nie zdziała cudów. Poza wodą, aromatem, kolorem i paroma dodatkami są tam trzy czy cztery aktywne składniki. Przede wszystkim kofeina – to ona daje kopa. Tyle że wcale nie jest jej tam dużo. W puszcze typowego napoju jest około 80 miligramów kofeiny. Dla porównania – filiżanka kawy ma jej od 80 do 150 miligramów. Najbardziej tajemniczym składnikiem jest tauryna. Jej nazwa sprawiła, że powstały niesamowite legendy. Chyba najbardziej wymyślną jest to, że uzyskuje się ją z jąder, a nawet sper-

my byków. Prawda jest znacznie bardziej banalna – tauryna to aminokwas, który występuje u człowieka między innymi we krwi i żółci, a to, co pijemy, to zupełny syntetyk. Działa na wiele sposobów, jednak do napojów energetyzujących trafił dzięki temu, że nieco oszukuje mózg. Wmawia mu mianowicie, że nie ma powodu odczuwać zmęczenia, bo wysiłek, jaki wykonuje ciało, jest całkiem lekkim.

Do tej pary dopalaczy dodawane są zwykle witaminy z grupy B, które poprawiają sprawność układu nerwowego, ułatwiają zapamiętywanie i koncentrację.

Jak widać, chemiczny koktajl nie zawiera niczego, co byłoby szczególnie niezwykle ani wyjątkowo niebezpieczne. Przynajmniej używane z umiarem, a z tym bywa różnie. Właśnie społeczny fenomen picia napojów energetyzujących jest problemem – traktuje się je jak colę czy herbatę. Tymczasem to napoje funk-



Za firmą Red Bull stoi potężna i doskonale działająca maszyna promocyjna

Lubisz żyć szybko i bawić się ostro, więc chętnie sięgasz po napoje energetyzujące. OK. Pamiętaj tylko, że nadmiar energii może cię wykończyć

czwartej puszcze, gdy przerwano eksperyment, ciśnienie wynosiło 130/90, a puls – 126. Samantha Booth tak opisywała swoje wrażenia: „Teraz czuję się nakręcona. (...) Wszystko wokół jest wyostrojone. Mam wrażenie, że nie całkiem się kontroluję. Trudno mi się skoncentrować, zupełnie, jakbym była pijana. Nawet napisanie tego tekstu to spory wysiłek”.

Właśnie cztery puszek napoju energetyzującego stały się prawdopodobnie przyczyną śmierci 21-letniego Lee Fostera z Rotharham w Anglii. W grudniu zeszłego roku jego samochód uderzył z prędkością ponad 140 kilometrów na godzinę w barierkę na autostradzie. Chłopak zginął na miejscu. Ponieważ wracał o trzeciej nad ranem z imprezy, podejrzewano, że był pijany. Jednak badanie krwi nie wykazało ani alkoholu, ani narkotyków, a jedynie 3,5 miligrama kofeiny na litr krwi. Znajomi Fostera twierdzili, że wypił cztery puszek napoju energetyzującego i zachowywał się gwałtownie i nietypowo. Zdaniem koronera nadmiar kofeiny jest jedynym wytłumaczeniem wypadku.

Czy cztery małe kawy mogą sprawić, że roztrzaskasz się, pędząc samochodem? To właśnie tu objawiają się owe różnice w zachowaniu – każdy organizm reaguje inaczej.

POT I ŁZY

– Red Bull jest zalecany dla sportowców i może pomóc podczas intensywnego wysiłku – zachwala Anna Czerniecka. To prawda, choć to właśnie sportowcy amatorzy najbardziej ryzykują, pijąc napoje energetyzujące. Dlaczego amatorzy? Bo najczęściej nie mają bladego pojęcia o prawidłowej diecie i wspomagających dodatkach. Szczególnie niebezpieczne jest mylenie napoju izotonicznego i energetyzującego.

Pierwszy z nich powinien być podawany podczas i po wysiłku – jego rola to uzupełnienie wody i elektrolitów utraconych wraz z potem. Tymczasem druga kategoria dzięki zawartości tauryny sprawia, że organizm zdolny jest do większego niż zazwyczaj wysiłku. Dodatkowo kofeina ma działanie odwadniające. Napojem energetyzującym po prostu nie można ugasić pragnienia – to nie jego rola.

Pomyłka może być śmiertelna – w 2000 roku 18-letni Irlandczyk Ross Cooney wlał w siebie trzy puszek napoju energetyzującego i poszedł grać w koszykówkę. W czasie meczu nagle stracił przytomność i zmarł. Lekarz sądowy stwierdził, że przyczyną zgonu był zespół nagłej śmierci dorosłych. Wyraził przypuszczenie, że wypity przed wysiłkiem napój mógł spowodować w organizmie szereg reakcji, które doprowadziły do śmierci. Oficjalnie te przypuszczenia nie zostały potwierdzone, ale po świecie rozeszła się fama, że napój zabija.

Czy mamy się bać napoju z dwoma bykami? Francja się przestraszyła. Zakazała sprzedaży, tłumacząc to zbyt wysoką zawartością kofeiny. Niedawno prawo do podjęcia takiej decyzji podtrzymał sąd. Równocześnie jednak zakazano sprzedaży innych produktów – w tym wzbogaconego w witaminy jogurtu Danone i płatków śniadaniowych Kellogg's. Na ile to wojna rynkowa, a na ile obawa o zdrowie obywateli? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć.

Napoje energetyzujące są jak szybki samochód – można go bezpiecznie używać, jeżeli się przy tym myśli.

PIOTR STANISŁAWSKI

Dyrektywa 2002/67/EC Komisji Wspólnot Europejskich, punkt 3:

W przypadku kofeiny Komitet Naukowy do spraw Żywności w swojej opinii z dnia 21 stycznia 1999 r. dotyczącej kofeiny oraz innych substancji używanych jako składniki tak zwanych napojów energetyzujących stwierdził, że w odniesieniu do osób dorosłych, z wyjątkiem kobiet ciężarnych, udział „napojów energetyzujących” w całkowitym spożyciu kofeiny nie wydaje się stanowić powodu do obaw, zakładając zastąpienie „napojami energetyzującymi” innych źródeł kofeiny. Jednakże w odniesieniu do dzieci zwiększenie dziennej dawki kofeiny do pewnego poziomu spożycia dziennie może prowadzić do czasowych zmian w zachowaniu, takich jak zwiększona pobudliwość, skłonność do irytacji, nerwowość lub niepokój. Ponadto, w odniesieniu do kobiet ciężarnych, Komitet wyraził pogląd, że umiarkowane dawki kofeiny są wskazane.



Indira Gandhi z synami Sanjayem (po lewej) i Rajivem (rok 1967).
Obok: Sonia Gandhi wita się ze swoimi zwolennikami podczas wiecu wyborczego

Jest późne wtorkowe popołudnie. Główna sala indyjskiego parlamentu wypełniona po brzegi. Do obstawionego mikrofonami pulpitu podchodzi kobieta w niebieskim sari. To Sonia Gandhi, muirowana kandydatka na nowego premiera Indii. Miliony Hindusów głosowały na nią w największych demokratycznych wyborach świata. Gładko zaczesane włosy i zatroskany wyraz twarzy nadają jej wygląd szacownej wdowy, z troską pochylającej się nad problemami Indii. To, co za chwilę powie, wywoła ogólnonarodową historię.

– Stanowisko premiera nie było moim celem. Z pokorą odmawiam urzędu – ogłasza. Chwilę później mównicę otacza tłum wzburzonych zwolenników. Ze łzami w oczach błagają Sonię, by zmieniła zdanie. Pod jej rezydencją w Delhi zbiera się tłum. – Nie ma rządu bez Soni! – skandują.

Gangacharan Radżput, były członek parlamentu, wskazuje na dach samochodu i przystawia sobie rewolwer do skroni. Grozi, że pociągnie za spust, jeśli Gandhi nie zmieni zdania. W Kanpurze na północy Indii w ostatniej chwili udaje się obywatelowi, który chce się podpalić z tego samego powodu, a Sonia zaczyna dostawać pisane krwią prośby, by zmieniła decyzję.

GANDHI NA PRZYŃĘTĘ

Jeszcze tydzień wcześniej 57-letnia Sonia Gandhi była pewna przegranej. Zamknęła się w swojej kolonialnej rezydencji w Delhi i przestała przyjmować gości. Gdy komisja wyborcza podawała do wiadomości wyniki trwającego miesiąc głosowania, była tak zdenerwowana, że nie

włączyła nawet telewizora. O swoim niespodziewanym zwycięstwie dowiedziała się dopiero wtedy, gdy w domu Gandhich w środku cytrynowego gaju rozdzwoniły się telefony z gratulacjami.

Sonia nie ma powodów do radości. Jako spadkobierczyni klanu, który przez prawie pół wieku rządził Indiami, wie, że w jej rodzinie wielkie zaszczyty oznaczają także śmiertelne niebezpieczeństwo. Jej teściowa zginęła w zamachu jako urzędujący premier, a mąż został zabity podczas kampanii wyborczej, w której ubiegał się o reelekcję. Sonia Gandhi zdaje sobie sprawę, że jest doskonałym celem dla zamachowców. Hinduscy nacjonaliści nie zniosą, by w pół wieku po wypędzeniu brytyjskich kolonizatorów krajem rządziła przebrana w sari Włoszka.

Na wieść o tym, że powierzono jej misję formowania rządu, nacjonaliści zorganizowali masowe demonstracje. Sushma Swaraj, minister w ustępującym prawicowym rządzie, ogłosił, że złoży mandat poselski i ogoli głowę, jeśli obcokrajowiec zostanie premierem Indii. Do dymisji podała się też Uma Bharti, prawicowa gubernator prowincji Madhya Pradesh. Wcześniej ostrzegła, że wybór Włoszki na premiera zagrozi bezpieczeństwu narodowemu Indii.

Sonia tak naprawdę nigdy nie interesowała się polityką. Jest jednak spadkobierczynią dynastii Gandhich, którą w Indiach otacza się niemal królewskim kultem. Do wyborów stanęła pod naciskiem Partii Kongresowej, której losy przez ostatnie 50 lat były nierozwalnie związane z jej nazwiskiem. Sześć lat temu uratowała Kongres przed rozpadem, a w tym roku poprowadziła partię do zwycięstwa na miarę tego, które

Zwyciężyła w największych wyborach świata, po czym wyrzekła się całej władzy. Bo SONIA GANDHI woli żyć, niż dołączyć do rodzinnego panteonu zabitych premierów Indii

Fot. AMIT BHARGAVA/CORBIS/FREE

JAKUB MIELNIK

MAGIA NAZWISKA Gandhi

KLATWA RODU GANDHICH



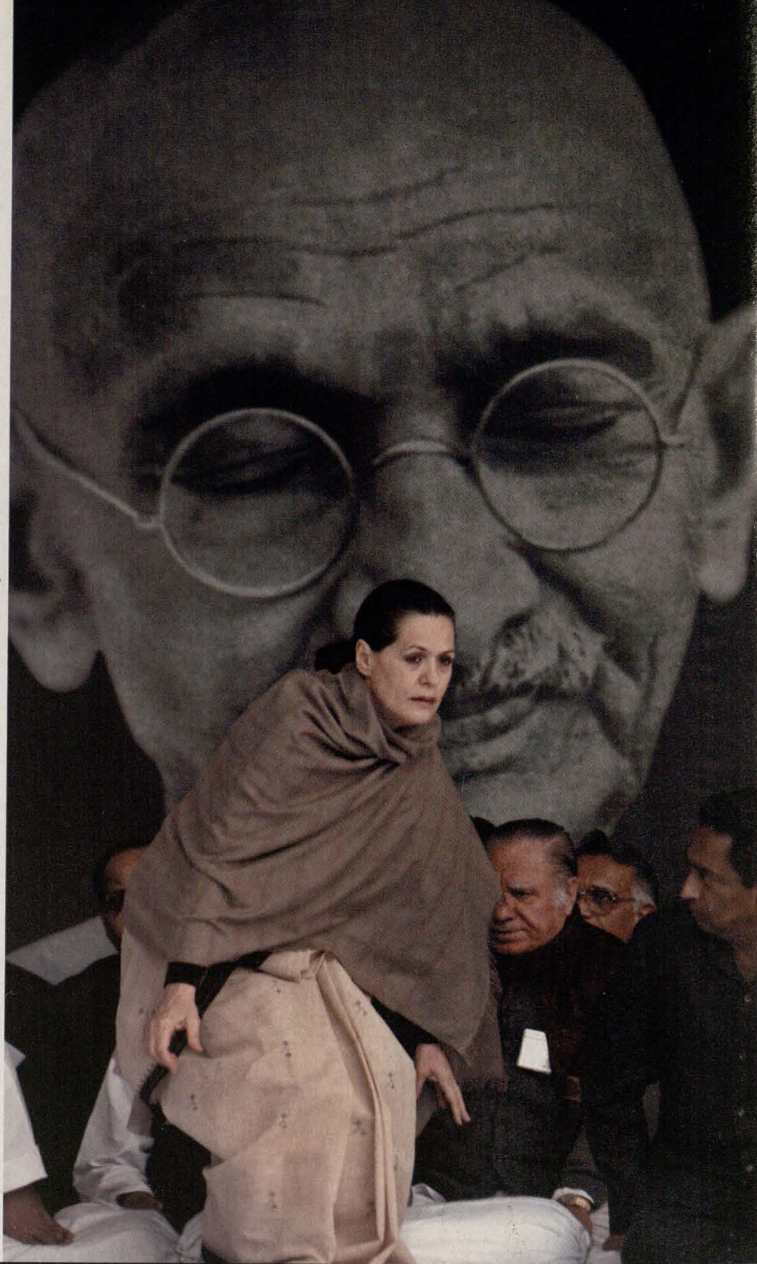
INDIRA GANDHI
Córka Jawaharlala Nehru przejęła schedę po ojcu i z przerwami była premierem Indii do 1984 roku. Zginęła zastrzelona przez własnego ochroniarza Sikha, który zemścił się za krwawe stłumienie przez indyjską armię buntu swoich pobratymców



SANJAY GANDHI
Syn Indiry typowany przez nią do przejęcia władzy. W 1980 roku zginął w katastrofie lotniczej



RAJIV GANDHI
Starszy brat Sanjaya, został premierem Indii po śmierci matki. W 1991 roku, w czasie kampanii wyborczej, której był pewnym zwycięzcą, zginął w zamachu zorganizowanym przez Tamilskie Tygrysy. Była to zemsta za to, że kilka lat wcześniej wysłał armię przeciwko tamilskim separatystom ze Sri Lanki



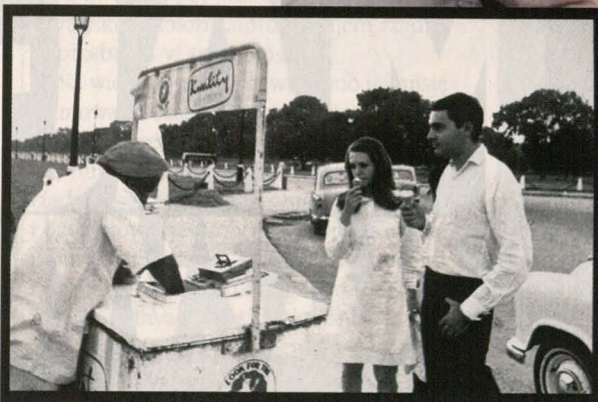
W 1947 roku odniósł protoplasta jej dynastii Jawaharlal Nehru.

PIĘKNOOKI RAJIV

Droga Soni Maino z piemontckiej miłośnicy do uwielbienia miliardowego narodu zaczęła się 39 lat temu w greckiej restauracji w Cambridge. 18-letnia dziewczyna poznała tam spadkobiercę najbardziej wpływowego klanu politycznego Indii. – Miał takie piękne oczy. To była miłość od pierwszego wejrzenia – powiedziała kiedyś o swoim spotkaniu z późniejszym mężem. Sonia, córka skromnego przedsiębiorcy budowlanego z Orbassano pod Turynem, przyjechała do Anglii na kurs językowy. Dorabiała jako kelnerka. Pięknooki hinduski student nazywał się Rajiv Gandhi.

Wbrew temu, co się powszechnie sądzi na Zachodzie, klan Gandhich nie jest spokrewniony z legendarnym Mahatmą Gandhim, choć dziadek Rajiva i pierwszy premier niepodległej Indii Jawaharlal Nehru był bliskim współpracownikiem Mahatmy. Gdy Nehru umarł, rządy w Indiach przejęła jego córka Indira Gandhi. Nazwisko zawdzięczała mężowi, który przypadkowo nosił to samo nazwisko co „ojciec wolnych Indii”.

Ślub Soni i Rajiva odbył się w 1968 roku w Delhi. Początkowo oboje trzymali się z dala od życia publicznego. Rajiv nie miał wielkich ambicji politycznych. Nie udało mu się skończyć Cambridge, więc po powrocie do Indii został pilotem państwowych linii lotniczych. Sonia zajmowała się domem teściowej, premier Indiry Gandhi. Zarządzała służbą i organizowała przyjęcia.



Fot. CORBIS/FREE (6)

Sonia Gandhi na spotkaniu ku czci Mahatmy Gandhiego w siedzibie Partii Kongresowej (styczeń 2003 roku)

Obok: Sonia i Rajiv na łodach w Delhi (lata 60). W młodości Sonia nie przepadała za indyjską modą. Jej krótkie spódniczki szokowały konserwatywnych Hindusów

PROROCTWO W KOSTNICY

Sielanka skończyła się w roku 1980, gdy w katastrofie lotniczej zginął Sanjay, młodszy brat Rajiva. To jego matka namaściła na politycznego spadkobiercę. Po śmierci Sanjaya, mimo sprzeciwu żony, Rajiv musiał przejąć obowiązki brata w klanie. Jego czas nadszedł cztery lata później, gdy Indirę zastrzelił jej własny ochroniarz. W kostnicy nad jej ciałem Sonia ponownie próbowała nakłonić męża,

by nie angażował się w politykę. – Powiedzia-łam, że jeśli to zrobi, zginie. I miałam rację – opowiadała później.

W 1991 roku samobójczynie założyła Rajiwo- wi na szyję wieniec z kwiatów, a następnie zdetonowała bombę. Tamilskie Tygrysy zabiły go za to, że jako premier wysłał indyjską armię do walki z separatystami ze Sri Lanki. Klan i Partia Kongresowa zostały bez przy-

wódcy. Sonia odmówiła zajęcia miejsca męża i pogrzeżyła się w żalobie.

Na przejęcie schedy po mężu dała się namówić dopiero w 1998 roku. „Była tak drewniana, że jej podobizny rozwieszono na wiecach miały więcej życia niż ona” – pisał o początkach jej politycznej kariery brytyjski „The Independent”. Mimo że ledwo znała hindi, stanęła na czele kampanii Partii Kongresowej.

W Rajiwie zakochała się od pierwszego wejrzenia. Gdy zabito jego matkę, prosiła go, by nie wchodził w politykę

Sześć lat temu też po raz pierwszy objawiła się Indiom jako Hinduska. Dotąd nie przepadała ani za indyjską kuchnią, ani za kolorowymi strojami. Teraz, z zaczesanymi gładko włosami, w tradycyjnym sari i z mocnym makijażem stworzyła wizerunek wdowy męczennicy, gotowej poświęcić wszystko dla ojczyzny zmarłego męża. Choć wizerunek się zmienił, wyborcy nie bardzo rozumieli, co włoska Gandhi ma im do powiedzenia. Teksty przemówień pisano jej fonetycznie po angielsku, a ona odczytywała je na wiecach z silnym obcym akcentem. Wybory w 1998 roku przegrała z kretesem, choć udało jej się zjednoczyć partię.

Do tegorocznych wyborów odrobiła lekcje. W kampanię wciągnęła 31-letnią córkę Priyankę i 33-letniego syna Rahula, który podjął walkę o mandat parlamentarny swojego ojca Rajiva. Absolwent Uniwersytetu Harvarda miał za sobą bezbarwną karierę biznesową w londyńskim City i doskonale nawiązał się na wzór nowoczesnego Hindusa.

Podobnie córka Priyanka, jasnoskóra, atrakcyjna 30-latką, która wyszła za męża z miłości. Dla panny z wyższych sfer to nic nadzwyczajnego, ale dla tysięcy młodych Hindusek, których mężowie są wybierani jeszcze przed ich urodzeniem, Priyanka jest godnym naśladowania symbolem postępu. Została szefową kampanii. Sama Sonia opowiadała hindi na tyle dobrze, by móc swobodnie obiecywać wszystko i wszystkim.

WYBORY BIEDAKÓW

W trakcie kampanii Sonia pokonała 60 tysięcy kilometrów, odwiedzała po kilka wieców w ciągu dnia, dzielnie odgrywając rolę głowy dynastii. Obiecywała indyjskiej biedocie nowe wodociągi, drogi, kredyty i darmowy prąd, przypominając o tyleż socjalistycznych, co populistycznych korzeniach Partii Kongresowej.

W miarę postępu kampanii maklerzy w Bombaju wpadali w coraz większy niepokój. Jednak rządzący Indiami hinduscy nacjonalisci do końca byli pewni zwycięstwa. Sami ogłosili wcześniejsze wybory, by wykorzystać ostatnie sukcesy swoich rządów. Udało im się doprowadzić do rozmów pokojowych z Pakistanem w sprawie Kaszmiru, a wzrost gospodarczy osiągnął rekordowy poziom 10,5 procent rocznie. Zapomnieli tylko, że sukces był udziałem wyłącznie elit.

„Indie dostarczają światu jedną trzecią programistów, ale też jedną czwartą ludzi niedożywionych” – tak w swoim raporcie określa

sytuację kraju bank inwestycyjny Goldman Sachs. Branża komputerowa stanowiąca główne źródło obecnego indyjskiego boomu zatrudnia zaledwie 800 tysięcy spośród 350 milionów pracujących Hindusów. Bez pracy jest stale 35 milionów ludzi. Klasa średnia liczy około 300 milionów, ale za nią stoi armia około 800 milionów biedaków. I to do nich zwróciła się Sonia Gandhi.

WŁADZA NIE JEST CELEM

Na początku maja biedota wydała swój werdykt: Partia Kongresowa pod przywództwem Soni obejmie rządy w Indiach. Ale wbrew powszechnym oczekiwaniom liderka zwycięskiego ugrupowania nie stanie na czele rządu. Twierdzi, że nie chce dzielić kraju. Indyjska prawica, która znakomicie umie wykorzystywać religijne animozje dla podsycania hinduskiego nacjonalizmu, nie mogłaby znieść praktykującej katoliczki u steru władzy. Tym bardziej że Sonia chce w Indiach świeckiego państwa dla wszystkich obywateli, bez względu na religię.

Przed podjęciem decyzji o rezygnacji z urzędu premiera Sonia musiała często oglądać zdjęcia męża i teściowej. Oboje przejęli spuściznę rodu i zginęli z rąk politycznych przeciwników. Musiała też pamiętać, że bliski przyjaciel rodziny Mahatma Gandhi został zabity przez hinduskiego fanatyka, któremu nie podobał się pomysł, by muzułmanie mieli w Indiach takie same prawa jak hinduiści. – Władza nie jest dla niej celem – tłumaczy córka Soni Priyanka. – Ona czuje się odpowiedzialna przed partią. Przez całe życie wiedziałam, że nasi rodzice nie należą do nas.

Zwolennicy Gandhi są załamani decyzją o rezygnacji, choć – paradoksalnie – wyjdzie ona na zdrowie Partii Kongresowej. Rządy Soni, pozbawionej większego doświadczenia politycznego, za to zdradzającej skłonności do populizmu, mogłyby zagrozić bujnie rozwijającej się gospodarce. Desygnowany w jej miejsce Manmohan Singh jest liberałem, co znacznie uspokoiło spanikowaną tuż po zwycięstwie Kongresu giełdę w Bombaju. Pytanie tylko, czy biedacy, którzy głosowali nie na partię, tylko na magiczne nazwisko, nie poczują się oszukani.

Siostry Soni w dwupiętrowym domu na przedmieściach włoskiego Orbassano musiały z ulgą przyjąć wiadomość o jej rezygnacji. Po śmierci jej męża drogę wiodącą z miasteczka na wschód nazwano Via Rajiv Gandhi. Pewnie nikt z włoskiej rodziny Soni Maino nie chciałby chodzić ulicą nazwaną pośmiertnie od jej imienia.

JAKUB MIELNIK



WOJNA TROJAŃSKA

BOGOWIE I BOHATEROWI

MIŁOŚĆ PARYSA I HELENY

ŚWIAT HOMERA

ILIADA I ODYSEJA

ODKRYWCA TROI

KSIĄŻKA JUŻ W KIOSKACH
CENA TYLKO 15,99

KONIU!

DO CIEBIE MÓWIĘ

Cztery tysiące miłośników koni zgromadził na warszawskim Torwarze **MONTY ROBERTS**, jowialny 69-latek z Ameryki, odkrywca niekonwencjonalnej metody treningu koni – bez użycia przemocy. Podobne sposoby, zdaniem Roberta, należałoby stosować w stosunku do ludzi

ADAM ROMER: Media nazywają pana „zaklinaczem koni”, ale pan woli mówić o sobie „człowiek, który rozmawia z końmi”. Dlaczego?

MONTY ROBERTS: „Zaklinacz” czy „poskramiacz” koni ma dla mnie konotację negatywną. Takie określenie zakłada, że muszę dominować nad koniem. A od tego już tylko krok do użycia przemocy, której przecież nie używam. „Rozmawianie z końmi” zakłada partnerstwo, równość.

Jest pan twórcą unikalnej metody szkolenia koni...

– Stop! Nie twórcą. Stworzył ją Bóg wraz z pojawieniem się 50 milionów lat temu na naszej planecie koni i ich języka – nazywam go equus. Ja tylko odkryłem jego istnienie.

O co w tym chodzi?

– By nie używać przemocy. Z koniem można doskonale się porozumieć bez „lamania” go, językiem gestów. Ludzie, niestety, postępują brutalnie wobec koni. Ciągłe najczęściej sprzedawanym sprzętem w sklepach jeździeckich jest bat. Tradycyjnie stosujemy karę i ból jako metody wychowawcze. Zapominamy, że przemoc przynosi korzyści tylko agresorowi, a nie ofierze.

Tymczasem ja uczę czegoś przeciwnego. Ja wykorzystuję naturalne instynkty koni. Wszystko, czego

nauczyły się w stadzie – współpracę, partnerstwo, znaczenie ruchów i zachowań – można wykorzystać przy układaniu konia i zaprzyjaźnianiu się z nim. Przez lata negowano istnienie języka koni, bo to język niemy, złożony wyłącznie z gestów. Konie w naturze musiały być „cicho”, żeby nie stać się obiadem dla drapieżników.

Nazywa pan swoją metodę treningu koni join-up.

– Join-up znaczy „dołącz” i określa moment, kiedy koń decyduje się przyłączyć do mnie. To zakłada partnerstwo i zgodę obu stron na współpracę.

Czego my, ludzie, możemy nauczyć się od koni dzięki ich językowi?

– Wszystkiego, czego może nauczyć nas istota „uciekająca” – czyli koń, sarna, nawet dziecko. Najważniejsze są sztuka negocjacji i porozumienia oraz niestosowanie przemocy. Ludzie, gdy dorastają, zamieniają się w drapieżniki i zbyt często zapominają, co umieli. Konie pozostają takie same do końca życia.

Wychował się pan w rodzinie koniarzy. Podobno pierwszego konia dostał pan w wieku czterech lat.

– Nie. Pierwszego dostałem w wieku dwóch. Gdy miałem cztery lata, pierwszy raz wystartowałem w zawodach. To była zabawa (śmiech).

- Gdyby nie ojciec i przemoc, której używał zarówno wobec mnie, jak i koni, nie byłoby Monty Robertsa, jakiego znacie

W swoich książkach wiele pan pisze o rodzinie, przede wszystkim o ojcu. Jak życie z nim i późniejszy konflikt między wami wpłynęły na pana poglądy na temat hodowli koni?

- Gdyby nie on i przemoc, której używał zarówno w domu, jak i wobec koni, pewnie nie byłoby Monty Robertsa, jakiego znacie. Inna sprawa, że to nie było wychowanie, jakiego życzyłbym komukolwiek. Miałem ciężkie dzieciństwo.

Wychował się pan na Dzikim Zachodzie, wśród kowbojów, którzy od zawsze używali siły. Skąd przyszło panu do głowy, że może być lepsza metoda układania koni?

- Po pierwsze, z powodu przemocy używanej przez mojego ojca. Myślałem sobie, że musi być przecież lepsza droga. I gdy zacząłem mieć wątpliwości, to konie zaczęły uczyć mnie, że dla mnie samego będzie lepiej, jeśli porzucę przemoc.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem dzikie mustangi, zrozumiałem, że mają swój własny język. Zacząłem obserwować, w jaki sposób go używają, i sam się go uczyłem. Gdyby mój ojciec nie był tak surowy, nie byłbym dość zdeterminowany, by szukać innej drogi.

Czy spotkał pan już konia, na którego nie działa metoda join-up, i musiał się pan poddać?

- Poddać? *(śmiech)* Nigdy się nie poddaję, gdy chodzi o wychowanie koni i dzieci. Gdy zaczynam pracę z nowym koniem, jestem głęboko przekonany, że odniosę sukces. Kiedy wybierałem konie do pokazu w Warszawie, słuchałem kolejnych właścicieli. Mówili mi: „Na tego stracisz godzinę, zanim wejdzie do transportera”, „O, ten jest trudny, to może potrwać i z parę godzin”, „Tego nigdy nie udało nam się zapakować i tobie pewnie też się nie uda”. Wybrałem oczywiście tego ostatniego, bo to jest wyzwanie, którego potrzebuję.

Jeśli jednak dzieje się coś, czego nie przewidziałem, wiem, że to moja wina, a nie konia. I staram się zmienić. Nie mogę przecież oczekiwać, że wszyscy będą dopasowywać się do mnie.

Jak to się stało, że królowa angielska Elżbieta II zaprosiła pana do siebie?

- W 1988 roku królowa przeczytała o mnie i o mojej pracy w czasopiśmie. Zapytała swojego koniuszego, co o tym sądzi. Odpowiedział: „To wariactwo, przecież to niemożliwe”. Mimo to królowa zaproponowała, żeby pojechał do Kalifornii obejrzeć jedną z moich prezentacji. „Jeśli uznasz to za stosowne, to sprowadzimy tego człowieka do Anglii” - zdecydowała. I rzeczywiście, zjawił się u mnie dystygowany Anglik, który już na wstępie zapowiedział, że obejrzy mój sposób pracy.

ale nie wierzy w moją metodę. Dwa tygodnie później miałem w ręku zaproszenie od królowej. Przez tydzień pracowałem w królewskich stajniach z 23 koniami, a Elżbieta II wciąż mówiła: „To mało, musisz więcej pracować”. To ona namówiła mnie, bym zaczął jeździć po Wielkiej Brytanii z pokazami. Odwiedziłem 21 miast i pracowałem z ponad 90 koniami. To wszystko zasługa królowej.

Czyli to był przełomowy moment dla pana...

- Jak najbardziej. Miałem wrażenie, że każdy chce zobaczyć coś, co zafascynowało królową Anglii, że otwierają się przede mną wszystkie drzwi. Przechodząc przez nie, spotkałem całą masę fanów mojej nauki, ale i sporo „drapieżników”, którzy uznali mnie za wariata i z góry odrzucali to, co pokazuję.

Ponad 15 lat podróżuje pan po świecie, propagując join-up. Niedawno obchodził pan 69. urodziny. Jak długo chce pan to jeszcze robić?

- *(Śmiech)* Nie mam pojęcia. Na razie daję mi to radość i jestem skuteczny. Gdy przestanę widzieć pozytywne efekty tego, co robię,

uznam, że czas zaprzestać pokazów. Z drugiej strony - nocuję głównie w hotelach i codziennie obsługa przynosi mi rano gazetę. Przeglądam ją i gdy nie znajduję własnego nekrologu, myślę sobie: „Ha, mam jeden dzień więcej, by zrobić coś dobrego”.

Nad swoim stylem układania koni pracuje pan już wiele lat. Czy coś się w nim zmieniło?

- Z tym jest jak z samolotami. Sto lat temu tylko bracia Wright mieli o tym pojęcie, bo zbudowali pierwszy samolot i przelecieli sto metrów. Gdybyśmy się nie rozwijali, to nowoczesne samoloty wyglądałyby jak te sprzed stu lat. Tymczasem minęło wiele lat i po niebie latają coraz lepsze i doskonalsze samoloty. I tak jest też z join-up.

Czy przyjaciele mówią o panu „wariat”, czy może uznają za mesjasza?

- Gdy swego czasu zajmowałem się przygotowaniem koni do wyścigów i wygrywałem wszystko, co było możliwe, moi przyjaciele uznawali moje zasługi, ale traktowali trochę jak szaleńca. Mówili: „On doskonale przygo-

tuje konia do zawodów, ale gada coś o końskim języku, uważa, że rozmawia z końmi. Taki nieszkodliwy wariat czy szarlatan”.

Wiem, że oprócz trójki własnych dzieci wychował pan także 47 adoptowanych. Dlaczego?

- Może była to jedna z tych zwariowanych rzeczy w życiu, którą zaczyna się robić bez wyraźnego powodu, i potem już po prostu tak jest. W latach 50. studiowałem psychologię. Podczas studiów na ochotnika zgłosiłem się do pracy z weteranami wojny koreańskiej. Ja, ciągle jeszcze dzieciak, pracowałem przy tym projekcie z prawdziwymi naukowcami. I któregoś dnia zdarzył nam się przypadek 12-letniej dziewczynki. Trzeba było ją zabrać od matki - heroinistki i prostytutki - a ktoś dowiedział się, że ona uwielbia konie. Moi przełożeni zapytali, czybym się nią nie zajął. Za zgodą matki zabrałem ją do siebie i koni. To zadziałało doskonale i... już nie mogłem więcej odmówić. W bardzo krótkim czasie uzbierało się 47 wychowanków, którzy mieszkali u nas.

I wciąż utrzymuje pan z nimi kontakt? Czy wszyscy pasjonują się końmi jak pan?

- Ciągle mamy kontakt i śledzę, co robią. Jeden właśnie zakończył karierę dżokeja, inny jest jednym z najlepszych kowali w Stanach - ma własną firmę, jedna z dziewcząt zajmuje się projektowaniem akcesoriów końskich, jest też kilku trenerów, ale znajdzie pan wśród nich też sprzedawców samochodów czy producentów mebli.

Mówił pan o studiowaniu psychologii. Jak jeszcze wykształcenie wykorzystuje pan w swojej pracy?

- Mam trzy tytuły: z psychologii, z nauk zoologicznych i z prowadzenia agrobiznesu. I wszystkie pomagają mi wykonywać moją

pracę. O tym, czego nauczyły mnie dzikie mustangi, nie wspominając.

Jest pan bogatym człowiekiem. Po co jeszcze jeździć po świecie? Czy to potrzeba bycia gwiazdą?

- Mam dość pieniędzy, by siedzieć w domu i nic nie robić. Ale mnie nie zależy, by zostawić spadek dzieciom. Dlatego wszelkie moje dochody wpływają do fundacji non profit. Z niej finansuję 80 procent kosztów kształcenia moich uczniów. A że na to potrzeba dużo pieniędzy, więc staram się je zarabiać. Z drugiej strony chcę, by świat poznawał moją naukę, i dlatego nie mogę siedzieć w domu!

Zdarzyło się panu, że ktoś źle zareagował na pokaz?

- Kiedyś zaprosił mnie na swoje rancho w Argentynie pewien bogaty i ekscentryczny hodowca koni. Miałem pokazać jego ludziom, jak można obchodzić się z koniem. I nagle w trakcie pokazu zrobiło się niebezpiecznie. Ochrona musiała nas - moją żonę i mnie - ewakuować do helikoptera. Chłopi, dla których był ten pokaz, poczuli się zagrożeni. Uznali, że tracą pracę, bo jedyne, co umieli, to posługiwać się przemocą. Zareagowali agresją. Grozili, że mnie zabiją! Od tego czasu Argentynę staram się omijać... Nie, nie, żartuję. Byłem tam już ponownie, ale od tego czasu jeżdżę tylko tam, gdzie chcą mnie oglądać.

Rozmawiamy o koniach, ale często podkreśla pan, że te same zasady mogą i powinny być stosowane między ludźmi.

- Praca z końmi, gdy przynosi efekty, sprawia wielką satysfakcję. Ale dopiero praca z ludźmi, których mózgi są dużo bardziej skomplikowane i pełne tajemnic, to jest wyzwanie. Znacznie trudniej wyplenić przemoc w stosunkach między ludźmi. Stosują ją wszyscy. Od zwykłych ludzi do potężnych rządów. A wystarczy zdać sobie sprawę, że przemoc rodzi przemoc i tworzy się zamknięte koło. W ten sposób nie da się wygrać.

Pan jest pacyfistą... A wojna w Iraku?

- Muszę się zastrzec, że nie ma pojęcia użycia przemocy w sytuacji samoobrony. Jeśli prezydent Bush uznał, że musi zareagować, bo USA było zagrożone, to... Zresztą trudno mi o tym mówić, bo nie mam w tej sprawie wiedzy Busha.

Czy ma pan jeszcze inne zasady kierujące pana życiem? Choćby jakąś dietę...

- Ha, dietę! Oczywiście, gdybym nie uważał na to, co jem i piję *(Roberts przez cały wywiad popijał zimną colę light)*, to pewnie już dawno by mnie tu nie było. W 1981 roku byłem w fatalnym stanie. Nie mogłem wsiąść na konia. Tu *(Monty wskazał na brzuch i klatkę piersiową)* bolało mnie wszystko. Lekarze powiedzieli, że muszę zmienić nawyki. Od tego czasu pilnuję się i jak widać, służy mi to.

ROZMAWIAŁ ADAM ROMER

Fot. ADRIANNA HAKABUDA



W czerwcowym numerze DVD z komedią „Czarny kot, biały kot” Emira Kusturicy



Radość słuchania



Trojka ³ - usłyszysz więcej...
POLSKIE RADIO



Białystok 96,0 • Bieszczady 96,3 • Bydgoszcz 102,1 • Częstochowa 91,7 • Gdańsk 99,9 • Giżycko 94,4 • Jelenia Góra 94,0 • Kalisz 102,5 • Katowice 99,7 • Kielce 96,2 • Konin 103,3 • Koszalin 97,4 • Kolobrzeg 101,5
Kraków 99,4 • Kudowa 99,3 • Kłodzko 89,2 • Leżajsk 98,9 • Lubaczów - Boble 96,0 • Lubań 91,5 • Lublin 104,2 • Olsztyn 99,1 • Opole 90,3 • Ostrołęka 98,5 • Piła 90,9 • Poznań 96,4 • Przemyśl 99,6 • Płock 96,1
Rzeszów 92,0 • Siedlce 90,5 • Stary Sącz 94,7 • Suwałki 96,6 • Szczecin 102,3 • Warszawa 98,8 • Wałbrzych 99,8 • Wisła 100,8 • Wrocław 100,2 • Zakopane 98,2 • Zamość 91,3 • Zielona Góra 94,1 • Żagań 96,3 • Łódź 103,8
TROJKA, Polskie Radio SA, 00-977 Warszawa, ul. Mysliwiecka 3/5/7, tel. (022) 645 55 47, fax 645 59 47
www.radio.com.pl/trojka

świecą lub spadają



Grzegorz Majcherek NASI ZNALEŻLI!

Polacy mają nosa. Jeśli ktoś w ów nos nie wierzył, to po ostatnim odkryciu w Egipcie powinien wyżyć się wątpliwości. Polska wyprawa pod wodzą doktora Grzegorza Majchereka z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego pierwsza w świecie dokopała się do ruin starożytnego uniwersytetu.

Poszukiwania w Aleksandrii, które – jak opowiadają sami archeolodzy – miały być raczej nudne i rutynowe, doprowadziły do przełomowego odkrycia. Kamienne aule sprzed dwóch i pół tysiąca lat to kolejny dowód na to, że edukacja w Aleksandrii Ptolemeusza stała na wysokim poziomie. Biorąc pod uwagę rozmiary znaleziska, w uczelni mogło kształcić się kilkuset studentów rocznie. Odkrycie grupy Majchereka wywołało sensację wśród archeologów na całym świecie, a Aleksandria dzięki temu awansowała do miana „starożytnego Oksfordu”.

Wyprawy archeologiczne często kojarzą się z grupami nawiedzonych okularników grzebiących grabkami w piasku i paraliżujących budowę tunelu czy autostrady. A tu proszę – mamy dowód, że anielska cierpliwość zapaleńców się opłaca i prowadzi do światowej sławy.



Danuta Hojarska Z GEOGRAFII BARDZO DOBRA

Posłanka Samoobrony Danuta Hojarska okazała się lepiej przygotowana do matury od swojej partyjnej koleżanki, gwiazdy komisji śledczej – Renaty Beger. Hojarska z polskiego dostała tróję, a z geografii piątkę, Renata Beger zanotowała o stopień niższe oceny. Obie panie pisały prace z polskiego na ten sam temat: „Szczęście i nieszczęście jest wyłącznym dziełem człowieka – na podstawie wybranych utworów literackich”. Nie wiadomo, czy Hojarska lepiej zna się na szczęściu czy nieszczęściu, ale nie kryła zadowolenia, gdy dowiedziała się, że udało jej się prześcignąć koleżankę. Ciekawe, czy teraz coś się zmieni w strukturach Samoobrony, wszak partia stawia na ludzi wykształconych.

Dyrektor ośrodka, w którym Hojarska pisała egzamin, chwalił ją za ładne pismo – nic dziwnego, że udało jej się świetnie podrobić przepustkę na widzenie z synem, za co zresztą dostała wyrok w zawieszeniu. Ciekawe, że na sejmowej stronie internetowej widniała dotąd informacja, że 44-letnia Hojarska ukończyła technikum rolnicze. Najwyraźniej niezupełnie ukończyła. Ale kończenie nie do końca to już taka polska tradycja.

ŚWIECI

ŚWIECI

SPADA

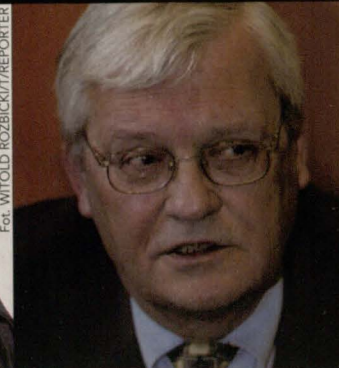


Jerzy Jaskiernia NIESŁUSZNIE SKRZYWDZONY?

Jako „krzywdzący i niesłuszny” określił Jerzy Jaskiernia, były szef klubu parlamentarnego SLD, wyrok Sądu Lustracyjnego uznający go za kłamcę lustracyjnego. Wcześniej dwie instancje tego sądu orzekły, że brakuje dowodów na współpracę Jaskiernia ze służbami specjalnymi PRL. Co prawda z akt wywiadu wynikało, że Jaskiernia w drugiej połowie lat 70. figurował na liście współpracowników, jednak zapewniał „nikłe możliwości udzielenia pomocy”. Oficerowie wywiadu nie potwierdzili, że Jaskiernia był ich agentem, a sam zainteresowany oświadczył, że gdyby nim był, nie ukrywałby dziś tego faktu. Ponowne rozpatrzenie sprawy po kasacji w Sądzie Najwyższym przyniosło jednak inny wyrok – zdaniem sądu Jaskiernia świadomie zataił niewygodną dla siebie przeszłość.

Nie wiadomo, dlaczego sąd zmienił zdanie, ponieważ rozprawa odbywała się za zamkniętymi drzwiami. Słyszymy tylko zapewnienia samego Jaskiernia przekonującego o swej niewinności. A przecież sekretarz generalny Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego nie może kłamać.

SPADA



Mirosław Sawicki KWAŚNY POCZĄTEK

Pechowo zaczyna rządzenie minister edukacji Mirosław Sawicki. Ledwie zajął ministerialny fotel, już się naraził tysiącom podopiecznych z Opola. Wskutek przecieku tematów maturalnych do Internetu niemal wszyscy tamtejsi maturzyści musieli drugi raz zdawać egzamin pisemny. Nie pomogły protesty licealistów demonstrujących przed opolskim urzędem wojewódzkim, nie pomogły gwizdy, wyzwiska ani rzucanie jajkami w kierunku wojewody i kuratora.

Cała historia jest bez sensu. Jeśli do powstania przecieku i zamieszczenia tematów w Internecie przyczynili się sami maturzyści, to nic na tym nie skorzystali, bo i tak muszą pisać jeszcze raz. Straciła – przede wszystkim dużo nerwów – uczciwa większość. Choć trudno winić za decyzję samego ministra – niemożliwością jest stwierdzić, kto znał tematy przed maturą, a kto nie – wściekłość maturzystów jest także zrozumiała. Pisanie po raz drugi jednego z najbardziej stresujących egzaminów w życiu nie należy do przyjemności. Na poprawkę maturzyści przyszedli w czarnych strojach, ale na ministra i tak wyleje się żółć.

Wyścig w kosmos

Trwa wyścig w przestrzeni kosmicznej. NASA ma nadać status astronauty temu, kto pierwszy osiągnie w prywatnym pojeździe wysokość 50 mil (80,47 kilometrów). Na czele znajduje się na razie



Fot. SCALED.COM

SpaceShipOne. Niedawno osiągnął wysokość 65 kilometrów – to dotychczasowy rekord wśród prywatnych pojazdów. Podczas tego lotu maszynę pilotował 62-letni Mike Melvill. SpaceShipOne został wyniesiony na wysokość 15 kilometrów przez specjalny samolot zwany White Knight. Resztę trasy przebył, korzystając ze swojego silnika rakietowego.

Obie maszyny zbudowano w firmie Scaled Composites, której właścicielem jest Burt Rutan znany z konstruowania bijących rekordy samolotów długodystansowych. Jednym z finansujących projekt jest Paul Allen, który z Billem Gatesem założył Microsoft.

Ideą projektu jest zbudowanie pojazdu, który mógłby za kilka lat służyć komercyjnym lotom suborbitalnym. Podczas takiej podróży odbywanej na wysokości około stu kilometrów można by doświadczyć stanu nieważkości, zobaczyć krzywą Ziemi i czern przestrzeni kosmicznej.

Małe i duże

Naukowcy z kilku amerykańskich uniwersytetów postanowili bliżej przyjrzeć się, czemu małe dzieci miewają problemy z oceną

wielkości przedmiotów. Przebadał 54 dzieci w wieku 18–30 miesięcy. Maluchy dostały do zabawy zjeżdżalnię, samochód, którym mogły jeździć, i krzeselko. Gdy się z tymi przedmiotami oswoiły, wymieniono zabawki na podobne, choć znacznie mniejsze. Niemal połowa dzieci miała problemy ze skojarzeniem, że na foteliku dla lalek nie należy siadać, a do malutkiego samochodu nie da się wsiąść. Zdaniem badaczy te zachowania nie miały nic wspólnego z zabawą czy wykorzystaniem wyobraźni – były to po prostu pomyłki.

Ich powstawanie naukowcy tłumaczą tym, że na pewnym etapie rozwoju mózgu dwa jego obszary nie zawsze prawidłowo się komunikują. Jeden z tych rejonów odpowiada za rozpo-



Fot. GETTY IMAGES/FPM

znanie przedmiotu i skojarzenie go z właściwą czynnością. Drugi przetwarza informacje wzrokowe o rozmiarach przedmiotów. Pomyłki powstają wtedy, gdy informacje z tych dwóch źródeł nie zostaną właściwie połączone i zinterpretowane.

Badacze uspokajają rodziców, że takie dziwne zachowania szybko mijają i z całą pewnością nie należy się nimi martwić.

Malia czarna często

O tym, że kofeina stawia sennych na nogi, wiedzą wszyscy. Jednak zdaniem naukowców korzystamy z doświadczeń kawy w niewłaściwy sposób. Badania wykonane na 16 osobach ży-

jących w sztucznym, 43-godzinnym cyklu dobowym pokazały, że poranne picie kawy nie ma sensu. Kofeina oddziałuje na działający w mózgu system, który wywołuje tym większą senność, im dłużej czujemy. Gdy dostarczymy rano dużą porcję kofeiny do

mózgu, jej działanie zdąży zniknąć, zanim uruchomi się system wywołujący zmęczenie. 16 badanych osób znacznie lepiej funkcjonowało, gdy zamiast dużej porannej kawy dostawało przez cały dzień niewielkie, choć częste porcje. Wówczas poziom

kofeiny utrzymywał się na stałym poziomie, a wieczorem szybciej spadał i nie pojawiały się problemy z zaśnięciem. Tym, którzy nie potrafili zacząć dnia bez kawy, pozostaje świadomość, że czynią niesłusznie z fizjologicznego punktu widzenia.

[z bliska]

KONIK MORSKI (Hippocampus Bargibanti) owinięty wokół czerwonej gorgonii. Ten sielankowy widok pochodzi z Indonezji



Fot. GETTY IMAGES/FPM

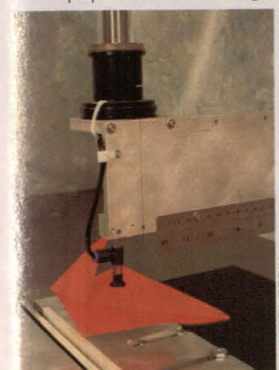
wiedział

Mądrość musi być z natury racjonalna, jest to najwyższy stopień rzeczywistości.

PHILIP K. DICK (1928–1981), AMERYKAŃSKI PISARZ SF

Robot robi origami

Układanie papieru jest bardzo proste – każdy pięcioletni robi to bez trudu. Jednak nauczenie tej sztuki robota okazało się nie lada wyzwaniem. Podjął je Devin Balkcom, doktorant z Carnegie Mellon University w Pittsburghu. Wykorzystując ramię skonstruowane przez firmę Adept Technology, zbudował maszynę roboczą origami. Największym problemem było nauczenie robota właściwego wykorzystania giętkości papieru i właściwego



Fot. DEBRA TOBIN

wałowania kartki. Choć ludzki mózg wykonuje te czynności automatycznie, przełożenie ich na język matematyki jest niezwykle trudne. Na razie nie udało się odtworzyć sposobu postępowania człowieka polegającego na dopasowaniu do siebie krawędzi kartki, a następnie załamaniu papieru. Ramię robota wyposażone jest w przysawkę przytrzymującą papier, która układa kartkę nad zagłębieniem w stole roboczym. Wówczas drugi manipulator przypominający linijkę zagniatą papier – sposób nie jest zbyt precyzyjny, ale to dopiero pierwsza wersja systemu. Podobne badania mają duże znaczenie przy tworzeniu robotów odtwarzających ludzkie zachowania. Takie urządzenia stosowane są między innymi do konstruowania zaawansowanych protez kończyn.

ZAPPING

Wraz z rozpowszechnianiem się reklam telewizyjnych Polacy rozpoczęli uprawianie zappingu, czyli szybkiego zmieniania kanału, gdy tylko rozpoczyna się blok reklamowy. Jak reagujemy na reklamy?

- 13%** wychodzi po prostu z pokoju
- 47%** sprawdza w tym czasie, co dzieje się na innych kanałach
- 31%** wprowadzie nie przełącza się na inną stację, ale nie zwraca większej uwagi na reklamy
- 7%** ma tyle cierpliwości, by uważnie oglądać blok reklamowy
- Ta tendencja nasila się – jeszcze w 1995 roku tylko**
- 17%** przełączało się na inne kanały. Jednocześnie
- 44%** nie oglądało reklam uważnie, a
- 17%** zwracało uwagę na reklamówki

Źródło: Ipsos



Fot. CORBIS/FREE

Wielki odlot albatrosów

Z wybrzeży Tasmanii do Przylądka Dobrej Nadziei w Afryce – taką trasę mają pokonać zawodnicy biorący udział w wyścigu Big Bird Race. Do rywalizacji stanęło 18 albatrosów pochodzących z wysepek w wybrzeży Tasmanii. Początek i kierunek wyścigu jest nieprzewidywalny: co roku z tych miejsc tysiące albatrosów wyrusza w długą i niebezpieczną podróż, docierając aż do brzegów Afryki. Każdemu z ptaków zainstalowano nadajnik, który drogą satelitarną przesyła informacje o aktualnym położeniu. Zwycięży ten albatros, który jako pierwszy dotrze do Przylądka Dobrej Nadziei.

Aby nadać akcji rozgłos, organizatorzy zaprosili do współpracy znane osobistości ze świata polityki, filmu, muzyki i sportu. Ludzie ci zostali symbolicznymi właścicielami startujących ptaków i nadali im imiona.

Zawodniczka nosząca dumnie imię Duch Oceanu (Ocean Spirit) to podopieczna sir Davida Attenborough, znanego autora programów przyrodniczych. W gronie protektorów znalazł się także Brian May, były gitarzysta grupy Queen, który swojego albatrosa ochrzcił imieniem We Will Rock You (w skrócie Rocky). Szczególny szacunek spotkał albatrosa o imieniu The Ancient Mariner – nadała mu je królowa Noor, wdowa po królu

Jordanii Husajnie. Projekt wsparła także inna koronowana głowa, brytyjski książę Filip.

Codzienne raporty z wyścigu publikowane są na internetowej stronie projektu (www.ladbrokes.com/bigbirdrace). Można tam sprawdzić, jaki dystans ptak już pokonał, zobaczyć na mapie aktualną pozycję oraz typować zwycięzców i obstawiać zakłady (pieniądze są przeznaczone na fundusz ochrony ptaków).

Wkrótce po starcie okazało się, że nie wszyscy zawodnicy chcą się ścigać. Rocky, Booster i Lucky Seven najwyraźniej polubiły Tasmanię, bo jeszcze w połowie maja tkwiły u jej wybrzeży. Inne albatrosy nie próżnowały – Afrodyta w tym czasie pokonała setki mil i została liderką wyścigu.

Organizatorzy mówią, że tak naprawdę wynik rywalizacji nie jest istotny. Akcja ma przede wszystkim wymiar naukowy (dzięki nadajnikom ornitologów mogą lepiej poznać trasy wybierane przez ptaki) oraz propagandowy. Ma nagłośnić potrzebę uregulowania kwestii związanych z tak zwanymi połowami długolinowymi (liny z haczykami wleczone za statkami rybackimi), które co roku zabijają około 300 tysięcy ptaków morskich, w tym tysiące albatrosów.

DOROTA GUT

Zagadka

Gdzie można znaleźć jer i jać?

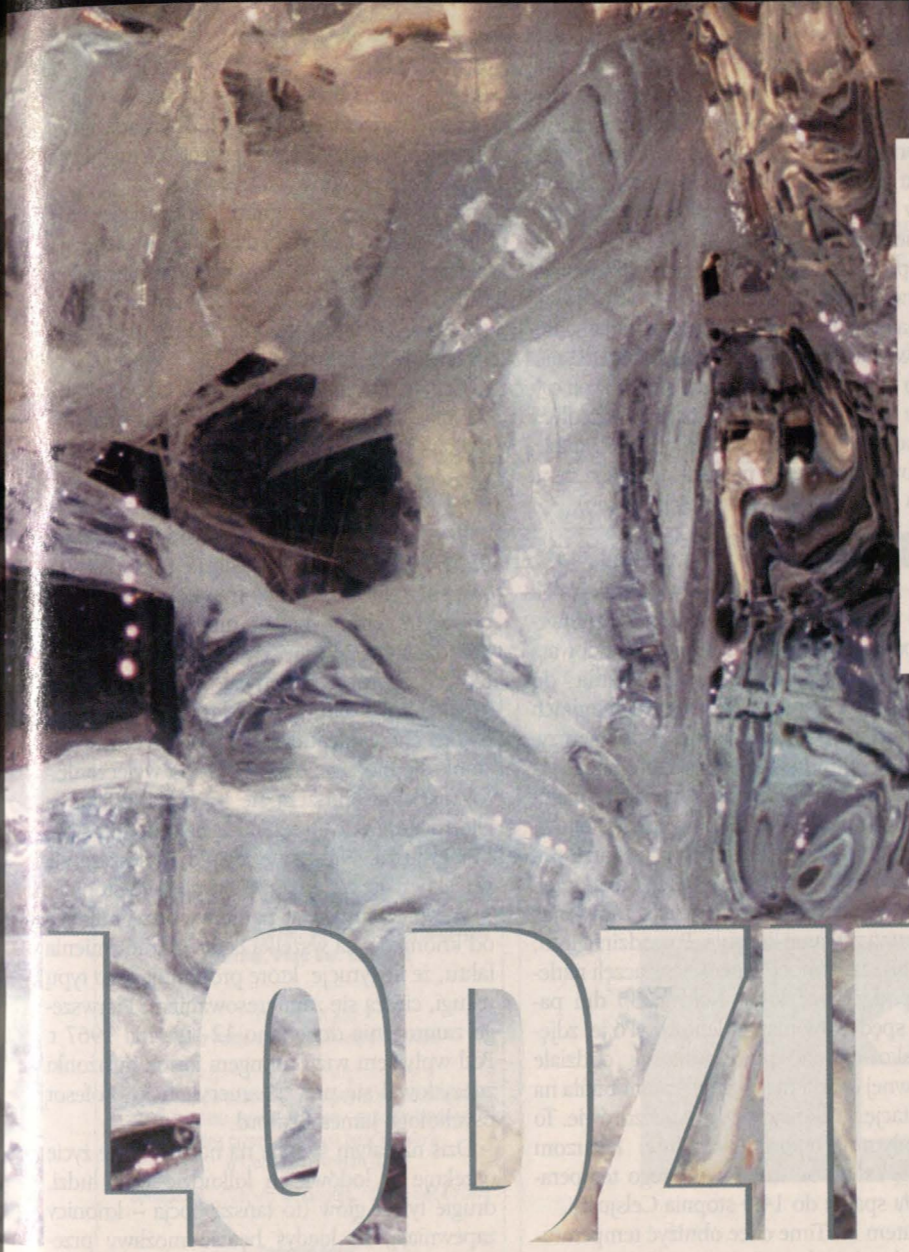
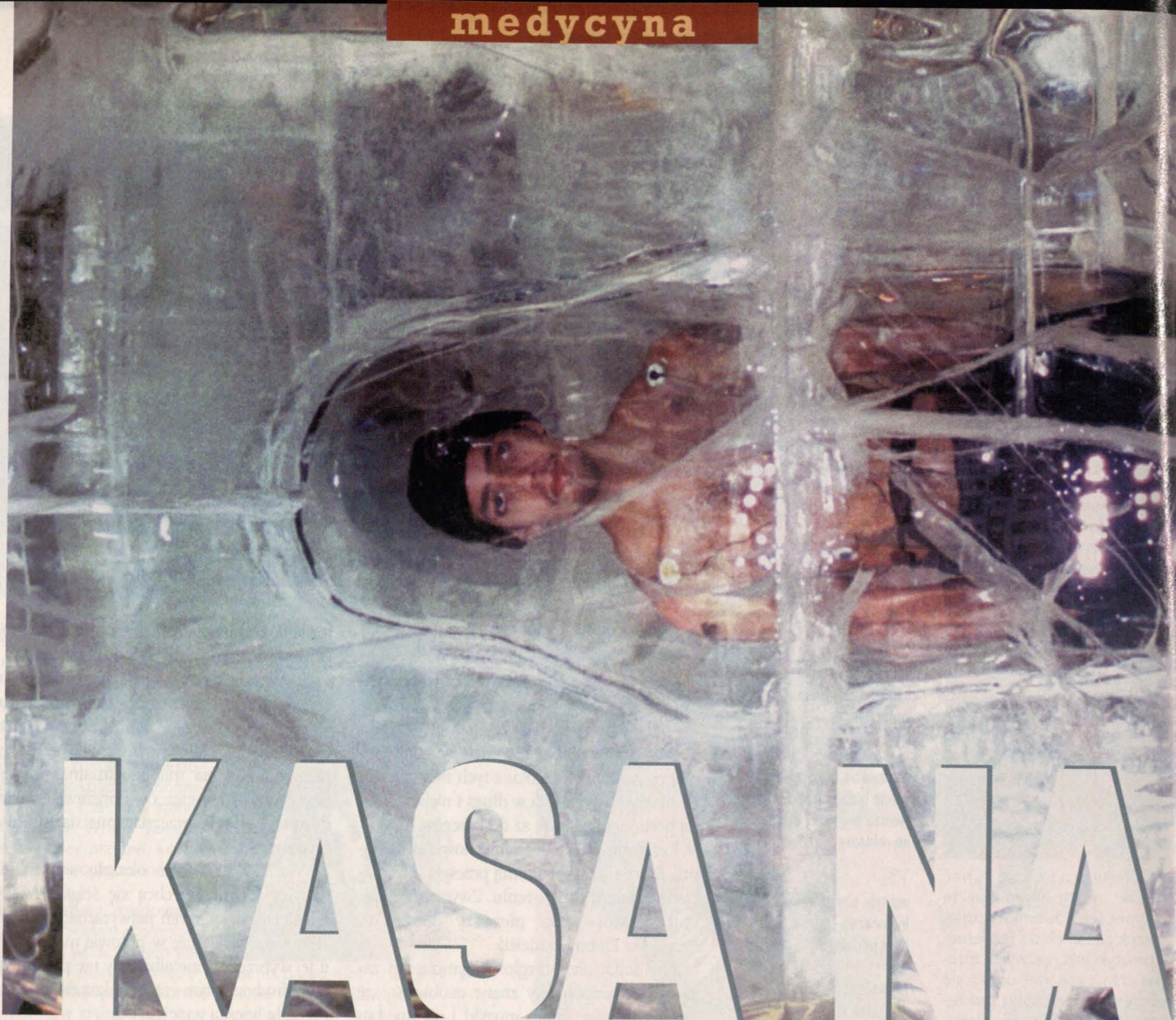
ODPOWIEDŹ DO ZAGADKI Z NUMERU 21

Obu farb jest tyle samo. Ponieważ przelewano „tam i z powrotem” taką samą ilość farby, więc po obu przelewaniach poziom farby w pojemnikach (pomijając to, co się rozmarzało na kubku) jest taki jak przed naszą

operacją. W pojemniku z białą farbą ubyło białej farby, a przybyło żółtej. Ale ponieważ poziom farby w pojemniku nie zmienił się, więc musiało przybyć dokładnie tyle żółtej, ile ubyło białej. I tak samo w pojemniku z żółtą farbą. Przybyło tyle białej, ile ubyło żółtej. Zatem jest tyle żółtej farby w białej, ile białej jest w żółtej.



medycyna



Można schładzać ciało żyjącego człowieka do +1,5 stopnia Celsjusza (i z powrotem)! Amerykańska firma opracowała technologię, która pozwoli przedłużyć czas trudnych operacji na sercu i mózgu, wydłuży czas reanimacji ciężko rannych, umożliwi dłuższe przechowywanie narządów pobranych do przeszczepu

OLGA WOŹNIAK

KASA NA ŁODZIE

Chłód ogarniał jego ciało, świadomość gasła powoli. Pomyślał o żonie, dla której z tą chwilą stawał się tylko wspomnieniem. (...)

– Gotów! Zabrać. Dawajcie następnego! – mówił ktoś tuż nad nim.

Czuł, że jest niesiony ostrożnie, lecz szybko, jak talerz zupy na tacy wprawnego kelnera. Mógł otworzyć oczy, ale jeszcze czekał.

– Co...? – udało mu się poruszyć zdrtwiałymi wargami.

– Żyjesz. Znowu żyjesz – usłyszał ciepły, niski głos.

– Czy coś się nie udało? – Laut spojrzął na swoje dłonie, poruszył głową.

– Przeciwnie, wszystko w porządku – jesteś zdrowy i pod fachową opieką.

– Ile.. ile to trwało?

Człowiek w białym ubraniu zawahał się. – Trochę... długo – powiedział wreszcie.

– Ile? Czterdzieści? Sześćdziesiąt lat?

– Sto pięćdziesiąt. (...) Ta wasza metoda, dzięki której znalazłeś się w naszych czasach, przysparza nam dzisiaj mnóstwa kłopotów. Dla was to było proste: zamrozić nieuleczalnie chorego i przechować w tym stanie do chwili, gdy choroba stanie się uleczalna. Odziedzyczyliśmy po was i po dalszych pokoleniach setki i tysiące kilometrów podziemnych korytarzy-chłodni z milionami zamrożonych pacjentów czekających na wyleczenie. Twoja choroba była możliwa do wyleczenia już dziewięćdziesiąt cztery lata temu. Dziś leczenie przestało być kluczowym problemem – stała się nim liczba pacjentów oczekujących na swoją kolej!

Choć taka wizja zrodziła się w głowie Janusza Zajdla, pisarza science fiction, kilkadziesiąt lat temu, wygląda na to, że wkrótce może się ziścić. Jeśli następne pokolenia zostaną

obarczone tysiącami „ludzkich mrozonek” czekających w termosach na wyleczenie ich – nieuleczalnych dziś – chorób, będą to zawdzięczać kalifornijskiej firmie BioTime.

Zatrzymać bombę

Pomysłodawca i długoletni prezes BioTime to doktor Paul Segall. Już w młodości, gdy pracował na University of California w Berkeley, opanowała nim obsesja przedłużania ludzkiego życia. Twierdził, że ludzki organizm jest jak bomba zegarowa, w której precyzyjny mechanizm odmierza czas naszego dorastania, dojrzewania, przekwitania, śmierci. Poświęcił życie na obmyślanie sposobów, by zatrzymać ten zegar lub przynajmniej spowolnić ruch wskazówek.

Jednym z efektów jego działań jest Hextend – sztuczne osocze.

Gdyby pobrano wam próbkę krwi, a potem z odpowiednią siłą odwirowano, to pod wpływem siły odśrodkowej wydzieliłyby się z niej ciężkie składniki – krwinki. Co by zostało, gdyby je odcedzić? Lekko zawiesisty płyn słomkowej barwy – osocze.

Stanowi on 4,5 procent ciężaru ludzkiego ciała. Składa się głównie z wody. Rozpuszczone są w nim zarówno cząsteczki niezbędne komórkom (elektrolity, białka, składniki odżywcze), jak i produkty ich przemiany materii.

Osocze – dzięki swym właściwościom i odpowiedniej konsystencji – sprawia, że nasze naczynia krwionośne są napięte i nie przeciekają.

Nasz układ krwionośny to dość wyrafinowana hydrauliczna instalacja. Gdy stracimy dużo krwi, na przykład podczas wypadku czy

operacji, naczynia krwionośne flaczeją, ciśnienie krwi spada. Gdy osiągnie zbyt niską wartość, zatrzymuje się serce.

Zdarza się, że w takiej sytuacji nie ma odpowiedniej krwi do przetoczenia. Wtedy podaje się właśnie preparat podobny do osocza, który uzupełni tymczasowo ubytki, wypełni naczynia krwionośne i nie dopuści do spadku ciśnienia. Daje to czas na znalezienie odpowiedniej krwi do transfuzji. Niezbyt wiele czasu – „rozrzedzona” krew nie zawiera dość czerwonych krwinek, które przenoszą tlen. Niektóre tkanki mogą tego długo nie wytrzymać.

Hextend jest dopuszczony do użytku w USA i Kanadzie. Trwają próby kliniczne przed rejestracją w Europie. Nie jest on zwykłym „wypełniaczem”. Ma jeszcze jedną ciekawą właściwość – podobnie jak borygo nie

zamarza w niskich temperaturach. Jakie to ma znaczenie? No właśnie.

Zimne badania

W polarnych oceanach żyją flądry, które zupełnie bez szwanku dla zdrowia są w stanie przetrwać temperaturę -1,9 stopnia Celsjusza! (to temperatura zamarzania słonej wody).

Naukowcy z kanadyjskiego Queen’s University w Kingston i Memorial University of Newfoundland odkryli właśnie, jak to jest możliwe. We krwi tej ryby znajduje się białko przeciwdziałające zamarzaniu. Niestety, trudno je wyizolować, bo w temperaturze pokojowej bardzo szybko się rozpada.

Kilka lat temu biologzy z University of York wyizolowali podobne białko z korzenia marchewki. Dzięki niemu roślina ta może przetrwać zimą. Białko nie pozwala rosnąć krysz-

medycyna

tałkom lodu, które – niezahamowane – rozrywają komórki rośliny, niszczą ją.

Naukowcy z Uniwersytetu Ohio badają organizmy wiewiórek, które na zimę zapadają w stan hibernacji, podobne badania prowadzą specjaliści z University of Wisconsin. Biologowie z Medical Center and Michigan Technological University zajmują się niedźwiedziami.

Wszystkim chodzi o to samo. Poznanie mechanizmów, które pozwalają zwierzętom czy roślinom obniżyć temperaturę ciała i spowalniać przemianę materii, mogłoby pomóc wielu ludziom. Zamrażanie nieuleczalnie chorych w oczekiwaniu na rozwój nauki to na razie utopia. Znacznie bardziej pociągające i realne byłoby za to wprowadzanie ich w stan hipotermii – głębokiego ochłodzenia – na czas trwają-

krwi. Kłopot w tym, że maszyna nie jest zbyt delikatna, w plastikowych rurkach wrażliwe czerwone krwinki ulegają uszkodzeniu. Białe krwinki odpowiedzialne za odporność organizmu w sztucznym środowisku zaczynają być zdezorientowane i nadpobudliwe. To wszystko może prowadzić do poważnych komplikacji pooperacyjnych u pacjenta.

Firma BioTime twierdzi, że jest w stanie schłodzić żywy ludzki organizm – bez szkody dla niego – do +1,5 stopnia Celsjusza! To pozwoli całkowicie zrezygnować z płucoserca. Przedłużony czas reanimacji ciężko rannych, pozwoli dłużej przechowywać narządy pobrane do przeszczepu (dziś to zaledwie kilka-kilkanaście godzin).

Borygo w żyłach

Dwa lata temu gazety opisywały przypadek pewnej narciarki, która wskutek nieszczęśliwego wypadku wpadła w szczelinę z lodową wodą. Temperatura jej ciała spadła do 13,7 stopnia Celsjusza. Gdy po 40 minutach wydobyto ją na powierzchnię, była nieprzytomna, nie oddychała, a jej serce nie biło. Była w stanie śmierci klinicznej. Rozpoczęto reanimację. Godzinę i 19 minut od wypadku ratowniczy śmigłowiec był na miejscu. Lekarze podali jej tlen, przywrócili akcję serca i rozpoczęli podnoszenie temperatury jej ciała, zamykając ją w klimatyzowanej kapsule. Po godzinie lotu, w szpitalu, za pomocą płucoserca zaczęli natleniać i podgrzewać krew. Kolejne 35 dni pacjentka spędziła w masce tlenowej. Po jej zdjęciu blisko miesiąc przebywała na oddziale intensywnej opieki medycznej, zanim trafiła na rehabilitację. Całkowicie odzyskała zdrowie. To był medyczny rekord. Wcześniej lekarzom udało się uratować dziecko, którego temperatura ciała spadła do 14,4 stopnia Celsjusza.

Jak zatem BioTime chce obniżyć temperaturę ciała do niemal zera?

– Cała tajemnica tkwi w tym, że takiemu pacjentowi trzeba wymienić krew składającą się głównie z wody, która w takiej temperaturze by zamarzła, na inny, bardziej odporny na zimno płyn. Wszelkie warunki – po niewielkich tylko modyfikacjach – spełnia nasz Hextend – mówił magazynowi „Wired” Hal Sternberg, wiceprezes BioTime do spraw rozwoju. – Zależy on zaledwie 0,3 procent tlen, ale w tak niskiej temperaturze organizmowi to w zupełności wystarczy. W trakcie stopniowego „zamarzania” płyn z powrotem zastępuje się krwią pacjenta.

Co więcej, specjaliści z Kalifornii twierdzą, że udało im się już z powodzeniem przeprowadzić takie doświadczenia na ssakach, w tym na pawianach i psach.

– Zwierzęta po „rozmarzeniu” zachowywały się zupełnie normalnie. Nie wykazywały żadnych zmian fizjologicznych – twierdzi Stern-

berg. Na razie firma nie dostała zezwolenia na przeprowadzenie podobnych doświadczeń na ludziach. Spodziewa się jednak, że uda jej się to w ciągu najbliższych trzech lat.

W kwietniu tego roku BioTime otrzymał spory grant na swoje badania od poważnej naukowej instytucji – National Heart, Lung and Blood Institute – należącej do amerykańskiego National Institutes of Health. Badaniami interesuje się także NASA.

Czy to początek nowej ery? Czy za kilkadziesiąt lat stanie się możliwe zamrażanie ludzi, jak w opowiadaniu Janusza Zajdla?

Wyścig z czasem

W 1964 roku amerykański naukowiec Robert Ettinger napisał książkę „Perspektywy nieśmiertelności”. Przekonywał w niej, że przy obecnym tempie badań medycyna niedługo poradzi sobie ze starością i większością śmiertelnych chorób. Opracował też zasady krioniki – techniki zamrażania, która ma pozwolić na przechowanie ludzkiego ciała do czasu, gdy stanie się możliwe ożywienie go i wyleczenie.

Zmarłemu spuszcza się krew, zastępując ją glicerolem, i powoli schładza ciało do -80 stopni Celsjusza. Następnie zwłoki umieszcza się w ciekłym azocie o temperaturze -196 stopni.

Współczesny świat naukowy odżegnuje się od krioników za wszelką cenę, co nie zmienia faktu, że instytucje, które proponują tego typu usługi, cieszą się zainteresowaniem. Pierwszego zamrożenia dokonano 12 stycznia 1967 r. Pod wpływem wizji Ettingera formę mrozonki zdecydował się przyjąć amerykański profesor psychologii James Bedford.

Dziś na całym świecie na nowe, lepsze życie oczekuje w lodówkach kilkudziesięciu ludzi, drugie tyle... głów (to tańsza opcja – kriownicy zapewniają, że kiedyś będzie możliwy przeszczep głowy). Jedną z najbardziej znanych firm krionicznych jest amerykański Trans Time.

Okazuje się, że kalifornijski BioTime ma z nim ciekawe powiązania. Mimo że jak wszystkie poważne naukowe instytucje firma oficjalnie twierdzi, iż z krioniką nie ma nic wspólnego, dziennikarze doszukali się, że żona Paula Segalla – Judith – jest sekretarzem Trans Time'u. Prezesem – John Segall, brat Paula. No cóż, zanim naukowe granty przyniosą wymierne korzyści, trzeba zarabiać pieniądze...

Rok temu firmę BioTime dotknęła prawdziwa tragedia, na tętniaka aorty zmarł jej prezes Paul Segall. Jak myślicie, co się z nim dzieje?

W jednej z lodówek Trans Time'u wciąż sięga się z czasem.

Wygra?...

OLGA WOŹNIAK

FRAGMENT Z OPOWIADANIA JANUSZA ZAJDLA „TAM I Z POWROTEM” POCHODZI Z TOMU „PRZEJŚCIE PRZEZ LUSTRO”, ISKRY, WARSZAWA 1975

POLSKI FUNDUSZ KAPITAŁOWY S.A. w Poznaniu

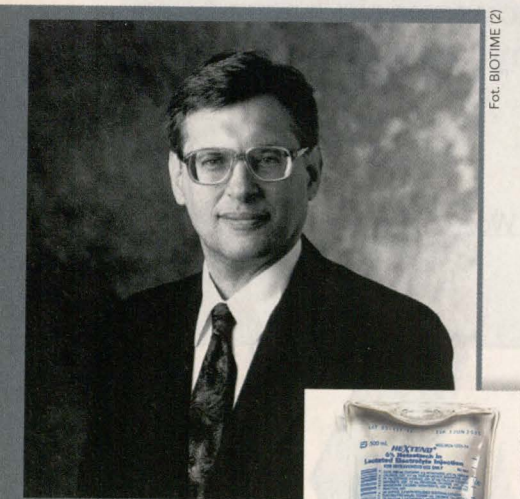
sprzeda:

- Farmę turystyczną w Bieszczadach : 2,5 ha uroczyska, 5 domków rekreacyjnych całorocznych, willa, 28 miejsc noclegowych, oryginalne usługi (kąpiele w sianie), komfortowe wyposażenie. Cena: 2.000.000 zł
- Dom wypoczynkowo-sanatoryjny w Beskidzie Sądeckim (Muszyna): Doskonała lokalizacja, 140 miejsc noclegowych, pełna infrastruktura, po remoncie, komfortowe wyposażenie, klienci. Cena: 5.000.000 zł

możliwość zakupu na raty

Kontakt: 0609 52 00 77

Informacje: www.pfk.com.pl



Fot. BIOTIME (2)

Paul Segall, długoletni prezes BioTime'u. Obok: „Borygo” dla ludzi. Płyn, który pozwoli schładzać nasze ciała niemal do zera



cych długo zabiegów chirurgicznych, zwłaszcza neurologicznych czy kardiologicznych. Po co?

W niższej temperaturze wszystko dzieje się wolniej. Procesy toczące się w komórkach zajmują więcej czasu i – co za tym idzie – zużywają mniej paliwa: tlenu. Specjaliści już dziś do niektórych zabiegów obniżają temperaturę ludzkiego ciała o dwa-trzy stopnie.

Zarówno mózg, jak i serce potrzebują dużej ilości tlenu, by prawidłowo funkcjonować. Nawet krótkie niedotlenienie może spowodować w tych organach nieodwracalne zmiany. Tymczasem skomplikowane operacje wymagają często chwilowego zatrzymania krążenia krwi roznoszącej tlen, odciążenia serca od krwiotęku. Dziś lekarze w takich sytuacjach „przełączają” człowieka na maszynę – sztuczne płucoserce. To pompa, której zadaniem jest dotlenienie

UJ Klub Absolwenta
Uniwersytetu Jagiellońskiego

Inauguracja

27 maja – Uroczyste Otwarcie
godz. 19.00, Teatr im. Juliusza Słowackiego,
Kraków, Plac Św. Ducha 1

Otwarcie Klubu
przez Rektora UJ prof. Franciszka Ziejkę

Aukcja Przedmiotów Enigmatycznych
na rzecz niepełnosprawnych studentów i absolwentów
Uniwersytetu Jagiellońskiego – zebrane fundusze
zostaną przeznaczone na budowę windy
w Collegium Novum UJ

Spektakl pt. „Ożenek” M. Gogola, reż. M. Sobociński

Zaproszenia:

Fundacja dla UJ, ul. Karmelicka 34, 31-131 Kraków
tel.: (12) 422 10 33 wew. 1211, e-mail: klub@uj.pl

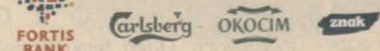
www.klub.uj.pl

Patronat Honorowy:
Minister Edukacji Narodowej i Sportu,
Rektor UJ, Prezydent Miasta Krakowa

Media Patroni:



Sponsorzy:



Organizator:

Fundacja dla Uniwersytetu Jagiellońskiego
ul. Karmelicka 34, 31-131 Kraków
tel.: (12) 632 38 30, e-mail: klub@uj.pl

WARSZAWSKA SZKOŁA
FOTOGRAFII

- 2-letnie studium
- 4-miesięczne kursy
- 3 i 2-tygodniowe warsztaty

Biuro:
ul. Puławska 1 lok. 48
02-515 Warszawa
tel./fax: (22) 849-28-15
tel. kom.: 0-501-125-960
e-mail: info@wsfoto.art.pl
<http://www.wsfoto.art.pl>

Al. Wyścigowa 4

www.catalina.com.pl
e-mail: sale@wyscigowa.pl

107m²

WIDOK NA 140 h PARKU
OSIEDLE STRZEŻONE
PARKING PODZIEMNY
NAJWYŻSZA JAKOŚĆ WYKONANIA
APARTAMENTY 33m² - 146m²

CATALINA GROUP
tel. 847 66 33
0 603 089 600
0 603 389 332
KB: 0 601 221 500

Mieszkania Wyścigach przy

PZiD

okno
ELITA
NOWOŚĆ!
szyba ELITA-GLAS

JEZIEŃSKI
markowe okna

tel. 041 / 300 11 75
mail: biuro@jezierski.com.pl

poszukujemy partnerów handlowych
kom. 0501 203 589
www.jezierski.com.pl

przykładowy kolor Canadian

luk antywłamaniowy

złota linia

wzmocnienie zamknięte

pięć komór

82 mm

zdrowie

BŁYSK W OKU

Reflektory mijanych samochodów czy gry komputerowe mogą wywoływać drgawki lub wprawić w trans



Dla kierowców cierpiących na fotowrażliwość szczególnie niebezpieczna może być jazda w nocy

Wieczorem 16 grudnia 1997 r. około 700 osób oglądających w całej Japonii telewizję nagle dostało ataków drgawek, wymiotów, zaczęło się uskarżać na nieznośny ból głowy. W wyniku tajemniczej epidemii do szpitali trafiło niemal 200 chorych. Rozmowy z nimi wskazały źródło zarazy – wszyscy oglądali emitowany przez TV Tokyo serial „Pokemon”. W 20. minucie filmu eksplodowała bomba. Chwilę przed jej wybuchem ekran wypełniony był przez pięć sekund błyskającymi na czerwono oczami jednego z bohaterów.

Polega ono na świeceniu w oczu stroboskopową lampą błyskającą z częstotliwością od 1 do 60 Hz. Jeżeli pacjent cierpi na fotowrażliwość, w zapisie jego fal mózgowych pojawiają się charakterystyczne skoki zapowiadające atak.

Najczęściej fotowrażliwość łączy się z innymi objawami. Chorzy ludzie miewają też migreny lub cierpią na nerwice i lęki. Jednak objawy mogą wystąpić nawet u zupełnie zdrowych osób. Profesor Jan Miszczak z Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej bada kandydatów na pilotów. To bardzo starannie wyselekcjonowana grupa. Jednak nawet wśród nich od 0,7 do 1,5 procent cierpi na fotowrażliwość, która wyklucza możliwość pilotowania samolotu.

Piloci poddawani są dokładnym testom, tymczasem miliony kandydatów na kierowców bada się tylko pobieżnie. A przecież nawet słabe przejawy fotowrażliwości mogą być bardzo niebezpieczne. Napady drgawek są stosunkowo rzadkie – znacznie częściej zdarza się, że człowiek popada w rodzaj ośpienia czy transu wywołanego na przykład światłem słońca migającym zza drzew lub reflektorami mijanych samochodów. Jadący w nocy kierowca z nierozpoznaną wcześniej fotowrażliwością może zapatrzyć się w drogę przed sobą i nie zauważyć zakrętu czy przeszkody. To wyjaśnia wiele tajemniczych wypadków – trzeźwy, wypoczęty człowiek w sprawnym samochodzie bez żadnego racjonalnego powodu rozbija się na drzewie. Gdyby przed zrobieniem prawa jazdy poddano go odpowiedniemu badaniu, sytuacji można by zapobiec.

– Moim zdaniem EEG powinno być obowiązkowym badaniem dla kandydatów na kierowców – mówi doktor Michaela Pakszys z EEG Institute.

Co może zrobić chory, u którego rozpoznano fotowrażliwość? Jeżeli ogląda telewizję, to na możliwie małym ekranie. Nie powinien też siedzieć w odległości mniejszej niż 2–3 metry od telewizora, a w pokoju powinno być zapalone światło. Znacznie lepiej też korzystać z nowoczesnych odbiorników – ich ekrany odświeżane są (czyli migają) 100 razy na sekundę, a nie 50, jak to jest w tańszych modelach.

Stosowane w dyskotekach światła stroboskopowe migają często z niebezpieczną częstotliwością – młody człowiek jest najbardziej podatny na błyski powtarzające się od 8 do 25 razy na sekundę. W wielu krajach istnieją przepisy zabraniające używania lamp o takiej częstotliwości błysku.

Co mają jednak zrobić kierowcy? Czasami nie ma innego wyjścia jak przyjmowanie leków. Środek stosowany do leczenia padaczki, kwas walpronowy, skutecznie tłumi objawy fotowrażliwości. Niestety – trzeba brać go stale i pod kontrolą lekarza.

Na szczęście proste badanie EEG może szybko wyjaśnić sprawę i zapobiec ewentualnym problemom. A więc zmobilizujmy się i sami sprawdźmy, czy błyski światła nie sprawią, że nasz mózg stanie dębą.

PIOTR STANISŁAWSKI

TANIE BADANIE w czerwcu i lipcu

badanie fotowrażliwości EEG FS w cenie promocyjnej 50 zł LUX MED, Warszawa, ul. Szerner 3 tel. 676 40 10, 676 40 11

KUPON PROMOCYJNY

KIEROWCO – SPRAWDŹ SWÓJ MÓZG!

Jeżeli chcesz sprawdzić, czy nie cierpisz na fotowrażliwość, dajemy ci szansę na tanie badanie. W klinice Lux Med możesz przejść badanie EEG przeprowadzone specjalnie pod kątem wykrycia fotowrażliwości. Dodatkowo specja-

liści z EEG Institute umożliwią ci odbycie próbnego zabiegu biofeedbacku EEG – metody, którą opisywaliśmy niedawno w dodatku „Popraw sobie mózg”. Biofeedback pozwala na świadome kierowanie częstotliwością fal

mózgowych. Dzięki temu łatwiej jest osiągnąć stan głębokiego relaksu. Ponadto metoda pozwala na leczenie zaburzeń psychosomatycznych, neurologicznych czy psychicznych oraz wielu uzależnień. Warto spróbować!

Plus dla Koneserów

Plus GSM

reżyseria
TOM BARMAN



z piątku na sobotę

ANY WAY THE WIND BLOWS

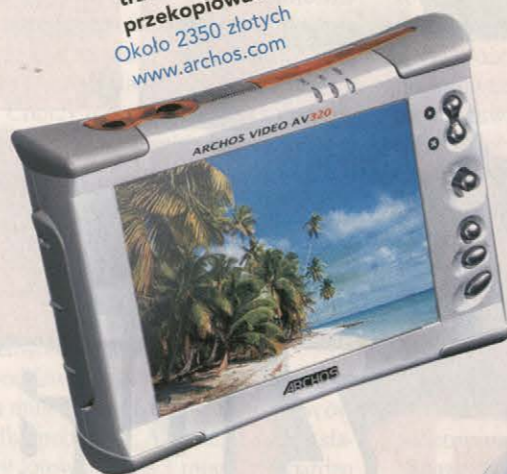
MUZYKA:
YAZOO, MAGNUS,
HERBIE HANCOCK

w kinach od 28 maja



Jazda na siedząco
Skórzany fotel DS-57 firmy DE SEDE zaprojektowany przez Franza Romero kolorem i kształtem przypomina rockandrollowe lata 50. w Ameryce. Wielkie podłokietniki wygodnego fotela imitują pletwy (tył) stylowego cadillaca.
www.desede.de

Kino z kieszeni
Przenośny odtwarzacz multimedialny ARCHOS AV320 przyda się pracusiom, którzy większość czasu spędzają z dala od ukochanego telewizora. Kieszonkowy jukebox odtworzy w pociągu lub samolocie przegapioną komedię czy odcinek serialu. Oczywiście najpierw trzeba go tam przekopiować.
Okolo 2350 złotych
www.archos.com



Palcem po metalu
Nowy zestaw audiowizualny BEO CENTER 2 firmy Bang & Olufsen kryje w sobie doskonałej jakości odtwarzacz DVD, tuner radiowy i wzmacniacz. Obudowa dysku wykonana jest z jednego kawałka aluminium, a głośność reguluje się, przesuając palec po metalowym pierścieniu.
www.bangandolufsen.com
19 120 złotych

Dla SMS-owców
NOKIA 6820 przyda się amatorom randek SMS-owych. Telefon po rozłożeniu ma pełną klawiaturę, więc można pisać i pisać, a nawet śłać zdjęcia. Aparat fotograficzny pozwala nagrywać krótkie filmy video.
www.nokia.pl



Dla singli

TOYOTA PM to osobisty środek transportu (Personal Mobility). Przypomina bardziej kosmiczny pojazd niż miejski samochód. Steruje się nim za pomocą dwóch drążków zamontowanych przy fotelu kierowcy, a wsiada przez unoszoną przednią część kabiny. Może zmieniać rozstaw osi – w mieście jest krótki, a na trasie się wydłuża. Napędzany jest silnikiem elektrycznym.
www.toyota.com



l p o p m o d a j

KOMÓRKOWE
alibi

Zaczął się podobno w Niemczech. Pracownik siedział sobie rano w mieszkaniu i spokojnie dopijał herbatę, a gdy dzwonił zdenerwowany szef, puszczał z głośników ściągnięte z Internetu odgłosy zakorkowanej ulicy. – Jadę, ale utknąłem w korku. Nie słychać? – pytał. Podobno zjawisko było powszechne i okazało się inspirujące dla twórców nowinek technicznych. Dziś 10 milionów użytkowników serwisu sms.ac zaczyna się wymieniać ciekawymi odgłosami, które można rzeczywiście zastosować jako podkład do rozmów przez telefon komórkowy. Co pozwala z kogoś zażartować albo kupić sobie przenośne alibi.

Dźwięk oszukuje

Skąd cała sprawa? Otóż wśród najdziwniejszych usług dostarczanych przez operatorów komórek (Koreańczycy napisali ostatnio program, który pozwala komórce emitować ultradźwięki odstrasżające komary!) znalazł się program generujący w wybranych modelach komórek „tło dźwiękowe” rozmowy. Najpierw programujemy odpowiednio aparat – by, jeśli zadzwoni babcia, puścił pod nami dźwięki z kościoła (choć to chyba zbyt obrazoburcze – bezpieczniej audycję z Radia Maryja), jeśli mama – szum z sali wykładowej (trzeba tylko pamiętać o mówieniu szeptem), a jeśli sąsiedzi – dźwięki z lotniska (skoro już pochwalilem się, że lecę do Paryża, trzeba powiedzieć i „b”).

Program SounderCover rumuńskiej firmy Simedia daje wybór – możesz sobie zafundować w tle dźwięki ulicy, gabinetu dentystycznego, a nawet parady cyrkowej. Moja ulubiona opcja pozwala na to, by po 15 sekundach rozmowy nagle pojawił się w tle natrętny dźwięk dzwonka telefonicznego. Pozwala to przerwać konwersację z nielubianym gadułą, mówiąc: – Przepraszam, ale mam ważny telefon na drugiej linii.

– Osobie po drugiej stronie wydaje się, że to prawdziwe tło dźwiękowe. Niektórzy ludzie wykorzystają to dla zabawy, niektórzy jako wymówkę – powiedział pismu „New Scientist” Liviu Tofan, szef Simedy. Więcej o jego systemie pod adresem www.simedia.com/soundercover.html. Koszt zakupu oprogramowania – 15 euro.

Seks, kłamstwa, komórki

Japończycy jak zwykle są do przodu – firma Japan's Sunrise, wyrosła z rynku animacji, proponuje użytkownikom telefonów usługę „alibi buddy” – w zależności od sytuacji można dobrać sobie odpowiednio tło i wmontować w nie za pośrednictwem telefonu swoją postać. Kosztuje to w przeliczeniu cztery złote miesięcznie. Dzięki systemowi właściciel (lub właścicielka) komórki gra sobie na wyścigach albo pije piwo w klubie go-go, a małżonka (małżonek) dostaje niewinnego MMS-a z jego zdjęciem na nudnym służbowym spotkaniu. Nie można więc już wierzyć ani fonii, ani wizji.

Do czasu jednak takie zmyłki, do czasu... Trzeba przecież pochodzić do pracy, choćby po to, żeby zarobić na te kluby go-go i wyścigi. Nie mówiąc już o tym, że coś musi zostać na rachunek za komórkę.

BARTEK CHACIŃSKI





Polska jest już windsurfiingowym mocarstwem. Po zdobyciu brakującego tytułu Mistrza Europy przez **WOJCIECHA BRZozowskiego** klan Brzozowskich organizuje w Łebie mistrzostwa świata

Wojtek Brzozowski to najbardziej utytułowany polski sportowiec. Gdybym zaczął wymieniać tu wszystkie jego tytuły, zajęłoby to całe dwie strony przewidziane na sport. A więc wspomnę tylko, że w wieku 14 lat zdobył pierwsze wicemistrzostwo Europy, a trzy lata później był już konsultantem kadry Egiptu. Ma sześć złotych medali mistrzostw świata

ta i 10 razy stawał na najwyższym podium mistrzostw Polski. Dwa tygodnie temu zdobył swój pierwszy tytuł Mistrza Europy.

Ponieważ oprócz niego złoty medal na tych mistrzostwach dostała również Dorota Staszewska, zaś wśród juniorów najlepszy był Robert Bałyga, można powiedzieć, że jesteśmy światowym mocarstwem w formule windsurfing. I właśnie dlatego nikogo nie powinno dziwić, że to Polska będzie organizatorem najbliższych mistrzostw świata.

SPORT NARODOWY

Jak wytłumaczyć fenomen, że kraj z plażami, które nijak się mają do tych na Hawajach czy Kanarach, będzie organizatorem tak prestiżowej imprezy? – Windsurfing to marzenie o palmach, słońcu, błękitnej wody i opalonych ciałach – próbuje tłumaczyć to Wojtek Brzozowski. – A ponieważ przez lata tego nie mieliśmy, narodziła się w narodzie prawdziwa żądza. I gdy nagle wszystko to znalazło się w za-

sięgu ręki, w tym marzeniu-sporcie staliśmy się najlepsimi.

– Pieniądze leżą na ulicy – trochę inaczej tłumaczy to Marek, brat Wojtka, który zajmuje się promocją sportu. – My tylko znaleźliśmy różowe okulary, dzięki którym te pieniądze podnosimy z ziemi.

O tym, że windsurfing rzeczywiście jest u nas już tak popularny, przekonali się rok temu zagraniczni sędziowie, którzy samochodem przemieszczali się z Międzyzdrojów, gdzie rozgrywano zawody Pucharu Europy, do Juraty, gdzie rozpoczynały się Międzynarodowe Mistrzostwa Polski. – Jechaliśmy wzdłuż Bałtyku, mijając tysiące ludzi z deskami – wspomina Marek Brzozowski. – Nasi goście nie chcieli dać się przekonać, że windsurfing nie jest naszym letnim sportem narodowym. Uznali, że robimy ich w konia. W Polsce na desce pływa już 50 tysięcy ludzi. W lecie agencje turystyczne organizują prawdziwe konwoje wycieczek na plażę z dużymi

falami. Na Rodos są wioski, gdzie mówi się już tylko po polsku.

DESKA JAK MOTORÓWKA

Ojcem sukcesu polskich sportowców na międzynarodowych wodach i falach jest Marian Brzozowski. Nie tylko dlatego, że jest tatą mistrza świata. To on, jak nikt inny w Polsce, spopularyzował ten sport wśród młodzieży. Przede wszystkim jednak namówił syna, aby ten na zniechęconą deskę wszedł. Komentując kilka lat potem jakieś zawody w Łebie, zapomniał, że nagłośnienie ciągnęło się na kilka sąsiednich plaż i obejmowało centrum miasta. W pewnym momencie, gdy wymieniał nazwy zwrotów, jakie wykonywał Wojtek, ten przy pełnej prędkości wywrócił się. Do historii sportowej konferansjerki weszło zdanie pana Mariana:

– Płynie Wojtek Brzozowski, robi właśnie zwrot, o k... mać!

Dzisiaj Wojtek Brzozowski ma już swojego trenera, menedżera, lekarza i sparingpartnera. Nie tylko do pływania. Również do noszenia sprzętu, który waży ponad 300 kilogramów. Ma również dwóch psychologów. Przypadli się szczególnie dwa lata temu. Wtedy bowiem sportową karierą zawodnika zachwiał głęboki kryzys. – Pierwszy tytuł mistrza świata zdobyłem z marszu, drugi, bo chciałem udowodnić, że to nie przypadek, trzeci, bo cisnęli sponsorzy, czwarty z przyzwyczajenia. W pewnym momencie straciłem motywację – tłumaczy Wojtek.

Teraz po kryzysie nie ma już śladu. Tytuł mistrza Europy zdobył z taką lekkością, jakby płynął motorówką.

Windsurfing przyszedł do Polski w połowie lat 70. Popularny zrobił się, gdy młodzi ludzie zaczęli zarabiać pierwsze duże pieniądze. W lecie pływali na deskach, w zimie jeździli na snowboardach.

– Noszę spodnie z rozporkiem na wysokości kolan, ale nie unosi się nade mną chmura marihuany – wyjaśnia Wojtek, który jest zdecydowanym wrogiem używek. Brat dodaje, że o ile w zimowym jeździe na desce po śniegu palenie trawki nie jest niebezpieczne, o tyle na wodzie nie wchodzi w rachubę. Zawodnicy pływają bowiem sto kilometrów na godzinę. I bez „wspomagania doznań” czeka ich spora dawka atrakcji. Wojtek dwa razy łamał już palce, raz przebił błonę bębenkową, parę razy po upadku nie mógł złapać oddechu, a podczas zawodów w RPA źle się wybił do salta i po uderzeniu głową o wodę nie słyszał przez miesiąc. Innego rodzaju rozrywki dostarczają rejony, w których pływa.

Na Wyspach Kanaryjskich uciekał przed wielkim rekinem, a innym razem zderzył się z półtorametrowym żółciem. – Był wielki, ja pędziłem, sprzęt uległ zmiążdżeniu – opowiada lakonicznie.

W sierpniu w Łebie nie będzie takich atrakcji. Mimo to klan Brzozowskich spodziewa się całej światowej czołówki. Były mistrz świata Steve Allen z Australii nie będzie miał daleko. Od lat mieszka w Polsce, bo zakochał się w koleżance Wojtka z klubu.

MICHAŁ WÓJCİK

• OGŁOSZENIA MODUŁOWE • grazyna.janiak@edipresse.pl tel. 0503134293; stac. 022 584 21 72

Luksusowe apartamenty w Warszawie Wilanów, ul. Urodzajna 11

Zapraszamy do apartamentu pokazowego
w sobotę 29 maja 2004, godz. 10 - 14
informacje: (022) 630 85 60



Bavaria Development
Sp. z o.o.



BHI Polska
Sp. z o.o.

ul. Koszykowa 54, 00-675 Warszawa;
tel.: +48 (022) 630 85 60,
fax: +48 (022) 630 85 59;
e-mail: bavaria@bhi.com.pl; www.bhi.com.pl
SCHÖRGHUBER UNTERNEHMENSGRUPPE



POETYCKA WYPRAWA DO ŹRÓDEŁ MITU

w zbiorze trzech
nieznanych próz

Osip Mandelsztam
Podróż do Armenii

Sic!

Osip Mandelsztam
„Podróż do Armenii”

Wydawnictwo Sic! • (22) 840 07 53
www.wydawnictwo-sic.com.pl

ROZMOWA
Z MARIANEM
BRZozowskim,
SENIOREM
RODU,
TRENEREM
WINDSURFINGU



MICHAŁ WÓJCİK: **Trzy czwarte roku w Polsce panuje zima. Jak doszło do tego, że staliśmy się windsurfiingowym mocarstwem?**

MARIAN BRZozowski: Jesteśmy mocarstwem, bo realizujemy marzenia i nie boimy się wyzwań. Bez rutyniarskich obciążeń przelamujemy stare procedury. Mamy siłę i determinację. Nie ma sztucznej euforii, tylko strategia sukcesu i mądre metody. Moi zawodnicy jeżdżą na zawody i wiedzą jedno: mają wygrywać, bo są najlepsi. Nie tylko na wodzie. Oni mają być najlepsi w swoich szkołach i w codziennym życiu. Bez presji, z uśmiechem na ustach. Wzbudzenia takiej motywacji uczą się już od nas Amerykanie, Nowozelandczycy, Brazylijczycy.
Co robić, żeby sport był frajdą, a nie katorgą?

– Sport ma być stymulatorem rozwoju i przyszłych życiowych sukcesów. Zawodnicy, trenując, upewniamy się, że są najlepsi w tym, co robią, i we wszystkich innych dziedzinach. Bartłomiej Kwiek dwa lata temu skończył medycynę w Warszawie z pierwszą lokatą. Jestem pewien, że moi synowie – gdyby nie sport – byłiby wybitni w swoich zawodach.
To może w genach Brzozowskich jest coś, czego nie mają inni?

– No, cóż. Rodziny rzeczywiście nie musimy się wstydić. I mój dziad, i ojciec, i ja – wszyscy byliśmy wojskowymi. Powiem to, co powiedziałem kiedyś Jackowi Kuroniowi: „Zrobiliście krzywdę narodowi, bo daleś socjal. Ludzie stracili życiową aktywność. Ich inwencja ogranicza się teraz do wyciągania lapy.” To jest błąd. Tak samo jak z tymi dopłatami do rolnictwa. Ja się tego boję, bo to zabija w narodzie aktywność. Jeżeli już coś dawać, to wędkę, a nie rybę!

ROZMAWIAŁ MICHAŁ WÓJCİK

WIELKOŚĆ

ODKRYTA
PO ŚMIERCI



Plakacisci polscy. Grupa rozlepiająca plakaty (Warszawa, 1959-1960 rok)



TEKST MARCEL ANDINO VELEZ
ZDJĘCIA EUSTACHY KOSSAKOWSKI/AGENCJA FORUM

- Nie każdy rozumie, że nie należy się ze mną rozstawać - mawiał EUSTACHY KOSSAKOWSKI, fotograf. Patrząc na jego zdjęcia na wystawie w Zachęcie, każdy zrozumie, że warto byłoby go spotkać osobiście



Pożar na wsi. Chłopi ratujący swój dobytek (lata 60.)

NT

a stole kilka opróżnionych butelek wina. Szklanki, kieliszki. Jamnik wspięty na krzesło wyjada szynkę parmeńską z talerza. Z głośników rżnie siarczyste orkiestra dixielandowa. Dwoje trzydziestoparolatków urzeczonych rozmową ze starszym panem i panią w średnim wieku. Dialog międzypokoleniowy podlewany alkoholem. Duszne pomieszczenie jest tak pełne intensywnego działania się, że ciężko usiedzieć.

Starszy pan to Eustachy Kossakowski. Czarna koszula, czarne spodnie. Rzemyki na prawym przegubie. Pani w średnim wieku – Anka Ptaszkowska, jego żona. Ubrana po domowemu. Ma rozmarzoną, uśmiechniętą twarz. Trzydziestoparolatkowie to Paweł Szanajca, siostrzeniec Eustachego, i Anira Wojan, żona Pawła. Przyjechali do Paryża z kamerą chwycić na tasmę chwile spędzone z Eustachym. Eustachy co i raz podrywa się do tańca, zmienia płyty. Z tekturowych pudeł wyciąga wielkie odbitki czarno-białych zdjęć.

– Pokażę wam. To Wenecja. Mnie wtedy najbardziej interesowała ta flaga, wichura i słońce. To jest cała seria – mówi o rozkładanych na podłodze zdjęciach przedstawiających słońce ukryte za łopoczącą flagą. Z tyłu słychać głos Anki: „Ach, to była najpiękniejsza część naszego życia”.

Za chwilę jakieś inne wspaniałe zdjęcia. Portrety światła wpadającego do pokoju przez przymknięte okiennice. Eustachy i Anka coś o nich opowiadają. Trwa prywatna, biesiadna wystawa fotografii. Dzieło i życie doskonale wymieszane.

W POSZUKIWANIU EUSTACHEGO

Wystawa w Zachęcie zatytułowana jest „Eustachy Kossakowski – fotograf”. Nie „fotografia”, tylko właśnie „fotograf”. Jakby pokazywali tam człowieka, a nie sztukę. Ale Eustachy od ponad dwóch lat nie żyje.

Za życia nie zdążył zostać w Polsce powszechnie znanym artystą. (– Artysta fotografik? No nie... Jestem fotografem – mówił o sobie). Wystawa w Zachęcie ma oddać Kossakowskiemu należne miejsce w zbiorowej pamięci. Dziś coraz rzadziej zdarza się, że czyją wielkość odkrywa się po śmierci. Eustachego „odkryto” co prawda dawno, ale on sam nie dbał specjalnie o to, by to „odkrycie” upowszechnić. Najwyższa pora, by nadrobić zaległości.

Szczęśliwie Paweł Szanajca i Anira Wojan w połowie lat 90. wpadli na pomysł, by rozmowy ze stryjem filmować. Dziś wiele godzin ich wspólnie spędzonego czasu spoczywa na twardej dysku komputera. Siedzę ze słuchawkami na uszach, przykuty do ekranu. Po kolejnej godzinie zaczynam się czuć, jakbym był tam, w środku. Trwa lekcja, „jak być wolnym człowiekiem”. Eustachy się nie wymądrza, tylko uczy przez przykład. Paweł i Anira są na filmie tylko nieco starsi ode mnie. Uwikłani w walkę o przetrwanie w wolnej Polsce. Eustachy i Anka wydają się ich niedoścignionym wzorem.

Anka Ptaszkowska – współtwórczyni galerii Foksal, matczynika awangardy. Eustachy – w każdej chwili gotów jest rozłożyć na podłodze unikalne zdjęcia, które wyszły spod jego ręki, i opowiadać unikalne anegdoty z życia, którego był panem. I w którym nie bał się spadać na dno i z tego dna się dźwigać. Jeżeli połowa sytego świata po cichu wzdycha do mitu cyganerii, to wzdycha właśnie do Anki i Eustachego.

Czemu w empikach zalegają reprodukcje Cartier-Bressona, a nie ma plakatów z Polską sfotografowaną przez Kossakowskiego?

LICZBA PRZYTRAFIEŃ

Paryskie studio Kossakowskiego. Anira filmuje Ankę. Ta siada na kanapie i odczytuje własny esej o jednym z najbardziej znanych cykli fotograficznych męża: „6 metrów przed Paryżem. 159 fotografii obiektywnych Eustachego Kossakowskiego”.

„Chodziliśmy całymi dniami po Paryżu, z bagietką w dłoni, a Eustachy nosił swój Rolleiflex. Dostrzegał

mniej więcej dziesięć razy więcej rzeczy niż ja. Pewnego dnia pokazał mi tablicę informacyjną z napisem »Paryż«. – Warto zrobić zdjęcie – powiedział. I tak zaczęła się nasza wspaniała przygoda. Postanowiliśmy odnaleźć, z mapą w dłoni, wszystkie miejsca, gdzie znajdowały się takie tablice. Chodziło, oczywiście, o granice administracyjne miasta. Eustachy (...) ustanowił zasadę dla całej serii: tablica miała znajdować się pośrodku i być fotografowana z odległości sześciu metrów. Wszystko, co znajdowało się wokół, było efektem przypadku, a my przeżywaliliśmy te przypadki z największą radością”.

Chodzili całymi dniami po Paryżu, bo nie mieli nic do roboty. Przyjechali z Polski, był 1970 rok. Nie mieli nic zaplanowanego. Żadnego miękkiego lądowania. Chodzili, bo nie stać ich było na metro. Z bagietką, bo nie stać ich było na nic innego do jedzenia. Pomysłem sfotografowania w identyczny sposób wszystkich tablic z napisem „Paris” Eustachy wstrzelił się w rodzący się właśnie nurt fotografii konceptualnej, odrzucającej spontaniczne reje-

Zanim wyjechał do Paryża, pracował w pismach pokazujących Polskę jako kraj szybkiej industrializacji, ale zarazem dbający o tradycje robotniczo-chłopskie



Ogródki działkowe, Sady Żoliborskie (Warszawa, 1959 rok)

Transport krzyża z Chrystusem (Niedzica, wrzesień 1959 rok)



strowanie widzialnej rzeczywistości, a realizującej ustalone założenie artystyczne.

Potrzebowali pomocy przy przedłużeniu prawa pobytu. Zdecydowali się prosić o wstawiennictwo znanego im z Polski francuskiego historyka sztuki. By udowodnić, że jednak robią coś związanego ze sztuką, a nie zajmują się robotą typowo imigrancką (Eustachy pomagał przy budowach, Anka była nianią), zabrali kilkanaście zdjęć tablic. Znajomy historyk sztuki zachwycił się pomysłem Eustachego. Zanim pomógł załatwić przedłużenie prawa pobytu, załatwił wystawę w Musée des Arts Décoratifs w Paryżu. I sponsora. Przez następne kilka lat wystawa cyklu „6 metrów przed Paryżem” objechała kilka prestiżowych muzeów i galerii w Europie. Eustachy otrzymał etat fotografa na wspomnianym muzeum. To była jedna z tych sytuacji, kiedy powtarzał: – Mnie się jednego dnia tyle przydarza, co komuś innemu przez całe życie.

W pracowni gaśnie światło, projektor rzuca na ścianę kolejne zdjęcia tablic „Paris”. Zawsze taka sama, w niemal identycznym oświetleniu – żelazna konsekwencja w negocjowaniu klasycznej, poprawnej kompozycji. Frapujący kalejdoskop miejskiego tła.

O tym cyklu krytycy napisali bardzo dużo. Anira stoi za kamerą, prosi, by Eustachy wyjaśnił, o co mu chodziło w tym projekcie.

Kossakowski, rasowy artysta, wykręca się. – No masz! Ona mi każe coś mówić. Ja nie mam nic do powiedzenia – wybucha śmiechem, po czym kontynuuje. – No, pomysł powstał pod wpływem konceptualnych prądów w twórczości artystycznej w okresie ówczesnym... Anka, co o tym można jeszcze powiedzieć? – żartuje Kossakowski, a Ptaszkowska gdzieś w ciemności pęka ze śmiechu.

NA TEMACIE

Zanim był Paryż i Anka Ptaszkowska, Eustachy wiódł przyjemne życie wziętego fotografa w najlepszych magazynach ilustrowanych Polski Ludowej – „Stolicy”, „Zwierciadle”, „Ty i Ja”, a przede wszystkim w „Polsce”. To było propagandowe pismo wydawane na użytek zagranicy, na najwyższym edytor-skim poziomie. Pokazujące Polskę jako potęgę kulturalną, kraj intensywnej industrializacji, rozwijającej się nauki, ale zarazem dbający o tradycje robotniczo-chłopskiego narodu.

Z Magdą Kardasz, kuratorką wystawy w Zachęcie, siedzimy w foyer warszawskiego Hotelu Europejskiego, wśród pięknych mozaik pamiętających czasy, kiedy Eustachy Kossakowski wraz z Tadeuszem Rolke i kolegami królowali w legendarnym klubie nocnym Europejskiego – w Kamieniołomach.

Tadeusz Rolke, długoletni przyjaciel Eustachego, fotograf legenda, siedzi teraz przed nami.

Rozmawiamy o zdjęciach prasowych z lat 60. O tym, dlaczego nie mamy w Polsce ikon fotograficznych tamtej epoki, ikon na wzór Paryża w obiektywie Cartier-Bressona. Zanim przyszedliśmy do Europejskiego, w podziemiach Zachęty obejrzelśmy reporterskie zdjęcia Eustachego przygotowane do powieszenia na wystawie. Są doskonałe. Nie można się od nich oderwać. Złoszczę się, że w empikach zalegają plakaty z reprodukcjami Cartier-Bressona i fotografiami amerykańskimi, a nie ma plakatów i pocztówek z Polską sfotografowaną przez Kossakowskiego i Rolkego.

– Jednak nie łączyłbym Eustachego z nurtem fotografii dokumentującej życie codzienne. Eustachy w latach 50. studiował przecież architekturę. W nim zawsze drzemały sprawy bryły, światła. Był ogromnym esteta. Bardziej wyczulonym na formę niż jakąś społeczną prawdę zdjęcia – mówi Rolke. Równie pięknie, co o fotografii, potrafi opowiadać o baletach, o dziewczętach i o przygodach z wyjazdów „na temat”, na które jeździł z Kossakowskim. Dancingi, wódeczki, czajka z kierowcą, panem Wiktoorem Listopadzkim, bohaterem tysiąca i jednej anegdoty.

Archiwum reporterskich zdjęć Kossakowskiego z lat 60. jest nieprzebrane. Przemysł, maszyny, robotnicy. Miasteczka, chłopki. Niby jakaś narracja. Ale bardziej niż historia zdjęcia uwagę przykuwa blask słonecznych promieni na błocie.

Na tym polega tajemnica Eustachego. Nie robił zdjęć „na temat”. Tu chodzi tylko o światło i czas, prawdziwą krew i kości fotografii.

CZAS JEDNEGO MIEJSCA

Kossakowski, podobnie jak Rolke, „po godzinach” był też nadwornym fotografem polskiej sceny artystycznej. Z pewnością najsłynniejsze zdjęcie Eustachego pochodzi z „Panoramycznego happeningu morskiego” zorganizowanego przez Tadeusza Kantora w 1967 roku. Na ustawionej w morzu drabnie stoi mężczyzna we fraku i dyryguje falami. To Edward Krasiński, jeden z wielkich polskich awangardzistów, zmarły przed kilkoma tygodniami. Wówczas wciąż jeszcze mąż Anki Ptazkowskiej.

– To prawda, że życie było tu wówczas fascynujące. Ale siedziała w tym jakaś koszmarna sprzeczność, bo rzeczywistość poza naszym azylem była okropna. Było jak w powieściach Kundery – mówi Tadeusz Rolke. Na początku lat 70. i on, i Eustachy, już z Anką, wyjechali z Polski. – Skakali do pustego basenu – dodaje Rolke.

Jednak z tego karkołomnego skoku wziął się cykl „6 metrów przed Paryżem”, który sprawił, że z fotoreportera w Warszawie Kossakowski stał się artystą fotografikiem w Paryżu.



Grupa dzieci. Najprawdopodobniej przed szkołą (lata 50./60.)

Raz odkryta możliwość robienia fotografii „nie na temat” otworzyła przed Eustachym nowe perspektywy. Jako fotograf muzealny (był nim przez kilkanaście lat w różnych placówkach, ostatnio w Centre Pompidou) musiał robić jak najwierniejsze reprodukcje przechowywanych obrazów, neutralne dokumentacje. Zdjęcia nastawione wyłącznie na odwzorowanie rzeczywistości. – To była praca nie do przyjęcia na co dzień – mówi Eustachy, siedząc w podwarszawskim domu Pawła i Aniry. Ucieczką od tego zniewolenia

przez tak zwaną dobrą pracę było dla niego coraz większe skupienie na fotografii, która pokazuje wszystko to, czego nie widzimy. Na swoistej antyprodukcji.

Z tego wziął się cykl zdjęć apostołów Berniniego z Bazyliki św. Piotra, sfotografowanych od tyłu. Wielkie, kanciaste bryły, które osobom wdrapującym się na kopułę tylko zasłaniają widok na plac. Kloce, które w niczym nie przypominają żadnych apostołów, w ogóle nie przypominają niczego. Abstrakcyjna, falująca powierzchnia zwierzęcego kamienia.

W nim zawsze drzemały sprawy bryły, światła. Był esteta. Bardziej wyczulonym na formę niż społeczną prawdę zdjęcia

Od wschodu do zachodu słońca. – Systematycznie fotografowałem zjawiska świetlne, odwróciwszy się plecami od witraży, rejestrując efekty świetlne we wnętrzu. (...) Fotografowałem to samo miejsce co trzy minuty, miałem takie serie kolorowych zdjęć, na przykład życie jednego miejsca przez 15 minut – opowiadał Kossakowski w wywiadzie dla magazynu „Fototapeta”.

Ludzie, którzy tłumnie zwiedzają katedrę w Chartres, stadnie gapią się na witraże. Nikt nie idzie w ślad za Eustachym, by choć przez chwilę śledzić taniec światła na kamiennych powierzchniach. Gdy Kossakowski opublikował swe zdjęcia w 1990 roku, cała Francja oniemiała. Album był wielkim wydarzeniem. W dowód uznania Jacques Chirac, wówczas mer Paryża, przyznał Kossakowskiemu przestronne studio wraz z mieszkaniem. Jakby na otarcie łez, bo Eustachy chciał, by jedynym tematem książki był balet światła na kamieniach budowli. Tymczasem wydawca wołał książkę o gotyckiej katedrze.

NAJISTOTNIEJSZY WIDOK

Eustachy Kossakowski, syn starej arystokratycznej rodziny, u schyłku życia zaczyna odczuwać zew sielskiego życia. Chętnie spędza letnie tygodnie w domu Pawła i Aniry koło Mińska Mazowieckiego. Jest jeden z tych ciepłych dni, kiedy śniadanie można zjeść na ganku. Anira włącza kamerę.

– W Paryżu w ogóle bardzo się popsuło zaopatrzenie – to jedno z pierwszych zdań Eustachego utrwalonych tego dnia na taśmie. Swoim gadaniem Eustachy niemal hipnotyzuje publiczność. Wszystko mu się ze wszystkim kojarzy. Jedna historia natychmiast przywołuje na myśl następną. Anegdoty od przedwojennych po współczesne. Nie wiadomo, które zmyślane, które prawdziwe. Najlepiej się nad tym nie zastanawiać. Eustachy spogląda na kamerę. – A wiesz, Anira, to nawet nie jest najgłupszy pomysł. Folklorystyczny reportaż o mnie – mówi. I od razu płynie dalej, do swoich planów artystycznych. Wokół mazowieckie lato. Ganiają wychowywane po hipisowsku dzieci Aniry i Pawła. A Eustachy jest myślami w Nowym Jorku. – Będę tam fotografować światło wdzierające się do wielopiętrowych garaży. Tak samo, jak to robiłem w Pompejach. Kossakowski nawiązuje do cyklu zdjęć promieni słonecznych wę-



Portret Eustachego Kossakowskiego z 1997 roku autorstwa Pawła Szanajcy

drujących po ścianach pograżonych w mroku starożytnych ruin.

Nie przestaje być artystą nawet u zaprzyjawnionego blacharza samochodowego. Chodzi z miejscowym magikiem od samochodów wokół swej starej, zakurzonej i poobijanej fiesty na francuskich numerach. – Trzeba by ten kufer zrobić, nie picować, tylko porządnie. Bo widzi pan, ten kufer jest najistotniejszym widokiem tego samochodu – mówi Eustachy, a blacharz spod Mińska robi minę, jakby rozumiał, co to dla pana zagranicznego znaczy „najistotniejszy widok samochodu”.

Spacer wśród drewnianych chałupin głównej ulicy miasteczka. Eustachy z aparatem. Jest w kilku miejscach naraz. Przykłada oko do aparatu. Co chwilę dostrzeżę coś wyjątkowego. I pstryka. – Fotografuję to, czego nie ma – mawiał.

Teraz nie ma Eustachego. Pochowany został na cmentarzu w nadbużańskim Broku, w którym w 2000 roku kupił domostwo i powoli je urządził.

Anira i Paweł zrozumieli, że z Eustachym mimo to nie należy się rozstawać. Na wernisaż do Zachęty wezmą kamerę i będą nagrywać, tak jak nagrywali Eustachego. Rodzina i ci, którzy tęsknią, będą mogli sobie pogadać do obiektywu. – Dla mnie Eustachy jest cały czas – mówi Szanajca. Ma 41 lat, jest malarzem. Wciąż chodzi w spodniach Eustachego.

Anka też zrozumiała, że z Eustachym nie należy się rozstawać. Mimo że nie ma go od ponad dwóch lat, ona wciąż pisuje do niego listy.

MARCEL ANDINO VELEZ
WYSTAWA W ZACHĘCIE ZORGANIZOWANA
WE WSPÓLPRACY Z INSTYTUTEM FRANCUSKIM
W WARSZAWIE CZYNNA BĘDZIE DO 11 LIPCA

Ostatni wywiad Waldemara Milewicza

Z rozczarowaniem i niesmakiem przyjąłem tekst nazwany przez Państwa „ostatnim wywiadem Waldemara Milewicza”. I nie chodzi mi tu o jego główną część, nieodłączającą w treści od dziesiątek wywiadów, których Waldemar Milewicz udzielił. Chodzi mi o pierwsze dwa akapity, które niedwuznacznie sugerują, że Milewicz po prostu siłą wyciągnął Mundka Bouamrane na wyjazd do Iraku i tym samym przyczynił się do jego tragicznej śmierci. Otóż chciałem Panu redaktorowi zwrócić uwagę, że prawdy w tej sprawie nie da się już ustalić. Nigdy nie poznamy ani szczegółów ich rozmów, ani tego, co każdy z nich myślał i jakimi motywami się kierował, ponieważ obaj nie żyją. W związku z tym drukowanie stwierdzeń, które nie mają innej wartości jak ta, że dają pożywkę plotkom i niewczesnym, a dość niemitym spekulacjom, jest niewłaściwe.

Co więcej, zacytowana w wywiadzie wypowiedź Waldemara Milewicza pozostaje w sprzeczności z jego charakterem, o tyle, o ile byłem w stanie go poznać podczas trzech lat pracy w tym samym pokoju. Jest mi bardzo trudno uwierzyć, by Waldemar Milewicz zwierzał się z intencją opublikowania tego w druku, z technicznych problemów (bo tak to musiał w tym momencie widzieć), jakie ma z organizacją wyjazdu i ze swoimi współpracownikami. Zwłaszcza że mógł zakładać, że ten współpracownik to kiedyś przeczyta. Nie zauważyłam w żadnym innym wywiadzie, by szczegółowo opowiadał o jakichkolwiek konfliktach (których przecież nie brakło) ze współpracownikami – operatorami, dźwiękowcami, montażystami.

W dodatku ten fragment wywiadu wyraźnie odstaje od pozostałej części, gdzie mowa jest o kwestiach ogólnych, związanych z tematem wyjazdu, i z równie ogólnym stosunkiem do życia i pracy. Podsumowując: jest mi bardzo trudno uwierzyć, że Waldemar Milewicz rzeczywiście wypowiedział cytowane na początku wywiadu słowa, a nawet jeśli z jakichś przyczyn tak było – to jestem przekonana, że zapewne nigdy by się one nie ukazały, gdyby żył.

Uważam, że wydrukowanie tego wątku rozmowy było co najmniej pomyłką. I nie chodzi mi tu o tworzenie mitów i zamazywanie prawdy, jakkolwiek by ona była, chodzi tylko o to, że odpowiedzialność jednego człowieka, szefa ekipy, za życie drugiego człowieka, który zginął z nim razem, to zbyt trudna i delikatna sprawa, by w niej, ot, tak sobie, pogrzebać dla wydobywania sensacyjnego szczegółu. Z szacunkiem

AGNIESZKA
ROMASZEWSKA-GUZY

Fakt, że Agnieszce Romaszewskiej-Guzy trudno uwierzyć w jakieś zdarzenie, nie oznacza jeszcze, że nie miało ono miejsca. Wywiad z Waldemarem Milewiczem miał miejsce, od początku był przeznaczony do druku, dlatego też naszą rozmowę nagrywałam na dyktafonie.

Po ośmiu latach pracy w redakcji „Wiadomości” mogę powiedzieć, że mój kolega był człowiekiem z charakterem. Waldemar Milewicz używał soczystego, sugestywnego języka, jego opinie i sądy były jasne i czytelne. Potrafił wyrażać je wprost, z otwartą przyłbicą i pełną świadomością, jaki ładunek ze sobą niesie. Miał odwagę nie tylko jechać na wojnę i dociekać prawdy. Miał

również odwagę mówić, co sądzi – także w sprawach dotyczących codziennej pracy i życia. Wiedział, że wywiad jest przeznaczony do druku, i nie chciał go autoryzować, choć mu to proponowałam. O jaką prawdę chodzi Agnieszce Romaszewskiej-Guzy? O jej własną, stworzoną do rozmiarów wyobraźni, czy o tę wypowiedzianą przez Milewicza w sprawach, które bezpośrednio go dotyczyły? Nie ma powodu, żeby obwiniać Milewicza za śmierć jego kolegi Mounira Bouamrane’a. Wszystkie decyzje, również te związane z narażaniem własnego życia, podejmujemy sami w zgodzie z własnym doświadczeniem, odwagą i sumieniem. Nie może być więc mowy o tworzeniu mitów. Czy Agnieszka Romaszewska-Guzy miałaby tyle wątpliwości, gdyby obaj wrócili z Iraku cali i zdrowi? Po śmierci niektórzy próbują nam stawiać pomniki ze spiżu. A przecież za życia jesteśmy z krwi i kości.

MARTA GRZYWACZ

Od redakcji

Decyzja opublikowania wywiadu z Waldemarem Milewiczem w takiej postaci nie była podjęta z chęcią oskarżania Go o cokolwiek lub uwłaczania Jego osobie, lecz przedstawienia Go czytelnikom takim, jakim naprawdę był – odważnym, zdecydowanym i wyrazistym. Nie mając wątpliwości co do prawdziwości zarejestrowanych przez panią Martę Grzywacz słów, nie widzieliśmy potrzeby cenzurowania tekstu w imię fałszywie rozumianej ochrony dobrego imienia tragicznie zmarłego. Uważamy, że na tych ośmiu stronach pisma właściwie oddaliśmy hołd zarówno Jemu, jak i pozostłym ofiarom irańskiej wojny.

PIOTR NAJSZTUB

Czekamy na Państwa listy.

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.



© MAREK RACZKOWSKI

Założył
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
MARIAN
ELE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P., 00-490 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 25, 25
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsztab

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Marcin Sendecki,
Maria Świetlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska,
Andrzej Saramonowicz,
Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papuzińska (szef), Marcin Fabjański,
Joanna Gorzelińska, Dorota Sajnuj, Max Suski,
Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński,
Andrzej Lomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,
Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Maciej Moruś, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:
Tomasz Kniolek (szef), Marcin Kapica,
Bogdan Kręzel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Piłśniak,
Marek Szczepański

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierala

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETNGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI I PRODUKCJI:
Grzegorz Baręj – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Olczak, Magda Olejka
KONKURSY@PRZEKROJ.PL

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Anna Orłowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Jagna Federowicz,
Grzywna Janiak, Małgorzata Skorupa
ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 5842-295, -297, -311, -584, -594
faks (0-prefiks-22) 584 22 92

Druk:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIŃ
PAPIER: OKŁADKA – GALERIE FINE 90 GSM,
PRODUCENT – M-REAL

ŚRODEK – GALERIE BRIT 60 G,
PRODUCENT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 32

PRENUMERATA: PRZEKRÓJ, PL
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH S.A.
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAKS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAKS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKULÓW NIEZAMÓWIENIOMYCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKULACH I LISTACH.

„Przekrój” wydaje
polecenia
kulturalne

„MASTEER!”

To było ulubione zawołanie
polskich fanów Metallica
18 lat temu, kiedy
ukazała się płyta
„Master Of Puppets”,
a członkowie grupy
pokazywali, że można
grać heavy metal
jeszcze mocniej,
szybciej,
drapieżniej
i bezkompromi-
sowo. Dziś
gitarzysta Kirk
Hammett używa
specjalnych
odżywek
wzmacniających
włosy. Perkusista
Lars Ulrich problem
z włosami ma
z głowy i w wolnych
chwilach zajmuje się
głównie grą w tenisa,
a wokalista James
Hetfield po latach walki
z alkoholizmem jest
wreszcie czysty. Wydana
w ubiegłym roku płyta
„St. Anger” wskazuje
na to, że muzycznie złapali
drugi oddech. Polskiej
publiczności ich występów
(przyjadą do nas po raz
piąty) nie trzeba nawet
zbyt reklamować.

A niezainteresowanym
przypomnę, że w tym
samym czasie odbywa się
polska trasa Garou. (BACH)

METALLICA, 31.05 CHORZÓW,
STADION ŚLĄSKI



Metallica

arcydzieło ●●●●●●●●
 świetne ●●●●●●●●
 dobre ●●●●●●●●
 przeciętne ●●●●●●●●
 słabe ●●●●●●●●
 dno ●●●●●●●●



JESTEŚ PORUSZONY?



www.MINI.com.pl



ODWROTNOŚĆ NUDY



TOTALNA KATASTROFA

Ratuj się, kto może! – przed filmem Rolanda Emmericha, oczywiście

●●●●●●
 Ten film jest jak kłeska żywiołowa – już za chwilę zacznie pustoszyć kinowe sale, i to zapewne skuteczniej niż niejedno tornado

„POJUTRZE”,
 REŻ. ROLAND EMMERICH,
 USA 2004,
 CinePix,
 premiera 28 maja

Właściwie to „Pojutrze” zasłużyło na jedną kropkę – drugą dodają jednak za niespodziewany przeblask autoironii, czyli scenę, w której rozszalałe tornado wrywa ze skał legendarny napis „Hollywood”... Owo tornado, które zamienia Miasto Aniołów w las malowniczych betonowych kikutów, to zresztą dopiero początek nieszczęść i kłesk, które dotyczą ludzkość (czytaj: Amerykanów) w filmie niezawodnego mistrza patosu i tandety Rolanda Emmericha.

„Pojutrze” opowiada bowiem o nowej epoce lodowcowej, która najpierw zatapia, a potem skuwa mrozem całą półkulę północną. Oglądamy sceny, w których wichury obracają samochodami w powietrzu, a na Nowy Jork spada ściana wody tak wysoka, że tylko szczyt Statuy Wolności wystaje ponad fale.

A cała reszta to typowy dla kina katastroficznego miks „dramatycznych” scen, w których wszyscy się dla wszystkich poświęcają, łzawych wyznań, kiczowatych patriotycznych haseł i naiwnej polityki

(choć idea, by społeczeństwa zachodnie ewakuowały się do krajów Trzeciego Świata, wydała mi się nawet zabawna...). Jakby kłesk, łez i dramatów było mało, pomysły Emmerich w swoim filmie znalazł miejsce jeszcze dla umierającego na raka małego chłopczyka.

Oglądając ten infantylny, porażająco głupi i kompletnie niepotrzebny film, zastanawiałam się, jak to możliwe, że dziś kino – nawet to gatunkowe – może funkcjonować aż tak bardzo „obok” prawdziwych katastrof, w porównaniu z którymi wybuch wulkanu w środku miasta („Wulkan”), asteroid zmierzający w kierunku Ziemi („Armageddon”) czy groźba zlodowacenia („Pojutrze”) to mały pikus i bajeczka dla dzieci?

Tymczasem amerykański film katastroficzy na miarę naszych czasów powinien nosić tytuł „Prezydentura George’a Busha” – obawiam się jednak, że w Hollywood nie ma żadnego Michaela Moore’a, który pokusiłby się o jego zrobienie.

MAŁGORZATA SADOWSKA

KIT LODOWCOWY

Twórcy „Pojutrze” postanowili skorzysta z wciąż modnego tematu globalnego ocieplenia, podchodząc do zagadnienia z dużą swobodą. Film aż się roi od mniej i bardziej oczywistych bzdur, z których największe pseudonaukowe kuriozum to nadejście epoki lodowcowej w ciągu tygodnia. Najbardziej pesymistyczny raport Pentagonu, do którego zresztą nawiązują twórcy filmu, mówi, że silne ochłodzenie, choć z pewnością nie zlodowacenie, mogłoby nastąpić za około 20 lat. Skrócenie tego czasu do kilku dni to gruba przesada. W całą farsę została wciągnięta całkiem szacowna organizacja – WWF, czyli Światowy Fundusz na rzecz Przyrody. Jej szef komentuje w materiałach prasowych film w taki sposób, by pochwalić jakże słuszne przesłanie dotyczące ochrony środowiska, a jednocześnie nie powiedzieć, że to wszystko stek pseudonaukowych bzdur. Cel uświęca środki?

(PST)



Powracający po 25 latach „Żywoł Briana” już okrzyknięto antidotum na „Pasję” Gibsona

PASJA WEDŁUG MONTY PYTHONA

●●●●●●
 Powracający do kin „Żywoł Briana” nie jest filmem bluźnierczym, a co najwyżej heretyckim

Kiedy oglądaliśmy filmy o Jezusie, zauważyliśmy, że ludzie mówią w nich ze śmiertelną powagą, dużo wolniej niż w innych filmach, jakby chcieli podkreślić: „Urodziliśmy się w niezwykłych czasach Chrystusa” – mówi Terry Jones z legendarnego Latającego Cyrku Monty Pythona. Już to wydawało się Pythonom wystarczające do wyśmiania, ale jeszcze bardziej bawiła ich myśl, że mogą nakręcić film będący parodią ewangelicznych historii.

Jednak błyskawicznie pojęli, że to niemożliwe. „Zorientowaliśmy się, że w słowach i czynach Chrystusa nie ma pychy, obłudy ani chciwości, niczego, czym mógłby się pożywić satyrk – wspomina inny z Pythonów John Cleese. I tak powstał – między innymi za pieniądze George’a Harrisona – „Żywoł Briana”. Dzieło, które ani trochę nie ośmiesza Jezusa, tylko pokazuje, jak mylnie pojmujemy się jego słowa.

Od tamtej chwili minęło ćwierć wieku, a „Żywoł Briana” cieszy się powszechną opinią dzieła kultowego. Teraz natomiast, kiedy za sprawą „Pasji” Mela Gibsona powrócił na światowe ekrany spowolniony i nadęty sposób mówienia o czasach Jezusa, „Żywoł Briana” ponownie trafia do kin w Stanach Zjednoczonych oraz – po raz pierwszy w oficjalnej dystrybucji – także w Polsce (trzy kopie z pamiętnym

„ŻYWOŁ BRIANA”,
 REŻ. TERRY JONES,
 WIELKA BRITANIA 1979,
 Solopan,
 premiera 28 maja

tłumaczeniem nieodżałowanego Tomasza Beksińskiego zmodyfikowanym przez Łukasza Korcza).

Antidotum na sadyzm

Dla tych, którzy nigdy filmu nie widzieli: jego bohaterem jest Brian z Nazaretu, rówieśnik Jezusa, nieudacznik mający toksyczną matkę, który w wyniku splotu okoliczności zostaje uznany przez część Żydów za lidera politycznego, a przez innych nawet za mesjasza. Gdzieś w tle całej historii przemazuje się Jezus, którego nikt nie rozumie i nie poważa.

„Żywoł Briana” nie jest filmem bluźnierczym, co najwyżej heretyckim; nie atakuje bowiem wiary, tylko jej instytucjonalne przełożenia. Bezlitośnie szydzi z faryzeuszów, zelotów, saduceuszów, a zwłaszcza takich wyznawców, jacy cały swój religijny wysiłek wkładają nie w rozumienie sensu słów Mistrza, tylko w uwielbienie dla Jego sandałów bądź naczyń, z którego pił. Jest też cudownym antidotum na sadyzyczną wizję dziejów Jezusa według Mela Gibsona, która – nad czym wypada ubolewać – na wiele lat zaciąży nad filmowym wizerunkiem Syna Bożego.

Problem z Jezusem

Od początku historii kina producenci filmowi mają ten sam kłopot – nie wiedzą, jak powinien wyglądać filmowy

Zbawiciel. Problem jest tym większy, że Jezus nie spełnia dwóch podstawowych oczekiwań, jakie zawsze stawia się bohaterem filmów – nie wdaje się w bójki i nikogo nie całuje.

Również Kościół miał twardy orzech do zgryzienia. Jak pokazać Chrystusa w filmie? Gdzie jest granica między bluźnierstwem a pracą ewangelizacyjną? Te dylematy składają się na fascynującą historię.

Gdy powstawała słynna „Nietolerancja” D.W. Griffitha, a było to w 1915 roku, dwa lata przed ogłoszeniem w Stanach prohibicji, zastanawiano się, czy scena zamiany wody w wino w Kanie Galilejskiej będzie aby służyła dobru. Natomiast w Anglii w ogóle nie wolno było prezentować Jezusa – po ustanowieniu Brytyjskiej Rady ds. Cenzury Filmowej pojawiły się dwa zdumiewające zakazy – pokazywania nagości i twarzy Syna Bożego.

Pacino czy Hoffman?

W 1964 roku do historii Jezusa wziął się włoski reżyser Pier Paolo Pasolini, wcześniej aresztowany za bluźnierstwo. Spodziewano się skandalu, tymczasem jego „Ewangelia według św. Mateusza” otrzymała dwie nagrody katolickie, a na oficjalnym pokazie oglądał ją sam papież. Nie uchroniło to jednak grającego Jezusa Hiszpana Enrique Irazoqui od szykan, włącznie z zabraniami paszportu i 15-miesięczną służbą w oddziałach wojskowych. Podobnie bano się „Godspell” (1973) Davida Greena. Całkiem zasadnie: postać Jezusa przedstawiono tu jako współczesnego klauna. I co się okazało? Zakonnice przywoziły autobusami dzieci na film!

Nie mniej fascynujące były dzieje „Jezusa z Nazaretu” (1977) Franca Zeffirellego. Najpierw myślano nad Alem Pacino jako Jezusem. Później rozważano – jako „brzydkie wydanie żydowskie” – Dustina Hoffmana. Wreszcie Jezusa zagrał angielski aktor Robert Powell, który na zdjęcia próbne przyjechał do roli Judasza! Zaważyło jego niezwykle przenikliwe spojrzenie – wiarogłomny uczeń nie mógł mieć przecież piękniejszych oczu niż sam Rabbi.

Humor Pythonów – oparty na anarchii światopoglądowej i formalnej – nie jest łatwy: wymaga od widza wiedzy, inteligencji i wyobraźni. Zupełnie jak „Przekrój”. Dlatego pierwsze 14 milionów osób, które pojawiają się w kinach na „Żywoł Briana” z niniejszym numerem tygodnika, otrzyma niespodziankę: naprawdę dobrą zabawę!

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

Po trzech latach przerwy 80-letni MARLON BRANDO powraca na duży ekran. W filmie Tunezyjczyka Ridhi Behiego

zagra... siebie, Marlona Brando. Drugim bohaterem będzie chłopak, który marzy o spotkaniu z gwiazdorem

PIERCE BROSNAN marzy o tym, żeby kolejną część przygód Jamesa Bonda nakręcił Quentin Tarantino.

Twórca „Pulp Fiction” i „Kill Bill” już wyraził zainteresowanie zrobieniem filmu o agencji 007

..... SZCZĄTKI GITARY

Hendrix fizycznie rozbijał gitarę, Fennesz rozbijał jej dźwięk na czynniki pierwsze

Improwizacja, w których gitara służy do produkcji dźwięku, ale końcowy efekt chwilami w niczym jej tonów nie przypomina. Ulubione narzędzie rocka dało album bliższy muzyce elektronicznej, pełny brudów, ale i emocji. Daleki od łatwej hochsztaplerki. Kto zna głośny album Fennesza „Endless Summer” sprzed dwóch lat, nie potrzebuje rekomendacji, bo to porównywalne płyty. Kto nie zna, a boi się muzyki trudnej, przytłaczającej i odpychającej, niech zacznie od pięknego utworu z partią wokalną Davida Sylviana.

FENNESZ „VENICE”, Touch

BARTEK CHACIŃSKI

REGGAE ÜBER ALLES

Biali i do tego Niemiec. Jak ktoś taki jest w stanie czuć reggae – muzykę czarnych z Jamajki? Ale Tillmann Otto, znany jako Gentleman, musiał w poprzednim życiu być Jamajczykiem – nie dość, że nagrywa porywające kawałki dancehall (modna dziś taneczna odmiana reggae), to jeszcze włada nienagannym patois – jamajskim dialektem. Zaliczany jest do najlepszych europejskich twórców karaibskich brzmień. Co więcej, nagrywają z nim najlepsi artyści jamajscy, co samo w sobie jest rekomendacją. – Co ciekawe, to głównie w Europie, a nie na Jamajce, podejrzliwie patrzy się na to, co robię. Tu jest tendencja do analizowania wszystkiego. A muzykę reggae trzeba po prostu czuć! Nieważne, skąd jesteś – mówi Gentleman. Sam żyje między Niemcami a Jamajką. Tam ma żonę i studio nagrań, tu – wielbiącą go publiczność. Jego koncerty gwarantują świetną zabawę, a towarzyszący mu The Far East Band uważa się za najlepszą grupę reggae na Starym Kontynencie. (OSZ)

Gentleman, 28.05 Warszawa, Stodola, 29.05 Poznań, Eskulap



Fot. ARCH.FOURARTISTS.COM

Tytuł „Baptism” oznacza chrzest, choć dla Kravitz może to być ostatnie namaszczenie



LENNY KRAVITZ „BAPTISM”, Virgin



www.MINI.com.pl

Piłem z Dylanem / Ćpałem z Jaggerem / Nie chcę już być gwiazdą” – szokujące usłyszeć takie wyznaczenie z ust prawdziwego rockandrollowego zwierzęcia. Ciekawe zresztą, co myślą sobie sami zainteresowani, słysząc, że ich o niemal pokolenie młodszy pupil szykuje się do złożenia broni. W przededniu swoich 40. urodzin Lenny Kravitz jest zmęczony blichtrzem show-biznesu. Ma dość sławy i opinii ulubieńca bulwarowej prasy. Jak widać, kryzys wieku średniego nie oszczędza nawet rockowych herosów.

Jeszcze niedawno Kravitz szokował wszystkich burzliwym romansem z Nicole Kidman... Dziś w ramach prezentu urodzinowego zafundował sobie tytułowy chrzest – odnowę duchową i fizyczną. Nie tylko wyprostował włosy (a tym samym jeszcze bardziej upodobnił się do Prince’a, swojego odwiecznego idola). Przede wszystkim wyciszył się, złagodniał, by zabrzmieć jak ugrzeczniona wersja samego siebie sprzed lat. Już w pierwszym utworze tytułuje się wprawdzie „Ministrem Rock’n’Rolla”, ale dzisiejszy Lenny to bardziej przedstawiciel rządu na uchodźstwie niż prawdziwy lider rockowego resortu. Artysta szanowa-

ny i ceniony, ale bardziej za dawne dokonania niż aktualne osiągnięcia.

Są na szczęście na „Baptism” momenty, które zadają kłam emerytalnym planom Kravitz. Stonesowskie „Where Are We Runnin’?” i „Flash” czy pulsujące seksownym funkowym rytmem „Sistamamalover” to Lenny, jakiego lubimy najbardziej – zdecydowanie wierny klasykom z lat 60. i 70., ognisty, porywający, w końcu przebojowy. Nieźle wypadł duet z Jayem-Z w „Storm”, ale to nie zaskoczenie, że w poszukiwaniu nowych rozwiązań Kravitz nadstawiał uszu na hip-hop. Nieco gorzej ma się tym razem sprawa z balladowym repertuarem. Na dźwięk clikowej nuty w głosie Lenny’ego stopnieje jeszcze parę damskich serc, ale na próżno wypatrywać tu drugiego „Stand By My Woman”. Daleko temu albumowi do szczytowych osiągnięć Kravitz z początku lat 90. Warto go polubić z tej prostej przyczyny, że właśnie piosenki z „Baptism” zdominują czerwcowy koncert artysty w Polsce. 26 czerwca na warszawskim lotnisku Bemowo przekonamy się, czy 40-letni artysta to już rzeczywiście rockowy emeryt.

BARTEK WINCZEWSKI

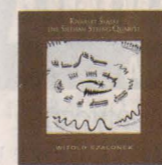


Fot. POMATON EMI

Wiele wskazuje na to, że wczesny kryzys wieku średniego od dawna wpływa na wygląd Kravitz

..... TAK KRAVITZ KRAJE...

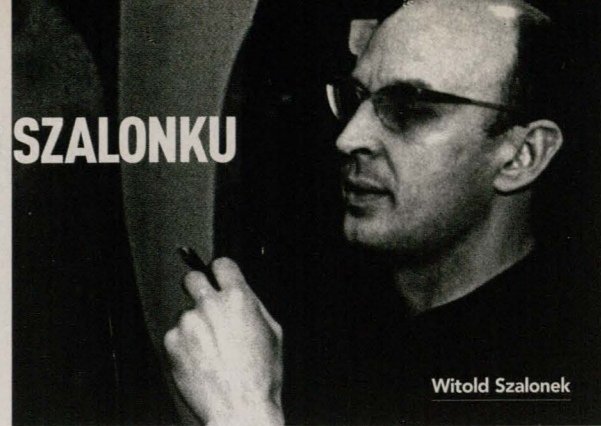
Odkrywany po latach jeden z najważniejszych twórców polskiej muzyki współczesnej



WITOLD SZALONEK („1+1+1+1”, „SYMFONIA RYTUALÓW”), KWARTET ŚLĄSKI, Polskie Radio Katowice

..... PAMIĘTAJMY O SZALONKU

Twórczość Witolda Szalonek (1927–2001) znają tylko wtajemniczeni. Dla nich był guru, estetycznym nonkonformistą. Tworzył kompozycje sonorystyczne, w których liczy się praca nad właściwościami dźwięku: barwą, dynamiką, nasyceniem. To był jeden z głównych kierunków polskiej awangardy lat 60. – w tym duchu tworzyli wtedy Penderecki i Górecki, ale ci porzucili sonoryzm na rzecz prostszych form, a Szalonek w awangardzie pozostał. Na jego dokonania patrzono długo z przyrzuceniem oka, choć je akceptowano. Uważano go wręcz za nieszkodliwego dziwaka (choć przy okazji był przecież odkrywcą „dźwięków kombinowanych” – wielodźwięków uzyskiwanych na instrumentach dętych drewnianych). Czas Szalonek nadszedł – jak



Fot. ANDRZEJ ZBORSKI

to bywa – dopiero po jego śmierci. Tryumf muzyki nieobecnej już kompozytora na Warszawskiej Jesieni w 2002 roku stał się początkiem szerszego zainteresowania jego twórczością. Płyta Kwartetu Śląskiego jest tego przykładem. Szalonek w sztanदारowych utworach – formie otwartej „1+1+1+1” nagrałej w dwóch wersjach (na skrzypce i wiolonczelę oraz na kwartet smyczkowy) – i dziele życia – „Symfonii rytuałów”.

JACEK HAWRYLUK



Fot. PHILIPPE LEVY/POMATON EMI

Nieślubne dziecko Courtney Love i Billy'ego Corgana

..... WYJŚCIE Z CIENIA

Po 10 latach grania w Hole (grupa Courtney Love), a później w Smashing Pumpkins (u Billy'ego Corgana) basistka Melissa Auf der Maur wychodzi z cienia popularnych frontmanów. Materiał na „Auf der Maur” skomponowała i nagrała z pomocą swoich przyjaciół z Queens of the Stone Age, Kyuss oraz oczywiście Hole i Smashing Pumpkins. Nie chciała, tak jak Corgan, kiedy rok temu zakładał grupę Zwan, polegać tylko na sobie i nic nie zmieniać w swojej muzyce. Ale w odróżnieniu od Love, która też wydała właśnie solowy

krążek, nie polegała na speckach od przebojów Eltona Johna i Christiny Aguilery. Owszem, gra mocno i rockowo, ale gdy śpiewa melodyjne refrezy, wychodzi z niej delikatna kobietka. Dobrze, że zdecydowała na razie zawiesić działalność swojej kapeli, z którą gra i śpiewa covery Black Sabbath, i zajęła się własną karierą.

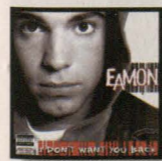
JACEK SKOLIMOWSKI



AUF DER MAUR „AUF DER MAUR”, EMI

..... PRZYSOULIŁ

Nie dość, że przydługie wyrazy, to jeszcze fałszem



EAMON „I DON'T WANT YOU BACK”, Jive

Ostatnimi, którzy odważyli się wprowadzić na listy przebojów piosenkę ze słowem „fuck” w tytule, byli kalifornijscy metalowcy z grupy W.A.S.P. I oto ponad 20 lat od ich skandalizującego „Animal (F.k Like A Beast)” mamy Eamona. 19-letniego zaledwie soulmana rodem z Nowego Jorku, którego singiel „F.k It (I Don't Want You Back)” jak burza wdziera się w radiowy eter po obu stronach oceanu. Gdy jego starsi i popularniejsi koledzy z bólem serca wyśpiewują swoje rzewne songi

o utraconej miłości, on, używając niewyszukanego słownictwa, każe iść swojej ukochanej w diabły. I tak na całym debiutanckim albumie. O niecenzuralnym języku i seksualnych kontekstach ostrzega już naklejka na okładce, co przekłada się na to, że Eamonowi wystarczy ubogi katalog angielskich wulgaryzmów. Wokalista również z niego żaden, a by stawić czoło jego fałszującym jękom, potrzeba dużego samozaparcia.

BARTEK WINCZEWSKI

..... GORĄCY POLAK

„Mista Polak is coming to da town, Sidney Polak puka do twoich bram...” – nawija w stylu reggae perkusista T.Love. Po 12 latach za bębniami w tej rockandrollowej kapeli Sidney ujawnia się jako entuzjasta reggae i hip-hopu i debiutuje w tej stylistyce. Wspierają go raper Pezet, Trzeci Wymiar



z Wałbrzycha oraz reggae'owy sound system Zjednoczenie Sound System. Dzięki temu muzyka jest tu gorąca i dobrze buja, a teksty mają lekki, miejski klimat. Sidney mówi, że nie chce się podszycać pod hip-hop, ale odwoływać się do niego w szczerości przekazu. Mottem płyty mogłyby być jego słowa: „hare piwo, hare sex, hare muza, hare sieć”. Jak przed laty Muniek opisywał życie w stolicy w piosenkach T.Love, tak Sidney robi to przy współczesnych, imprezowych rytmach. Czegóż więcej trzeba na wakacyjne balanzki?

JACEK SKOLIMOWSKI



SIDNEY POLAK „POLAK”, Pomaton EMI

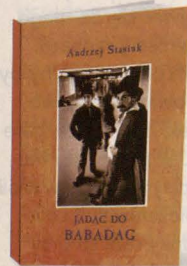


STASIUK DO NEGOCJACJI

W Albanii, Rumunii czy na Węgrzech Stasiuk czuje się tak samo jak u siebie na wsi

Fot. PIOTR JANOWSKI

••••• Najnowsza książka Stasiuka to jedyny w swoim rodzaju przewodnik po rubieżach nowej Europy



ANDRZEJ STASIUK „JADĄC DO BABADAG”, Czarne, Wołowiec 2004

Czemu tak się kłócił premier Miller? Dlaczego okoniem stawał minister Cimoszewicz? Po co gardłowali po nocach, skoro nad ranem czekały ich tylko czule całusy z korali ust komisarza Verheugena? Walczyli o jakąś preambułę plastikowej konstytucji sztucznej Europy – kiedy tekst wspólnego stanowiska jest już gotowy. Po kilku tygodniach podróży gdzieś po antypodach tej wypindzonej Europy Stasiuk za jednym zamachem napisał: i „deklarację”, i „preambułę”, i „konstytucję”.

Pod tym tekstem na pewno podpisze się cała nowa Dziesiątka i jeszcze kilka innych krajów. To przecież one reprezentują tajemnicze ziemie, które na drukowanych na Zachodzie mapach nie mają ani granic, ani miast, ani własnych państw. „Jedynym miastem – pisze Stasiuk – które ocalało na enigmatycznych terytoriach południowo-wschodnich, są Ateny, prawdopodobnie wystarczająco stare, by wziąć na siebie rolę historycznej skamienieliny. Sofia, Bukareszt, Belgrad, Warszawa czy Bratysława po prostu przepadły. Cóż poza chaosem albo zmianami pogody może nadzieć z tamtego świata?”

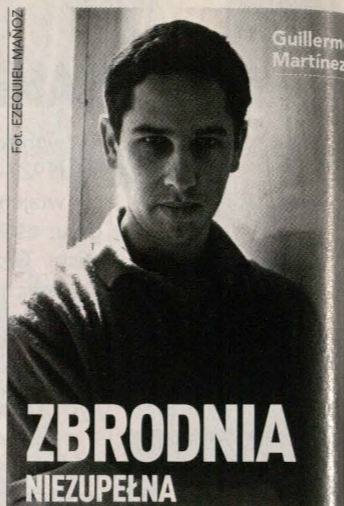
Najnowsza książka Stasiuka to specyficzny przewodnik po rubieżach nowej Europy. Autor „Dukli” dojechał również do tej części kontynentu, która w ostatnim rozdaniu kart wstępu na salony Europy nie została wzięta pod uwagę. Od 1 maja jest tam, gdzie była wcześniej. To Mołdawia, Albania, Rumunia. Stasiuk przekracza ich granice na pace rozklekotanego auta, w towarzystwie cinkiarzy i przemysłowców. Wszędzie – czy to 200, czy 450 kilometrów od własnej chałupy – czuje się tak samo. Spotyka takich samych ludzi,

śmieje się z tych samych dowcipów i wszystko rozumie. Nie towarzyszy mu zatem zdumienie odkrywcy nowych lądów. Pod tym względem jego książka jest jak satelitarny system nawigacji GPS. Po prostu pokazuje – w specyficznym Stasiukowym slangu łązika – gdzie aktualnie jest. „Jednym słowem głównie mnie obchodzi, dokąd zmierzamy, a ciekawi tylko to, skąd się wzięliśmy – pisze. – No więc dziesięć słów po rumuńsku, pięć po węgiersku, stacja Boj-Catun i – powiedzmy – milion lei w małych nominatach, żeby zobaczyć pustkę pomiędzy niebem a ziemią, w której brną czarne woły”.

Ale dziennik podróży to przede wszystkim diagnoza stanu tej części Europy. Stasiuk podaje ją tak, jak się podaje palinkę w Guma Humoruluj. Wydaje tak jak bilety na dworcu w Kiszyniowie. Szerze i z serca. Znajdziemy tu wszystko. „Nigdy w życiu nie widziałem takiego syfu i takiego spokoju, z jakim ludzie żyli wśród odpadków, do których co chwila do rzucali nowe” – pisze o Albanii. W Słowenii oddaje się kontemplacji sposobu picia. „Jakaś solidność i solenność była w tym piciu i żadnych śladów pijackiego wzlotu, żadnej samczej neurozy”. Patrzy na twarze, wsłuchuje się w dźwięk rozmów. Kontempluje biedę. No i przede wszystkim pomaga zrozumieć, skąd ta niechciana Europa się wzięła i czego w zasadzie chce u bram Renu, Dunaju i Odry.

I gdy Rokita przy okazji kolejnej tury negocjacji z resztą Unii nadal upierać się będzie przy wzniosłym hasle „Nicea o muerte!”, może trzeba mu odpowiedzieć: „Nie warto. Daj im, Janie Mario, Stasiuka do czytania”.

MICHAŁ WÓJCIK



ZBRODNIA NIEZUPEŁNA

Czy matematyczne twierdzenie pomoże ująć seryjnego mordercę?

•••••

Kryminały można dzielić wedle rozmaitych kategorii. Jedną z nich jest motywacja zbrodniarza. O ile w życiu zabójcami najczęściej kierują niskie pobudki, o tyle w książce cykl zbrodni ma ułożyć się w swoiste dzieło sztuki intelektu, a ucieczka i pościg są czymś w rodzaju strategicznej gry planszowej. Pomysłowość autorów jest ograniczona tylko dziedzinami wiedzy, które mogą stanowić tło dla śledztwa. Argentczyk Martínez jest matematykiem i matematyczne środowisko jest dlań glebą, która wydaje kryminalne owoce. Zaczyna się od tajemniczej śmierci wdowy po profesora matematyki z Oksfordu.

Im głębiej wciąga nas posępna oksfordzka seria, tym bardziej uwiera wymyślność sytuacji. Dwa rozdziały przed końcem byłem bliski rezygnacji. Na szczęście ostateczny finał (czyli drugi) przywraca historii znamię prawdopodobieństwa. Niegruba powieść jest jak fikuśne danie, którego w życiu nie zrobilibyśmy w domu, ale raz na jakiś czas chętnie skubniemy na mieście.

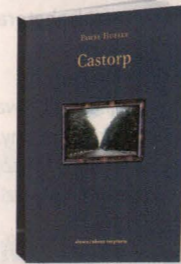
FILIP ŁOBODZIŃSKI



GUILLERMO MARTÍNEZ „OKSFORDZKA SERIA”, PRZEL. AUCJA NOWORYTA, Świat Książki, Warszawa 2004

HUELLE À LA MANN

••••• Późniejszy bohater „Czarodziejskiej góry” Manna przyjechał do Gdańska i zapisał się na politechnikę. Znalazł go tam Paweł Huelle i utrwalił w najnowszej powieści



PAWEŁ HUELLE „CASTORP”, Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2004

Niegdyś głośny autor „Weisera Dawidka” ostatnie swoje książki pisze tak, by zmusić czytelnika do udania się w dalsze literackie podróże. Poprzednia powieść „Mercedes Benz” (2001) poświęcona była duchowi Bohumila Hrabala. Najnowsza nosi tytuł „Castorp” i kieruje nas w stronę Tomasza Manna. Castorp to po prostu nazwisko jednego z głównych bohaterów „Czarodziejskiej góry”. Oczywiście znajomość pierwowzoru do szczęścia konieczna nie jest. Huelle opisuje półtoraroczny z grubsza epizod z życia pewnego młodego człowieka, Niemca z Hamburga, który w okolicach roku 1905 postanowił odbyć studia na nowo założonej Politechnice Gdańskiej.

Hans Castorp jest modelowym wcieleniem mieszczańskiej porządności. Dobrze ułożony Europejczyk czuje się w Gdańsku dosyć dwuznacznie, bo z jednej strony stara kultura i było nie było centralne miasto Prus Zachodnich, a z drugiej – codzienna mizéria, prowincjonalna bylejałość, krzywe chodniki i po ulubione cygara trzeba wędrować aż do Sopotu. Ku oburzeniu właścicielki mieszkania, u której wynajmuje pokój, bieliznę do prania Castorp wysłał pocztą... do Hamburga, bo nie wierzy tułtejszym praczkom. Książka składa się z takich drobnych, delikatnych obrazków i obrazeczków, małych wątków i małych przygód, w sumie mało istotnych. Do momentu, kiedy to

ZMIAŹDŻONY KWIAT

••••• Opowieść o rosyjskiej nędzy i rosyjskim bogactwie



HENRI TROYAT „MARINA CWIETAJEW. WIECZNA BUNTOWNICA”, PRZEL. WACŁAW SĄDKOWSKI, Twój Styl, Warszawa 2004



Marina Cwietajewa, Paryż, 1925

Marina Cwietajewa to obok Anny Achmatowej najslawniejsza poetka rosyjska XX wieku. Dane jej było zaznać szczęśliwych lat przed rewolucją, goryczy emigracji po zwycięstwie zwolenników Lenina oraz prześlado-

wań po powrocie do Związku Sowieckiego. Wszystko zakończone samobójczą śmiercią poetki w 1941.

Czy mogła zażyć większego szczęścia? Wydaje się, że nie. Jak to często bywa, poetycki talent związany był u niej z ta-



Paweł Huelle – był hrabalowski, jest mannowski

Fot. KAMIL GOZDANIAG

w owo z grubsza ustabilizowane życie studenta politechniki wkradają się różne dziwne niejasności. Dobrze ułożony Europejczyk odkrywa, że chyba się zakochał, i to w tajemniczej Polce, która ma romans z oficerem rosyjskim. Pomalutku traci równowagę wewnętrzną. Jeszcze trochę, a łąduje w psychiatry... Spokojny żywot jakby troszeczkę się wykoślawia, wykrzywia... Co było dalej, czytajcie sami.

To nie jest nawet powieść, taka powieść całą głębią, gęstą i zostająca w pamięci. To jest raczej nowela w mannowskim stylu. I tym razem stylizacja na inną literacką wielkość świetnie się udala, choć – co tu kryć – hrabalowski „Mercedes Benz” był nieporównanie efektywniejszy, barwniejszy, zabawniejszy. Prawdę mówiąc, odkładam „Castorpa” na półkę z niejakim podejrzeniem, że nie znajdę dostatecznego powodu, by doń jeszcze wrócić.

TADEUSZ NYCZEK

CZTERY KOBIETY

Oto wiersze drapieżne i delikatne zarazem

Jak wszystko na świecie podobno także polską poezję najnowszą zdominowali mężczyźni. Pisze przecież Marta Podgórnik: *nie napiszę / tych paru dobrych wierszy, bo już je napisali chłopcy*. Ale jak to zwykle bywa, kobiety pokazują czynami, że wbrew tej dominacji potrafią wytyczyć i utrzymać własne terytoria. Julię Fiedorczuk, Klarę Nowakowską, Martę Podgórnik i Agnieszkę Wolny-Hamkało wiąże pewien trudny do na-



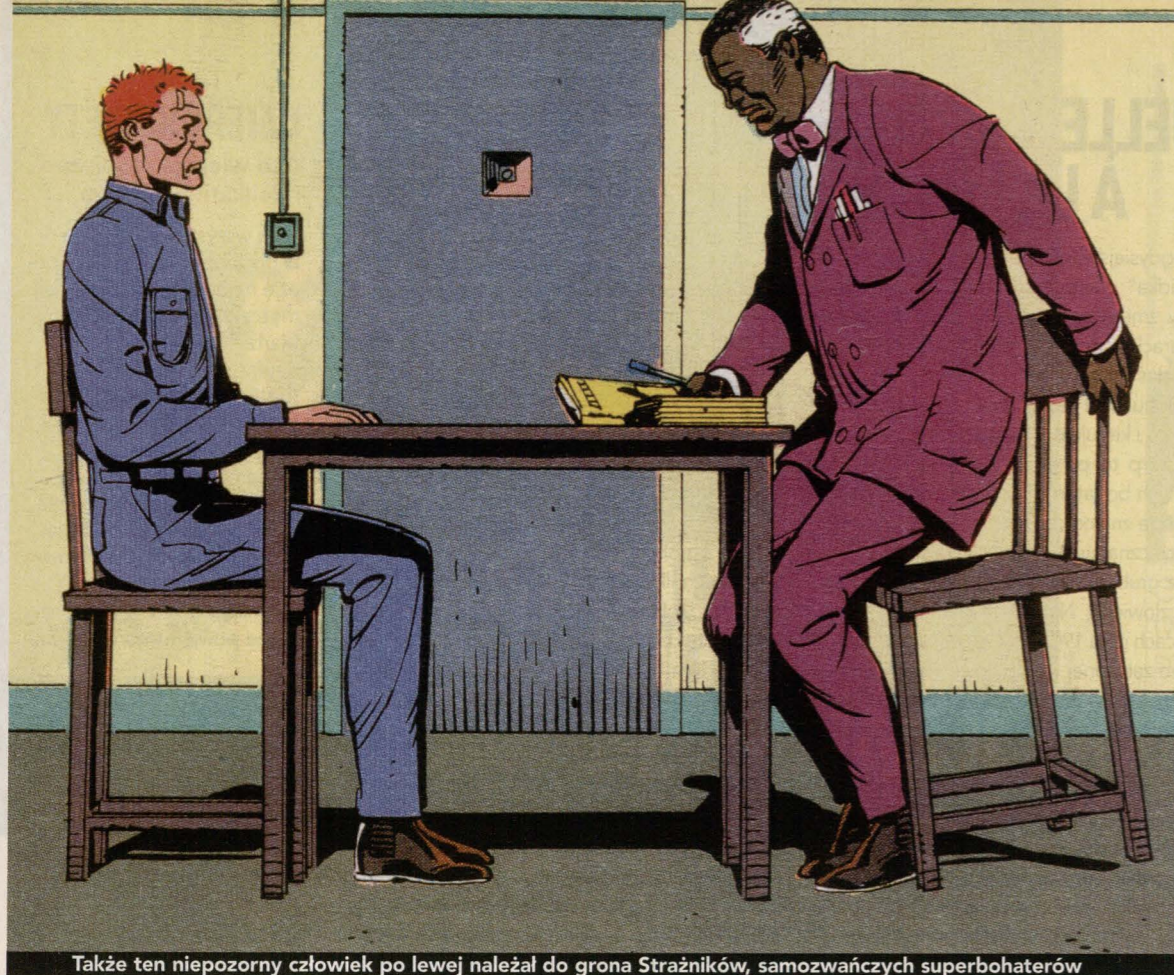
Agnieszka Wolny-Hamkało

zwania ton. Ich wiersze łączą w sobie sprzeczne części składowe: ból utraty sąsiada z gniewną rezygnacją, neurotyczna subtelność z twardą dosadnością. Mieszają w sobie akapity niemal realistycznie sprawozdawcze z fragmentami całkowicie surrealistycznymi. Nie wiem, czy jest to liryka „czysto” kobieca, nie wiem, czy takich wierszy mężczyzna nie mógłby napisać. Ale wiem, że z prawdziwym przejęciem czytam, gdy Nowakowska pisze: *Kiedy wyjęto gwoździe / w ich miejsce wyrosły huby: / zasklepiając i drząc jednocześnie rany* albo: *Jestem już zmęczona, więc możesz śmiało / zakochać się w jednej z tych pięknych dziewczyn, / co chodzą spać bez kolacji i kopirają w trzewiach podstępnych firm* (Wolny-Hamkało). Bo wiersze tych poetek wywołują *rozkoszny strach* (Fiedorczuk).

MARCIN BARAN

JULIA FIEDORCZUK „Bio”, KLARA NOWAKOWSKA „SKŁADNIA”, MARTA PODGÓRNIK „DŁUGI MAJ”, AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO „GOSPEL” – wszystkie tomy opublikowane przez Biuro Literackie, Wrocław 2004

(EMBE)



Także ten niepozorny człowiek po lewej należał do grona Strażników, samozwańczych superbohaterów

..... TŁUM SUPERBOHATERÓW

Amerykański klasyk pokazuje, jak prawdziwi ludzie udają superbohaterów

Przebrani w kostiumy Batman, Spiderman i inni bohaterowie walczący z przestępczością mogą wydawać się infantylni i irytować nierzeczywistością. „Strażnicy” to też komiks o takich postaciach, jednak prawdziwszy i bardziej realistyczny. Scenarzysta Alan Moore (znany z „V jak Vendetta” czy „Ligi niezwykłych dzentelmenów”) postawił sobie jedno pytanie: co by było, gdyby superbohaterowie istnieli w normalnym świecie?

W 1938 roku na rynku wydawniczym pojawił się Superman, rok później Batman. Potem kolejne komiksy z obrońcami prawa, tajemniczymi mścicielami. Ukazują się do dziś. Moore opisuje alternatywny świat, w którym grupa zwykłych ludzi, zainspirowanych historiami superbohaterów, postanowiła... stać się nimi. Zakapturzony Sędzia, Dolarówka, Człowiek Ćma, Sylwetka i inni zaczynają w świecie „Strażników” bronić amerykańskiej demokracji. W latach 70. ich działania zostają wyjęte spod prawa na skutek protestów policji. Tylko dwóch z nich, Doktor Manhattan i Komediante, idzie na współpracę z rządem. Reszta wycofuje się lub działa w ukryciu. I dopiero tu zaczyna się faktyczna fabuła „Strażników”. Jesteśmy w połowie lat

80. w Ameryce. To inny kraj. Dzięki interwencji Doktora Manhattan wojna w Wietnamie kończy się pogromem komunistów. Trzecią kadencję prezydencką sprawuje Nixon – nie było afery Watergate, bo dziennikarzy „Washington Post” usunął Komediante. Po ulicach poruszają się samochody napędzane prądem. To superbohaterowie udostępnił światu swoją technikę. I właśnie wtedy zostaje zamordowany jeden z nich. Czy to początek polowania?

„Strażnicy” pokazali postaci prawdopodobnie psychologicznie. Superbohaterowie stali się tu zwykłymi ludźmi, którzy kostiumy przywdziali choćby po to, by leczyć kompleksy. Moore zinterpretował komiksowe mity, pojęcia honoru, odwagi, szaleństwa, demokracji i wolności. Polskie wydanie, podzielone na trzy tomy (razem ponad 400 stron, od niedawna już w komplecie na rynku), poznaliśmy z prawie 20-letnim opóźnieniem. To opus magnum amerykańskiego komiksu. Jednocześnie Moore i Gibbons na zawsze wyczerpali temat, choć ślady inspiracji „Strażnikami” widać w innych komiksach do dziś.

BARTOSZ KURC

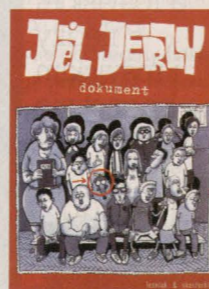
„STRAŻNICY”, SCENARIUSZ ALAN MOORE, RYSUNKI DAVE GIBBONS, Egmont, Warszawa 2004

ODWROTNOŚĆ NUDY

TYTUS NA OSTRO

Jeż Jerzy wyraźnie przejął schedę po Tytusie i jest obecnie najpopularniejszym bohaterem komiksowym w Polsce. Odkąd 10 lat temu powstał komiks o przygodach kolczastego Jerzego, ukazały się cztery pełnometrażowe albumy. I właśnie z okazji jubileuszu bohatera autorzy wpadli na nowatorski pomysł: postanowili zrealizować komiks dokumentalny, którego tematem uczynili próbę odpowiedzi na podstawowe pytanie: „Kim jest Jeż Jerzy?”. Mamy tu więc rysunkowe „wypowiedzi do kamery” postaci znanych z poprzednich albumów, a przede wszystkim sporą dawkę reprintów historycznych plansz – począwszy od pierwszego epizodu z roku 1994.

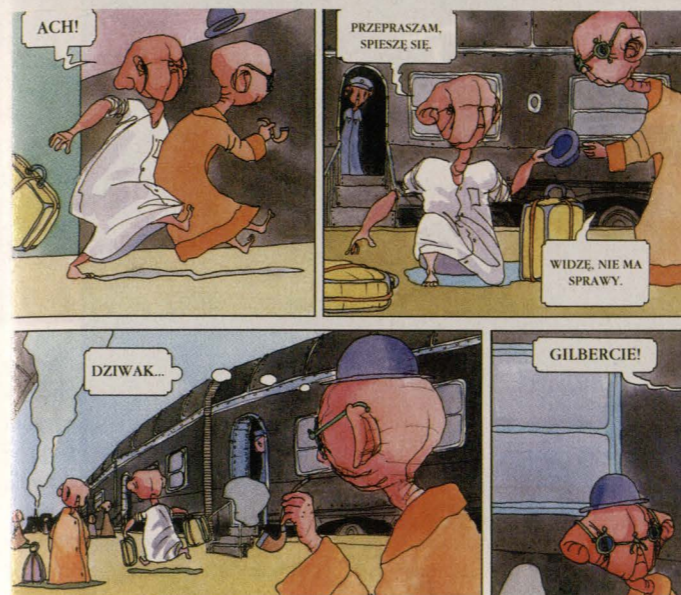
MATEUSZ SZLACHTYCZ



„JEŻ JERZY – DOKUMENT”, SCENARIUSZ RAFAŁ SKARŻYCKI, RYSUNKI TOMASZ „LEW” LEŚNIAK, Egmont, Warszawa 2004



LEK NA CYNIZM



Komiksy Mateusza Skutnika to oryginalna, oniryczna i dziecięca kreska, z której wylania się coś niepokojącego. 28-letni gdański rysownik zaczynał tak jak inni polscy debiutanci, publikując na łamach fanzinów. Drukował też w udanej antologii „Wrzesień” i kilku pismach zagranicznych. „Morfolaki” to zbiór jego wczesnych komiksów. Dziwne, tajemnicze opowieści mają wiele wspólnego z dawnymi legendami germańskimi i słowiańskimi. Ponure, czarno-białe, jeszcze niedopracowane rysunki przeżarte są makabrą i czarnym humorem. „Rewolucje” to ich przeciwieństwo tematyczne i plastyczne. To powrót z Północy na Południe, w świat kolorowy, ciepły i słoneczny. Ich bohaterami są wynalazcy, odkrywcy i podróżnicy. Znajdzie się tu miejsce zarówno dla filozofa, jak i dla badacza podwodnego świata. Opowieść ma szkatułkową formę, a bohaterowie przechodzą koło siebie, mijają się na drogach, by spotkać na końcu.

Bezpretensjonalne poetyckie historyjki Skutnika utrzymane w klimacie Borisa Viana są odtrutką na współczesny cynizm.

BARTOSZ KURC



„MORFOLAKI”, SCENARIUSZ NIKODEM ŚRODZKI, RYSUNKI MATEUSZ SKUTNIK, Egmont, Katowice 2004



10 KULEK ABSURDU

Alkoholowo-mistyczny humor z wielkiej płyty

Kim jest tytułowy Nerwolver? To postać całkowicie absurdalna, tak jak cała dotychczasowa twórczość Tomasza Niewiadomskiego, najlepiej znanego z komiksów o Ratmanie na łamach „Nowej Fantastyki” (Ratman też doczekał się wersji albumowej – przyp. red.). Album otwiera quasi-mitologiczny opis narodzin Nerwolvera: kiedy pijany w sztok krasnoludek wchodzi do lufy niedbale porzuconego pistoletu, dochodzi do eksplozji atomowej kuchenki mikrofalowej, a w rezultacie – do nieodwracalnego wymieszania cząstek krasnala



„NERWOLWER”, SCENARIUSZ I RYSUNKI TOMASZ NIEWIADOMSKI, Kultura Gniewu, Warszawa 2004

z cząstkami broni palnej. Już ta historyjka precyzyjnie określa świat, w którym rozgrywają się wydarzenia 10 nowel składających się na to wydawnictwo: kuchni w bloku z wielkiej płyty. Pozornie swojskie terytorium staje się tu areną alkoholowo-mistycznych sytuacji. Kreska autora sprawia wrażenie nieporadnej, ale to pozór, konwencja, która idealnie współgra z pur-nonsensowym typem humoru.

MATEUSZ SZLACHTYCZ



ZACHĘTA BRE BANK SA
MECENAS GALERII ZACHĘTA

Eustachy Kossakowski
Fotograf

29.05–11.07

Zachęta
Narodowa Galeria Sztuki
pl. Małachowskiego 3
00-916 Warszawa
tel. 827 58 54
www.zacheta.art.pl
godziny otwarcia:
wtorek – niedziela 12–20



„Glina”, reż. Władysław Pasikowski

JUŻ NIE HAŃBI

Zamiast chałtury reżyserzy zaczęli widzieć w szklanym ekranie szansę. Czy kryzys w polskim kinie pomoże telewizji?

Nie wierzę, żeby w tym kraju byli jeszcze reżyserzy idioci, którzy nie rozumieją, że telewizja jest największą szansą – mówi Jurek Bogajewicz, twórca „Kasi i Tomka”.

A telewizja jest taką szansą zwłaszcza dziś, gdy brakuje dobrego prawa, dobrych pomysłów, a przede wszystkim pieniędzy na filmy fabularne. Coraz chętniej więc „romansują” z telewizją dobrzy reżyserzy i dobrzy aktorzy. Jesienią w polskich stacjach pojawiają się seriale Władysława Pasikowskiego („Glina”), Macieja Dutkiewicza (dalszy ciąg „Defektu”), a później Macieja Dejczer („Oficer”) i Piotra Weresniaka („Kryminalni”), w których zobaczymy między innymi Jerzego Radziwiłowicza, Macieja Stuhra, Piotra Fronczewskiego, Magdalenę Cielecką.

Dziś i dla aktorów, i dla reżyserów to często jedyna okazja nie machnięcia chałtury, ale zrobienia czegoś ciekawego i sensownego – filmu po prostu. – A przecież dużo łatwiej zrealizować dziś ambitny serial niż ambitny film – przekonuje Andrzej Kostenko („Zaginiona”, „Lokatorzy”).

Świat według kiepskich

Lista reżyserów, którzy firmują dziś w Polsce serialowe produkcje, jest imponująca i dość zaskakująca. Są tu i debiutanci, którzy narzekają często w wywiadach na poziom polskiego kina (Kinga

Lewińska, Jacek Filipiak, Maciej Pieprzycyca, Wojciech Smarzowski), dokumentaliści (Natalia Koryncka-Gruz), reżyserzy z dorobkiem rozbudzającym dawniej spore nadzieje (Maciej Dejczer, Maciej Ślesicki, Ryszard Bugajski, Radosław Piwowarski, Filip Zylber czy pracujący przez lata w Stanach Jurek Bogajewicz). – Pewnie każdy serial lepiej by było ominąć – przyznaje Filip Zylber („Adam i Ewa”, „Rodzina zastępcza”, „Na Wspólnej”). – Ale niczego nie żałuję.

– Nareszcie reżyser przestał być w Polsce panem artystą, któremu trzeba się kłaniać w pas – mówi Piotr Weresniak („M jak miłość”, „Na dobre i na złe”).

Do niedawna jednak reżyserzy uważali, że praca dla telewizji – czyli kręcenie telenowel i seriali – to dla nich nie „największa szansa”, ale największy obciach. Szkoły filmowe przygotowywały do tworzenia dzieł dla kina, ucząc zarazem pogardy dla masowych form telewizyjnych. Choć, jak mówi Filip Zylber, „praca w serialu nie jest już straszną hańbą, tylko jednym ze sposobów utrzymania”, taki sposób myślenia jeszcze pokutuje.

Dziś nie trzeba się już telenowel wstydić, chociaż dobrze w czasie rozmowy przypomnieć, że „nawet Łukasz Barczyk robił »Pegaza«, a »Agnieszka Holland nakręciła reklamę”. W końcu wszyscy pracują dla telewizji. Bez jej pieniędzy nie powstałaby większość kinowych fabuł, bez

emisji w szklanym pudełku fabuły te nie miałyby milionowej publiczności. – Poza tym trzeba coś robić, bo reżyserski warsztat łatwo rdzewieje – twierdzi Jacek Filipiak („Na Wspólnej”).

Oglądając polską telewizję, można jednak odnieść wrażenie, że warsztat rdzewieje naszym reżyserom, gdy tylko przekroczą próg serialowego planu. Oni sami mają jednak niezłe samopoczucie.

– „Na dobre i na złe” to jeden z najlepszych polskich seriali – ocenia Maciej Pieprzycyca („Na dobre i na złe”, „Samo życie”). – Polskie seriale są znakomite – podkreśla Weresniak. – Przecież „Na dobre i na złe”, „M jak miłość” czy nawet „Świat według Kiepskich” wyrastają z tradycji polskiego kina!

Tymczasem jeśli Polska stoi serialem, to faktycznie kiepskim, kręconym pośpiesznie, źle granym i przede wszystkim nieudolnie reżyserowanym. – W „Klanie” czy „Złotopolskich” widzimy jakąś wymyśloną Polskę z wymyślonymi problemami – mówi Jurek Bogajewicz („Kasia i Tomek”, „Camera Café”). – A fatalny „Na Wspólnej” jest jak zużyty, przemielony karton po winie.

Tanio, czyli źle?

Przyciskani do muru reżyserzy tłumaczą, że mają związane ręce. – W telenoweli trzeba widzowi wyłożyć kawę na łąwę – przyznaje Filipiak. – Wieloodcinkowe



„Kasia i Tomek”, w środku reżyser, Jurek Bogajewicz

seriale to realizacja określonego formatu – broni się Maciej Pieprzycyca. – Przy tego rodzaju produkcjach reżyser staje się po prostu trybikiem w maszynie, która wypluwa kolejny odcinek – dodaje Zylber.

Nie ma czasu na próby, pieniędzy na większy rozmach. I nie ma spójności, bo takie seriale jak „Na Wspólnej” czy „Na dobre i na złe” kręcą jednocześnie kilku reżyserów, często odpowiedzialnych jedynie za konkretne wątki i sceny.

Rację ma Jurek Bogajewicz, że telewizja to dziś dla filmowca pierwszorzędne laboratorium. Nie jest przypadkiem, że właśnie dla telewizji mistrzowskie seriale realizo-

wali Steven Spielberg, Robert Altman, Sidney Lumet, David Lynch. Polscy reżyserzy mówią: „U nas to niemożliwe”, „Nie mamy takich pieniędzy”. Ale czy skromne produkcje z góry skazane są na porażkę?

Nie wszyscy tak uważają. – Po prostu należy pracować więcej, niż potrzeba – mówi Andrzej Kostenko, którego „Zaginiona” z Danutą Stenką i Janem Fryczem to jeden z lepszych polskich seriali ostatnich lat. Nawet zachodni format, taki jak „Kasia i Tomek”, można udanie przenieść w polskie realia i z taniej produkcji zrobić gatunkowy majstersztyk. – Od początku postanowiliśmy, że wyciśniemy z ludzi i tekstu więcej, niż się da – twierdzi Bogajewicz. – Żadnych kompromisów, do znużenia poprawiamy scenariusz, jeśli coś brzmi fałszywie (choćby chcieli, żebym się od tekstu odpięrzył), nie rzeźbimy scen, ale stwarzamy sytuacje tak prawdziwe, że nie do powtórzenia.

Wygłodzeni jak psy

Dobry serial, a nawet dobry tasiemiec nie tylko może w Polsce powstać, lecz także może zyskać publiczność. „Kasia i Tomek” stał się przecież motorem napędowym TVN-u, a niektóre odcinki „Zaginio-

nej” oglądało nawet sześć milionów widzów. Żeby jednak rodzime seriale rozruszać, nie wystarczy (choć trzeba!) wymienić wysłużonych scenarzystów piszących à la Iłona Łepkowska oraz producentów nieskorych do podejmowania ryzyka. Problemem są też reżyserzy. I pieniądze.

Sytuacja na polskim rynku jest jasna: filmy kręci się rzadko, zwykle raz na kilka lat. – Każdy ma rodzinę i nie chce wiecznie tonąć w długach – przyznaje Filipiak. – Wszystkich nas dopada żyćko i trzeba o siebie dbać – mówi Zylber. O propozycję reżyserowania seriali wcale nie jest łatwo, więc jeśli się pojawi, trzeba brać. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie stawał warunków i narzekał – mówi młody reżyser.

Na szczęście niektórzy stawiają i wybrzydają. Coraz więcej reżyserów zmienia swój stosunek do telewizji. Po boomer telenowelowym zaczyna się powoli boom na seriale z prawdziwego zdarzenia. – Polska widownia jest wygłodzona jak pies – podsumowuje Bogajewicz. – I można ją oczywiście zatruwać, ale można też podsuwać znakomite dania!

PAWEŁ T. FELIS



ODWROTNOŚĆ NUDY



DO BIEGU, GOTOWI, START!



www.mini.com.pl

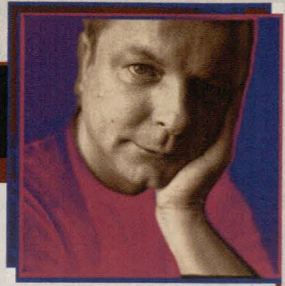
NA ŻUŻLU NA ŻYWO!

Grand Prix 2004 wchodzi na najwyższe obroty! Chcesz na żywo śledzić zmagania asów czarnego sportu? Wybierz CANAL+. Tylko u nas bezpośrednie relacje ze wszystkich turniejów z cyklu Grand Prix do 2007 roku!

Sprawdź, co jeszcze możesz zobaczyć:
0 801 801 999; (22) 541 88 88
www.canalplus.pl

CANAL+ sport

KULINARNE
PIÓRO
POLSKI



TADEUSZ PIÓRO

Sosy do szparagów

Byc może niektórych z Państwa dziwi, że piszę o tegorocznym plonie szparagów miesiąc po tym, jak zaczął ujawniać się na straganach. Chciałbym wyjaśnić, że nie piszę czterech felietonów na zapas, by móc wyjechać na miesiąc do Bangkoku i zapomnieć o krajowych bolączkach. Przyczyną zwłoki jest cykl wydawniczy naszego pisma – ponieważ tak zwane newsy zostawia się na ostatnią chwilę, jego stałe elementy, w tym felietony, muszą być gotowe kilka tygodni przed ukazaniem się numeru. Gdyby szparagi uznano za wiadomość z ostatniej chwili, byłbym *au courant* – lecz mimo to, że uwielbiam szparagi, takie pojęcie aktualności raczej nie jest wskazane.

Przez kilka lat zmuszony byłem czytać dziennik „Dallas Morning News” oraz jego cotygodniowy dodatek kulturalny, który otwierały doniesienia z knajp, zaś knajpy i żywność stanowiły połowę objętości dodatku, czyli około 40 stron. Dopiero po jedzeniu i piciu można było znaleźć film, teatr, muzykę i – raz do roku – festiwal literacki. Myślę, że to nie świadczy dobrze o kulturze tamtejszej społeczności, i nie chciałbym, żeby pisma w Warszawie czy którymkolwiek polskim mieście poszły takim tropem. Opóźnienie jest więc konieczne – lecz nie wszystko stracone, mamy jeszcze kilka tygodni. Zatem bez dalszej zwłoki – do rzeczy.

Najprostszym z zdaniem niejednego smakosza najwłaściwszym sosem do zielonych szparagów wcale nie jest sosem. Podaje się najlepszą z możliwych oliwę i młynek z morską solą. Osoby mniej zdyscyplinowane mogą zażądać ćwiartki cytryny – spełnijmy ich życzenie, choć to fanaberia. Sól i oliwa wystarczą. Tak właśnie rozpocząłem tegoroczny sezon, zaś powyższy rodzaj

wstrzemięźliwości w pierwszym tygodniu umożliwiła niesamowita oliwa z Sycylii, z jednego gaju, w małych, ręcznie numerowanych karafkach. Gdyby nie jej subtelny aromat i słodko-cierpki smak, już po kilku dniach myślałbym o rozmaitych sosach. Dzięki niej przez siedem dni traktowałem szparagi po spartańsku, choć to z pewnością niewłaściwe porównanie.

Dyscyplina zmieniła się w rozwiążność, kiedy zapragnąłem szparagów na modłę dalekowschodnią, bo zateńskniłem za niedostępnym u nas sosem homarowym, którym polewano je w ambitnych lokalach chińskich nad Pacyfikiem. Skomponowałem coś niby-orientalnego, co sosu homarowego nie przypomina, lecz pewne elementy azjatyckiej palety smaków i aromatów ma, a do szparagów, moim zdaniem, pasuje. Mieszmazę łyżkę oleju sezamowego z łyżką sosu sojowego i paroma kroplami octu balsamicznego. Jeśli mikstura za kwaśna, trzeba osłodzić cukrem lub miodem. W kolejnych dniach można smak ten rozwijać, dodając a to trochę drobno posiekanej dymki, a to natkę kolendry, to znów śladową ilość płatków suszonej, ostrej papryki bądź oliwy, w której przez parę dni trzymaliśmy papryczkę chili w całości.

Zaznaczam, że mowa o szparagach zielonych – do białych stosuje się inne sosy, raczej tradycyjne, holenderski i jemu podobne. Zresztą białe szparagi nie podobnieją mi, są sztuczne (to znaczy, pozabawione słońca po to tylko, żeby nie były zielone) i chyba lepiej zrobić z nich zupę, niż używać do doświadczeń.

Brak miejsca na dalsze sugestie, lecz powrócę jeszcze do szparagów – na czas. ■

www.przekroj.pl/pioro



- POZIOMO:**
1. BABINSYNEK
4. DRAMAT PO ŚLUBIE
7. ZDERZONKO
8. KAWAŁ, ALE CAŁY
9. MAGISTER W LICEUM
11. DRAKA DRAKA
13. KLEJ ŚWIATA
17. LINKI Z SIECI
- 19. DYPLMATYCZNA CZĘŚĆ CIAŁA**
20. DOMEK BERNARDYNÓW
21. CZADOWE ZWIERZĘ
22. PUMKA
- PIONOWO:**
1. OWCZY WĘD
2. PODGRZYWEK
3. PERZ TEŻ
4. KROWIE KUBKI
5. KONCZY ROCZEK
6. WIERSZ
10. GŁOŚNOCICH
12. POTTANÓWKA
14. TYM BARDZIEJ NIŻ INI
15. PITUS ALBO CITUS
16. STOJĄ NA STACJI LOKOMOTYWY
18. W UBRANIU

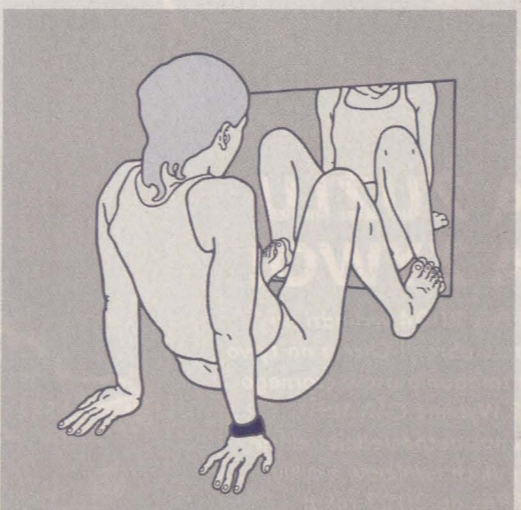
Rozwiązanie krzyżówki nr 19:

- Poziomo:** 1. szambo 8. bakteria 9. świder 10. obrączka 11. lysina 12. zemsta 14. wianek 17. boczek 19. korytarz 20. namiot 21. narzecz 22. strzał
- Pionowo:** 2. zawody 3. medalion 4. obroza 5. skurcz 6. prezes 7. tabaka 13. muchomor 14. Wiking 15. Aurora 16. kłamca 17. biznes 18. Europa

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 17 nagrody wylosowali: Alicja Kowalska, Tamów; Andrzej Krasowski, Muszyna; Luiza Kupis, Radom; Tomasz Loose, Gdańsk; Sylwia Szoc, Wrocław. Gratulujemy!

Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 6 czerwca (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 22 lub Krzyżówka 22

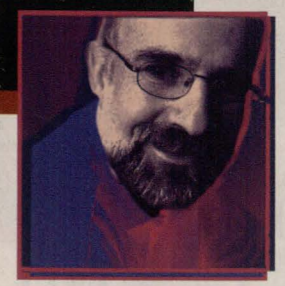
AGATA BOGACKA



„Rzeczywiście, młodzi są realistami”

WWW.RASTER.ART.PL

WINNY
BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Pies i jego pan

Teza, której chcę bronić, co prawda nie tak żarliwie jak Kmicic Częstochowy, mówi, że wina, podobnie jak psy, podobniają się do właścicieli (czy odwrotnie). Teżę tę, od dawna mi bliską, ożywiła prasowa notka o krytyce, której redaktor naczelny naczelnego włoskiego przewodnika po winach „Gambero Rosso” poddał naczelnego winiarza włoskiego Angela Gaję, którego wina, dostępne i u nas, cieszą się niezmiennie prestiżem, lecz i cenami z ciemnej strony Księżyca. Naczelnicy stwierdził mianowicie, że „Gaja zachowuje się jak primadonna, a jego wina są takie jak on sam – technicznie perfekcyjne, ale zimne i bezduszne”. Krótko, bo ledwie 10 sekund przebywałem w towarzystwie Gai (tyle, by się o niego otrzeć i ustąpić miejsca innym) i nie mogę potwierdzić tej opinii, natomiast moje ostatnie degustacje burgundów ugruntowują porównanie między twórcą a dziełem.

W piwnicy zebrano się sporo winarzy, wina okazały się świetne, lecz zupełnie inne od wszystkich były burgundy dwóch osób. Burgundy te łączyły niezwykła delikatność i nieprzytomne wyrafinowanie; osoby łączył zaś tytuł. Vicomte Ligier-Belair, Marquis d'Angerville. Wśród innych winiarzy, w koszulkach polo, w spracowanych marynarkach, w butach, które zdążyły okrążyć ziemię, ten pierwszy wyglądał jak żywcem przeniesiony z kanapy Louis XIV. Nieskazitelny krawat, garnitur wysmażony z najlepszego tweedu, spinki w mankietach, paznokcie spiłowane od kartkowania ksiąg rodowych, dłonie pianisty, które wśród innych dłoni, zaprawionych w bojach z kszakami, wyglądały jak niedziela przy poniedziałku. Do tego rysy lekko nieobecne, znużone, gest elegancki i nonszalancki. Vosne-Romanée wicehrabiego były w dotyku niczym jedwab, którym smagnięto nam twarz. Pozostawało wrażenie muśnięcia, reszty trzeba było się domyślić. Te burgundy były i nie były zarazem, bardzo sugerowały, że są, niż uobecniały się naprawdę. Ich arystokratyczność



Świetne do lunchu w ogrodzie węgierskie różowe Pinot Noir 2003 od Szermleby Huby, w Krakowie na Starowisłnej 66

biła w oczy; podobały mi się szalenie, ale czułem, że nie mam papierów (ani euro), by przebywać w tym salonie pełnym pięknych niedomówień. Volnay markiza d'Angerville, również eleganckie, były bardziej szczerze, tak jak ręce, które je serwowały, i twarz właściciela. Rysy jak najbardziej arystokratyczne, szczupłość sylwetki, lecz zamiast wyniosłej nieobecności – szlachetna stanowczość. Nie tylko ja miałem wrażenie, że wina oddają tę godność, która przemawia z siłą, lecz półgłosem. Ich wyrafinowanie nie było już czysto estetycz-

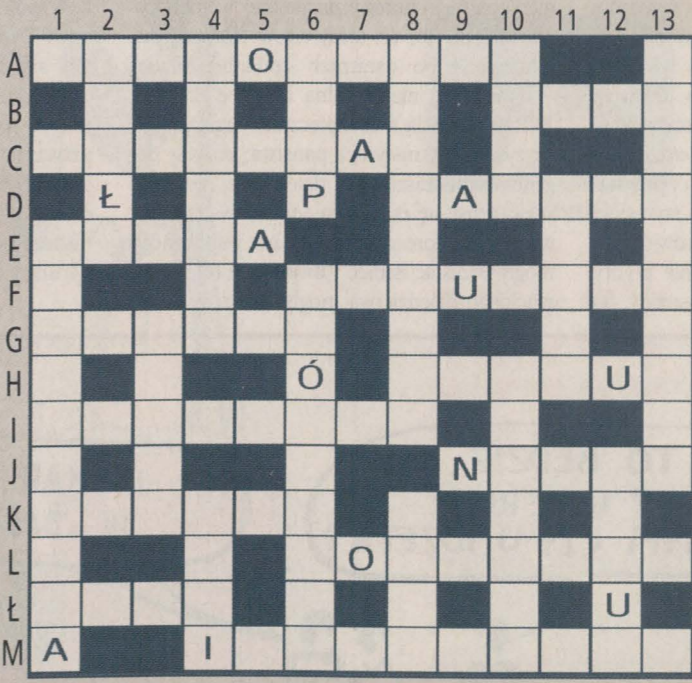
ne, lecz podbite kawałkiem życia. Równie duże wrażenie wywarła na mnie wizyta w chłodnej i ciemnej jak podświadomość piwnicy Daniela Boulanda, chłopca z Beaujolais. Malutka produkcja, wszystko przejęte po ojcu, który ewidentnie wydrążył w synu freudowską otchłań. Syn był nieśmiały, nieco załęczony, neurotyczny, schowany za podwójną gardą, lecz w głębi buzował ogniem i coś z nocy rodem. Wina, jak na gamy ciemne, nieco ponure, skłębione, wszak głębokie i potężne. Świetne. Tyle przykładów na tezę, która była do udowodnienia. Oczywiście nadmiar wyjątków może podważyć jej rolę, ale niech tam. Pozostaje wiara, że prawdziwego wina nie da się oderwać od charakteru człowieka. I dla ciekawości pozostaje też pytanie, co by było, gdyby wina robił markiz de Sade. Ale by były ohydne... wspaniałe... tfu, tfu, ach, ach. ■

www.przekroj.pl/biencyk

JOLKA nr 22

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

I6 - J11 - J1 - J3 - L8 - E3 - I13 - E8 / H13 - G8 - B11 / F7 - L9 - Ł6 - Ł2 - C4 - B13 - A1 / I10 - A6 - L13 - G3 - D12 - M6 / K10 - M13 / H1 - M11 - G6 / C5 - F1 / M5 - J6 - L4 - F10 - K2 - A3 - C6 / C13 - D11 - D4 - I2 - K12 - Ł3 - K6.



Rozwiązanie jolki nr 19: NA PRZEŁAJ GONIĘ JAK WYŻEK PRZEZ ŚWIAT (początek wiersza Kazimierza Wierzyńskiego).

Rzędami: Vega, bluznierca, Leon, ordynans, Apeniny, zgrzeblo, Sfinks, knajpa, żubrowół, oszczep, jarmulka, uszy, cybernetyk, drwa. Kolumnami: obloczek, neseser, luidor, zajęcyca, Ananke, Błażej, hejnał, upadek, sposób, remont, Valentino, wplata, głośnik, sultanka.

- WYRAZY 10-LITEROWE:**
- wkuwanie
 - Don Kichota
 - jest, jaki jest, z łągwą czy bez
 - fotografowi odbija
 - na tropach znaczeń
- WYRAZY 5-LITEROWE:**
- galapagoski detektyw
 - przychylnie aureolom
 - wszyscy do wyjścia!

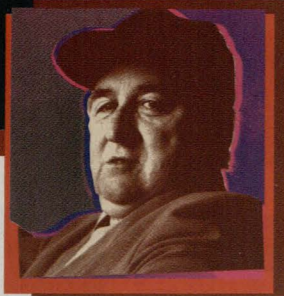
- WYRAZY 9-LITEROWE:**
- podrzuci zdobywcę Złotego Lwa • rondo krasomówców

- WYRAZY 8-LITEROWE:**
- a kysz, cizbo!
 - muzyk przedni
 - metronom westernu • turbo Malysza
- WYRAZY 4-LITEROWE:**
- Nessie Szerpów
 - piekielne sample
 - parkowy osuszacz
 - przypomina o walizce • ośle w księgozbiornie
 - chabaż przy koniaku

- WYRAZY 7-LITEROWE:**
- fronda na michelinach
 - nowoczesne oko Judasza

- WYRAZY 6-LITEROWE:**
- łuk z Kubą

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 17 nagrody wylosowali: Katarzyna Dzionek, Piotrków Trybunalski; Ewa Garska, Nowy Tomyśl; Maria Kobryńska, Poznań; Katarzyna Kwiatkowska, Warszawa; Barbara Tresenberg, Katowice. Gratulujemy!



FOT. BOGDAN KRZYZEL

Pieczeń rzymska à la TVP

Pieczeń rzymska jest wielkim kotletem mielonym pokrojonym na platy wzdłuż krótszej osi i różni się od zwyczajnego kotleta mielonego znacznie większą ilością składników. I większym ryzykiem utraty zdrowia, bo rzymska pieczeń jest zwykle melanzem wszystkim, co zostaje w kuchni po całonocnych daniach mięsnych. Spaja ją patelnia, na której się wysmaża, i – oczywiście – traumatyczna perspektywa tak zwanego zejścia, czyli Endloesungsperspektive, jak by powiedział Rosjanin po całonocnej kuracji alkoholowej.

Aktualny stan telewizji publicznej – z jej rozbudowanym personalnym kontekstem – dziedziczony po Robercie Kwiatkowskim ma zdumiewająco podobną strukturę do rzymskiej pieczeni; nie jest jeszcze trujący, ale już niejadalny. Po dziejowej operacji zwanej aferą Rywina, po wielomiesięcznych bojach na szczycie doszło do zmian, czyli do wyborów rady nadzorczej, zarządu i wyboru nowego prezesa TVP. I zaświtała jutrzienka wolności dla demokratycznych przemian w telewizji publicznej. Tyle że z zachowaniem starych rygorów partyjnych parytetów. Słowem, patelnię wyłożono nową warstwą teflonu i przystąpiono do kolejnego wysmażania rzymskiej pieczeni, czyli do wyborów dyrektorów ośrodków regionalnych. Na tym poziomie rygorów parytetowe jeszcze bardziej się zaostriły, bo

podporządkowano je słynnemu Stowarzyszeniu (a tak naprawdę to nieformalnemu liderowi Stowarzyszenia Ordynacka Włodzimierzowi Czarzastemu) i – co gorsza – jeszcze głębiej osadzonym układom. Pomiedzy nimi toczyć się teraz będzie wyborczy totolotek. Tak więc wszystko odbędzie się w rodzinie, w starej rodzinie z nieco nowym przychówkiem. Nie tak dawno temu tą samą techniką opanowano regionalne rozgłoszenie radiowe, a teraz – jak wiadać – przyszła kolej na ośrodki telewizyjne.

Najbardziej charakterystyczną, dojmującą właściwością mediów publicznych w Polsce jest ich rozwój w przeciwnym kierunku w stosunku do wektorów przemian procesów społecznych; jakby wbrew ich naturze, wedle praw jakiejś antymaterii, bo im więcej SLD w życiu politycznym traci, tym bardziej zyskuje i utrwała swoje w publicznych mediach – to są ich garnki. Te partyjne gary w mediach publicznych są klinicznym przykładem degeneracji polskiego życia publicznego; przykładem nieuleczalnej choroby nazywanej w medycynie rakiem. To, co toczy się w telewizji publicznej – po ostatnich zmianach nadal – ujawnia tę nieuleczalną chorobę. Dramat TVP jest częścią niebezpiecznie narastającego kryzysu wielu instytucji państwa; procesy degeneracyjne zaszyły tak daleko, że rzeczywistość prosi się o fundamentalny wstrząs, by wszystkie chore dziedziny życia publicznego mogły przestać istnieć i uwolnione od partyjniackiego dziedzictwa mogły wreszcie służyć

swojemu społecznemu przeznaczeniu. Prosi się sytuacja zerowa, bo podobnie jak z telewizją publiczną jest ze służbami specjalnymi, prokuraturą i jeszcze paroma innymi sektorami życia publicznego w Polsce. To są czarne dziury po PRL-u, które niszczą Państwo, bo uniemożliwiają rozwój postaw obywatelskich.

Przeglądam się przebiegowi konkursów na dyrektorów ośrodków regionalnych TVP. Materiał ludzki finalnej grupy (cztery osoby z każdego ośrodka), z której wybrani zostaną dyrektorzy regionalni, potwierdza charakterystyczny przepis na rzymską pieczeń. Zgodnie z „czarzystymi” kryteriami – W.C. jest kucharzem genialnym! – ich wyróżniającym się wspólnym mianownikiem jest założona nieprzydatność kandydatów do pełnienia misji społecznej. Bo prawdziwą „misją” TVP ostatnich lat jest jej niepełnienie. Ich misją jest trzymanie lejców dla władzy. Tym samym drugorzędne stają się wymogi natury intelektualnej czy etycznej kandydatów. To mają być „nasze” kadry, strzegące „naszych” interesów. To jest kryterium główne! Dotąd dyrektorzy regionalnych ośrodków byli, a teraz tym bardziej być muszą, wiernymi służebnikami partykularnych interesów partii, tego tak haniebnie zawłaszczanego mienia społecznego, jakim jest telewizja publiczna. Warszawska centrala (KRRiI, rada nadzorcza i zarząd) nadal jest li tylko patelnią wysmażającą swoje menu wedle sprawdzonych receptur minionej epoki. I potrzeb „bulwaru zachodzącego słońca”, jakim jest SLD.

Współczuję nowemu prezesowi, panu Janowi Dworakowi. Gorset partyjnych parytetów stał się dla niego kolczastą obrożą. Dla człowieka przyzwoitego, jakim niewątpliwie jest, to paskudne chomąto staje się zapewne przyczyną wielu cierpień. Bo zabawa w „rzymską pieczeń” w TVP to znana z astrofizyki czarna dziura, o podobnie wielkiej sile wyniszczającej. I nie daj Boże dostać się w jej wirujący lej.

www.przekroj.pl/kutz



WILHELM SASNAL

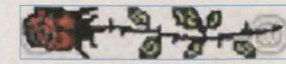
Prócz 480000 zwykłych logo i dzwonek mamy także kilka wyjątkowych...

Sprawdź je:

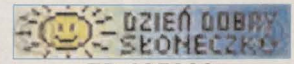


polki.pl

Mate kolorowe logo:



ED 136173



ED 135889



ED 142676



ED 129665

Wpisz numer logo w treść SMS i wyślij go pod numer 7413. Pamiętaj o spacji pomiędzy ED a numerem.

Koszt logo 4 zł. + VAT.

Dzwonki polifoniczne

- ▶ Jeden Osiem L - Jak zapomnieć ED 134069
- ▶ Europe - Final countdown ED 136140
- ▶ Omega - Dziewczyna o perłowych włosach ED 139739
- ▶ Carlos Santana - Smooth ED 145108
- ▶ Gypsy Kings - Bamboleo ED 129232

Wpisz numer dzwonka w treść SMS i wyślij go pod numer 7913. Pamiętaj o spacji między ED a numerem.

Koszt dzwonek polifonicznych 9 zł + VAT.

Tapety:



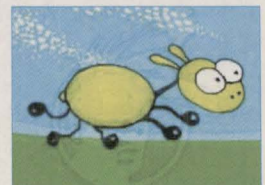
ED 100887



ED 137479



ED 132149



ED 140053

Wpisz numer tapety w treść SMS i wyślij go pod numer 7913. Pamiętaj o spacji między ED a numerem.

Koszt tapety 9 zł. + VAT. Wersja pobrana na telefon komórkowy pozbawiona jest znaku wodnego.

Jak wystać tapetę do znajomego? W treści SMS'a wpisz numer wybranego obiektu a po kropce numer telefonu znajomego (np.: ED 136330.502131313)

**H A L K U
B R Z O S K I**
DARIUSZ BRZOSKA
BRZOSKIEWICZ

Pustka
po szóstce
w puszczy
Synął się
Zab
Jak stary
Dąb



Fot. GETTY/FPM

FO FO FO FO FO FO FO FO FO FO FO FO

Traszki na cztery pory roku

Janusz Słipkowski

Równość
Władze sprawliwie dzielą
Polityczny cholesterol.

Pochwata ciszy

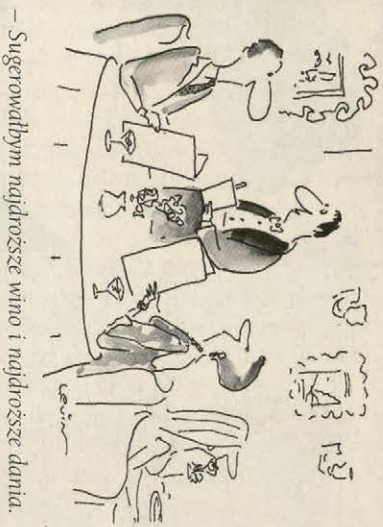
„Milczenie owiec” to temat znany.
Ach, gdyby mogły milczeć barany!

SAME DOBRE NEWWSY

Osilek bez mocy

Do gdańskiego sądu pracy trafiła skarga Damiana Wyciska, byłego ochroniarza w jednym z trójmiejskich klubów. Przyczyną jego zwolnienia było to, że notorycznie stawiał się w pracy bez bicepsów, zarówno prawego, jak i lewego. Wycisk twierdzi, że w zmian przynosił dodatkowe mięśnie trójgłowe łydki. – Podczas interwencji przydają się one dużo bardziej niż bicepsy – przekonywał.

Tomasz Wysocki



– Sugerowałbym najdroższe wino i najdroższe dania.

Rys. LEVIN/NEW YORKER



9% PAULUS MAZUR

Rodzina Obtych

Na przystanku

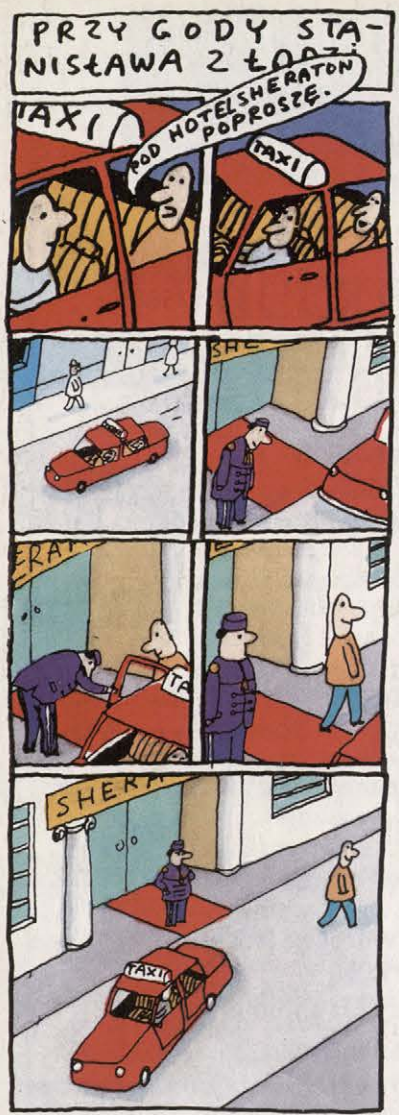
Pan Obty stoi na przystanku i czeka na autobus, którego ciągle nie widać. Obty cieszy się z tego, ponieważ czekanie sprawia mu przyjemność i mógłby jeszcze długo czekać. Niestety, autobus właśnie się zbliża. Wjeżdża na przystanek i czeka z otwartymi drzwiami. Pan Obty stoi przed nimi niezdecydowany. – Niech pan wsiada – zachęcają go pasażerowie. Obty odwraca się do nich plecami. **Patryk Pająk**

Wierszyk Eryk Limi na Dzień Dziecka

nie słuchaj, dziecińko hoza, tatuśka, mamusi.
Słuchaj tatuśka, mamusi już dziś nikt nie musi.
Masz prawa dziecka, a oni – do milczenia prawo,
a kiedy chcą zeznawać, niech sami biją, bravo.
Ach, nie tak macrol!
Cóż zresztą takiego mogą powiedzieć te próchna?
Ze był z tatuśka harcerek, z mamusi zaś dudna?
Lecz żadne z nich nigdy z siebie tego nie wydusi,
że niecodziennie słuchało tatuśka, mamusi.
Oj, niecodziennie!

Nieposłuszeństwo zapewne jest sprawą dzieciną,
choć w życiu rodzinnym ogromnie niesympatyczną,
bo gdy się bachor tatuśkowi, mamusi stawia,
jemu spuszcza ją manto, a on puszcza im pawia.
Fuj, spuszcza pawia!
A gdyby tak zmodyfikować kod genetyczny,
żaby był infan z rodzicami nieidentyczny,
toby dziewczynka słuchała mamusię, tatuśka,
i cały dzień siedziała cichutko jak turka.
Patz, jak gziecznik!
Lecz taka myśl przecież jest niedorzeczna i głupia,
bo tylko głupiec się w życiu nigdy nie wygłupia.
Ech, zadąć wam takie pytanie teraz mnie kusi:
Czy tylko głuszcze nie słucha tatuśka, mamusi?
Hej, nie rznij, głuszczał!

Lepiej więc nie modyfikujmy naszego kodu,
boby to było zabójcze dla naszego rodu.
Bo gdyby się dziecię nie wrodziło w rodziciel,
czyby tatuś z mamusią takie dziecko mieć chciał?
No, byłby problem!



Rys. MAREK RACZKOWSKI

**TAJNYE
MINUTE**
Last minute z Opol
- Co robi kura w słońcu?
- Robi sobie jaj!
Krzysztof P...